



# Vendela Vida

**A TERAZ MOŻESZ JUŻ IŚĆ**

# Część pierwsza

## JAK TO JEST, KIEDY, DZIEJE SIĘ COŚ TAKIEGO

Była druga piętnaście po południu, drugiego grudnia, kiedy w parku Riverside podszedł do mnie mężczyzna z pistoletem. Wiem, która była, bo pięć minut wcześniej spytała mnie o godzinę jakaś matka, która popychała niebieski wózek spacerowy ze śpiącą dziewczynką w środku.

Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat, do Nowego Jorku przyjechałam we wrześniu, nikogo nie znając, i moje dni przypominały łagodnie rozświetlone pokoje w pustym domu. Popołudnia spędzałam w parku Riverside, po drugiej stronie ulicy, przy której znajdowało się moje mieszkanie. Drzewa były wysokie, bez ptaków, jak to w grudniu. Dla mnie ta historia zawsze rozgrywa się w czasie terazniejszym, zawsze zaczyna się o drugiej piętnaście. Idę aleją przez park, kiedy od tyłu zagaduje mnie jakiś mężczyzna: - Proszę pani?

Odwracam się, zgadując, że pyta o drogę albo że upuściłam rękawiczkę. *Proszę pani? Kto się tak zwraca do dziewczyny?* Mężczyzna ma na sobie czarną, skózaną kurtkę, rozpiętą, na nosie okulary w cienkich oprawkach. Prawą dłoń chowa w zanadrzu kurtki, drugą zdaje się trzymać za lewy bok, w geście Napoleona. Jest duży - raczej szerszy niż wyższy - jego grube nogi podchodzą bliżej. Stoję na środku alei i słyszę dzieci, które bawią się ze swoimi opiekunkami i psami; natężenie ich śmiechu to ten dystans między mną a nimi. Robię krok w tył, potem odwracam się i ruszam w tym samym kierunku co przedtem, tyle że szybciej.

- Proszę pani - odzywa się ten głos za mną. - Ja mam broń. Jeśli się pani nie zatrzyma, będę strzelał. Proszę robić, co mówię.

Obracam się, patrzę mu w twarz. Myślę, mam nadzieję, że on sobie żartuje, ale on rozchyła kurtkę i pokazuje mi pistolet, trzyma go w prawej dłoni. Widywałam już w życiu pistolety - wzięłam taki do rąk na strzelnicy na Florydzie, przy moim byłym chłopaku, zanim poszliśmy na lody o smaku pomarańczowo-limonowym. Znam nawet ten ciężar, odrzuciło mnie po oddaniu strzału z kalibru .55. Ale w życiu nie widziałam pistoletu wycelowanego we mnie.

- Pan chce pieniędzy? - pytam i opróżniam kieszenie mojego niebieskiego płaszcza. Ma podszewkę w kratkę - wiedziałam o tym wcześniej? Trzęsącą się dłonią wygrzebuję osiemdziesiąt centów, próbuję mu wręczyć. - Mam tylko tyle - dodaję. Chcę wierzyć, że on chce tylko pieniędzy.

Mężczyzna patrzy na moją dłoń takim wzrokiem, jakby zobaczył w niej dziurę.

- Ja nie chcę od pani pieniędzy - mówi. - I proszę nie odchodzić, bo inaczej będę strzelał.

Nawet nie zauważyłam, że odchodzę.

- Nie, nie, nie - tak mu teraz odpowiadam, taką jakby mantrą, i dociera do mnie, że to „nie” wcale nie jest adresowane do niego, tylko do tej fabuły, która moim zdaniem zaczyna się tu rozkręcać. Wiem, jak to jest, kiedy dzieje się coś takiego.

Po prawej stronie alei jest mur, biegnący równoległe do rzeki; wyobrażam sobie, że on zaprowadzi mnie za ten mur i tam mnie zgwałci, cały czas trzymając mi pistolet przy głowie.

- Przejdźmy się tam - mówi on i ruchem podbródka wskazuje mur.

Myszę sobie: rzucę się do biegu, pobiegnę tak szybko, że nawet nie będę w stanie patrzeć sobie pod nogi ze strachu, że się potknę. Ale potem wyobrażam sobie strzał w plecy. Paraliż. Nie, stwierdzam, już lepszy gwałt.

Mężczyzna z pistoletem i ja idziemy obok siebie aleją. Jesteśmy parą, która wybrała się na spacer po parku.

- Siądźmy tu, na tej ławce - proponuje mi.

Ławki są dwie; jedna stoi przodem do rzeki i stanu New Jersey, druga przodem do parku. Trochę się uspokajam, kiedy on wybiera tę, która stoi przodem do parku i alei, gdzie zazwyczaj są jacyś ludzie, gdzie, modłę się, zaraz pojawią się jacyś ludzie.

- Chcę umrzeć - wyjaśnia.

Ma długie rzęsy. *Może wcale nie chce mnie zabić. On chce tylko umrzeć.* Dotąd wstrzymywałam oddech; teraz próbuję go wypuścić, ale tak, żeby on nie zauważył.

- Chcę umrzeć - powtarza.

*Słyszałam!*, mam ochotę krzyknąć, ale nie krzyczę. Mężczyzna przygląda się drzewom, które rosną przed nami.

- Nie ma nic - mówi.

Zastanawiam się, co go tu sprowadziło. Wylali go z pracy? Z jakiej? *Jakiejś zawodowej - ma te okulary.* Albo ktoś go rzucił. *Wybrał mnie z jakiegoś powodu.* Rzuciła go kobieta, a ja jestem do niej podobna. *Może bez powodu.* Wyobrażam sobie kobietę, która ani trochę nie jest do mnie podobna. Próbuję wyobrazić go sobie w jakiejś chińskiej restauracji albo u szczytu stołu, jak zdmuchuje świeczki urodzinowe. Nic z tego. Nie widzę go inaczej, jak tylko obok siebie w tym parku, z pistoletem w ręku.

- Nie chcę umierać samotnie - mówi on.

Moje dłonie, wciąż w rękawiczkach, kleją się od potu.

- Chcę umrzeć razem z kimś.

Czuję zapach skóry jego kurtki, widzę, że na boku jego okularów widnieje napis „Giorgio Armani”, ułożony z maleńkich, idealnie równych literek. Mężczyzna wyjmuje pistolet z kurtki i przykłada mi go do głowy.

Czuję nacisk na czaszkę, tuż nad uchem, i wydaje mi się, że już zostałam zastrzelona; przez moje myśli przelatuje kula. Przed oczyma staje mi matka, tamtego jedyne go razu, kiedy widziałam ją zapłakaną.

Miałam piętnaście lat, mój ojciec gdzieś zniknął. Nie miałyśmy pojęcia, gdzie on jest. Nadal był naszym ojcem, nie rozwiódł się z matką, ale teraz mieszkał w Minnesocie. Tłumaczył się interesami, niektóre weekendy spędzał w domu. Tym razem nie kontaktował się od miesięcy.

Kiedy wreszcie któregoś dnia zadzwonił, dźwięk telefonu brzmiał inaczej - przypominał syrenę alarmową, wrzeszczał. Odebrała matka. Wiedziałam, kto dzwoni, kiedy powiedziała: „Halo”, a potem zapatrzyła się na telefon i rozplakała. Nigdy wcześniej nie widziałam jej płaczącej i był to brzydki widok: płaskie płaszczyzny jej twarzy zwiotczały, przesypywały się niczym piasek. Podbiegłam do niej, blisko kuchennego zlewu, i odłożyłam słuchawkę na widelki.

Mężczyzna z pistoletem czeka, aż coś powiem. Tylko co? Wyobrażam sobie, że ta lufa to narośl na mojej głowie: trzonek dymka z kreskówki, w którym zawarta jest jakaś myśl.

- Może po prostu ma pan zły dzień - mówię do niego, z przekrzywioną głową i nadzieją.

On nic nie mówi. Zapada milczenie, trwa zbyt długo.

Czuję smród czosnku. To pistolet nim pachnie. Bo niedawno oddano z niego strzał? Bo nie był używany od lat? Z jakiegoś powodu ta różnica wydaje się istotna. Patrząc na martensy mężczyzny, na sznurowadła związane na podwójne kokardki. Kilka metrów dalej leży zużyta prezerwatywa, którą ktoś tam wyrzucił. Znowu przyglądam się podwójnym kokardkom i prostuję głowę, przez co znowu styka się z pistoletem - nie chcę, żeby sobie pomyślał, że próbuję jakoś się z tego wyciągnąć.

W tym momencie pistolet wędruje w dół. Mężczyzna kładzie go sobie na kolanach, teraz może rozmawiać.

- Przy pani czuję spokój - mówi. - Dzięki pani jestem spokojny. - Wzrok ma wbity w pistolet.

- Spokój to dobra rzecz - ja mu na to.

- O tak - zgadza się ze mną. - To prawda. Jest we mnie tyle spokoju, nareszcie mogę umrzeć. Umrzeć razem z panią.

Widzę ludzi, którzy zbliżają się do nas od mojej prawej strony. Kobieta i dwoje dzieci. Szkoda, że nie trzech mężczyzn.

On tymczasem wciąż do mnie mówi. Przyglądam się ruchom jego popękanych warg. *Ciągle jeszcze żyję*, myślę sobie. Zerkam w stronę kobiety z dziećmi i zauważam, że zбочyli w inną stronę. Naprzeciwko mnie - jakieś siedemdziesiąt pięć stóp dalej - kręci się pracownik parku, który chyba przycina drzewa albo może używa odkurzacza do liści. Nie widzę, co robi, ale robi tyle hałasu, że nie usłyszałby mnie, nawet gdybym zaczęła się drzeć wniebogłosy. Ale przecież ten człowiek pewnie by mnie zastrzelił, gdybym się wydarła?

Olśnienie: *Księgarnia. Dürer*. Zaprowadzę mężczyznę z pistoletem do takiego miejsca, gdzie jest dużo ludzi, telefony, policja. Zmuszę go, żeby przeszedł się ze mną do tej księgarni, w której byłam trzy godziny wcześniej. Chciałam kupić jakiś album z Dürerem. Drzeworyty! Najpierw mu opowiem o drzeworytach albo może freskach, zainteresuję go i potem pójdziemy do księgarni, do działu z książkami o dużych formatach, i on się w ogóle nie połapie, co knuję. Albo może się połapie, ale wtedy już będzie za późno. Ni stąd, ni zowąd czuję zapach drzew, pod którymi siedzimy.

- Wie pan co? - mówię. - Jest tyle ciekawych rzeczy! Jest malarstwo! - Czuję się, jak nawiedzona cheerleaderka.

Patrzy na mnie pustym wzrokiem.

- Poezja! - ciągnę tak dalej, usiłując uczeplić się czegoś, czegokolwiek.

- Poezja? - powtarza on, obracając głowę w moją stronę, i wtedy to czuję: połknął haczyk.

Uczucie ulgi jest odurzające. Recytuję mężczyźnie z pistoletem *Na stacji metra* Ezry Pounda, powoli i arytmicznie, w sposób, w jaki ludzie zaklinają pszczoły. „Fantomy wielu twarzy tłumu; Płatki na mokrej, czarnej gałęzi”.

Matka przez tydzień zmuszała mnie i moją siostrę Freddie do nauczenia się tego wiersza na pamięć. Była przerażona, że nie zrobiły tego nasze szkoły.

Łapię się na tym, że paplam coś bez ładu i składu na temat *Ledy z łabędziem* Yeatsa.

- Zeus przybiera postać łabędzia, dzięki czemu udaje mu się uwieść Ledę - mówię. Nie tak, stwierdzam, lepiej mu nie podsuwać żadnych pomysłów. *Jeśli rzeczywiście mnie zgwałci*, myślę sobie, *będę udawała, że on to ktoś inny*. Będę wyobrażała sobie Toma, chłopaka, z którym się spotykam już trzeci miesiąc. Tom wie wszystko o prezydentach. Czasami mnie przepytuje: „Jedyny prezydent, który pochodził z New Hampshire?”, „Jak się nazywał dwudziesty trzeci?” Próbuję go sobie wyobrazić i krzywię się. Wiem, że cokolwiek się tutaj zdarzy, ten etap mojego życia, etap z Tomem, właśnie dobiegł końca.

Przerzucam się na Frosta, recytuję fragment o dwóch drogach ginących w lesie.

- Ten cytat jest zamieszczany w almanachach tylu szkół średnich. - Mężczyzna na pewno chodził do szkoły średniej, więc chyba też dostał taki almanach? - No więc ja czasami się zastanawiam, czy Frost przypadkiem tu nie ironizuje, że to przecież nie jest ważne, jaką drogą się...

Razem z tą myślą milknę.

William Carlos Williams będzie pasował, myślę. Jako bardziej pozytywny. Jest taki jeden wiersz, który uwielbia moja matka - ten o śliwkach - z moich ust wylewa się do melodii jednej z piosenek Liz Phair. Mężczyzna patrzy na mnie przez swoje okulary od Armaniego, jakbym była jakąś bohaterką, uczoną, wieszczką. Nie potrafię przestać z tą poezją. A potem recytuję Philipa Larkina:

W miłości to jest najważniejsze, Żeby zachować nieczułe serce. Z oślim uporem, niestrudzenie, Wprowadzać zamęt w cudze istnienie. Tylko przez wzgląd na siebie samego, Tak, chamstwa tu trzeba wielkiego.

Mężczyzna patrzy na mnie teraz takim wzrokiem, jakby ze mną było jeszcze gorzej niż z nim. Podnoszę się z ławki, z wahaniem, żadnych gwałtownych ruchów, zaczynam następną zwrotkę:

Lecz jest jeszcze hojność...

Milknę. *O kurwa.*

- Przepraszam - mówię. - Nie pamiętam, jak idzie dalej.

Mężczyzna z pistoletem przytakuje.

*Co to znaczy, czemu przytakuje? Że jeszcze pożałuję, że odtąd wszystko będzie jeszcze gorzej? Czy raczej, że mnie rozumie?*

- Są rzeczy, dla których warto żyć - argumentuję błagalnie. - Philip Larkin - dodaję.

- Co to jest Fliplarkin? - pyta on.

Najpierw mnie to śmieszy, ale potem zauważam coś w jego wzroku - jakby zakłopotanie przemieszane z zainteresowaniem.

- Chodźmy do księgarni, to panu pokażę - proponuję. - Znajdziemy te dwie ostatnie zwrotki, ten fragment, który zapomniałam. - Wstrzymuję oddech.

- Dobrze - mówi mężczyzna.

Mówi, że dobrze.

Nakłaniam go do pójścia razem ze mną do księgarni, cały czas wyobrażając sobie, że kiedy już tam będziemy, powiem komuś - na przykład temu wysokiemu facetowi z kasy, z ropowatą infekcją od kolczyka w wardze, temu, który mówi „Gratuluję wyboru” za każdym razem, kiedy kupuję książkę, obojętnie jaką książkę - żeby wezwał policję, i ten mężczyzna zostanie aresztowany podczas czytania Philipa Larkina. Ale kiedy tak idziemy, on wciąż trzyma pistolet w ręku i przez chwilę ten pistolet jest wycelowany prosto we mnie. Ta chwila trwa wyjątkowo długo.

- Proszę poczekać - mówi.

Zatrzymuję się i podnoszę ręce do góry, jakbym w ten sposób ślubowała swoje posłuszeństwo.

- Lepiej będzie, jak to schowam. - Rozpina zamek przy swoim czarnym plecaku i chowa broń do środka, niczym uczeń z podstawówki, który odkłada swój lunch na później.

Pyta, dokąd idziemy.

- To na Broadwayu - wyjaśniam.

Ma nieprzeniknioną minę.

- To na Broadwayu - powtarzam.



On nawet nie wie, w jakiej części miasta się znajdujemy. To czemu przyszedł akurat tutaj? Wędrujemy ścieżką, jesteśmy już prawie na ulicy, niemal przy samej Riverside Drive, a ja staram się doprowadzić go jak najbliżej pracownika parku z odkurzaczem do liści.

- Jak chcesz, to uciekaj. Możesz już iść i robić, co chcesz - mówi mężczyzna z pistoletem. - Przepraszam. Bardzo, bardzo przepraszam.

Ja jednak nie uciekam, bo boję się, że strzeli mi w plecy. Potem mężczyzna z pistoletem rusza w przeciwną stronę, biegnie w stronę ulic o niższych numerach, przyśpieszając tempo, ale co kilka kroków oglądając się na mnie. Kiedy jest już na tyle daleko, że nawet gdyby strzelił, to i tak by mnie nie trafił, biegnę skulona w stronę pracownika parku. Niski Latynos w średnim wieku. Wyłącza tę hałaśliwą maszynę, kiedy zauważa, że próbuję mu coś powiedzieć.

- Ktoś właśnie próbował mnie zabić. Chyba - mówię mu. Powtarzam to dwukrotnie, bo kiedy po raz pierwszy słyszę to z własnych ust, jakoś nie brzmi to wiarygodnie.

Pracownik parku rozsuwa boczne drzwi swojego vana, siadam na podłodze i obejmuję głowę rękami. Boję się, że drzewa runą na samochód; boję się, że samochód wpadnie na drzewa.

Drzwi od strony kierowcy otwierają się, podnoszę wzrok, żeby się upewnić, że to pracownik parku. On najpierw rozgląda się dookoła i dopiero wtedy wsiada do środka; zauważam, że też się boi. Łączy się z kimś przez CB. Siedzę na podłodze, pytam, czy odwiezie mnie do domu. Słyszę go, jak mówi:

- Paskudna sprawa. Naprawdę paskudna.

Odwozi mnie do domu.

Zaraz po powrocie zaczynam chodzić tam i z powrotem po korytarzu. Susan, moja współmieszka, próbuje zrozumieć, co się dzieje. Susan i ja nie przyjaźnimy się - kiedy tu przyjechałam we wrześniu, na studia magisterskie, zaczęłam podnajmować od niej pokój za pięćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Nie odezwała się do mnie od tamtej nocy, kiedy była pijana i opowiedziała mi, że podczas Święta Dziękczynienia uprawiała seks analny ze swoim kuzynem. Jest katoliczką i do dziś uważa się za dziewicę. Teraz jednak zapominamy o tym wszystkim. Obejmuje mnie i czuję jakiś znajomy zapach: poczęstowała się moimi perfumami. Słysząc pukanie do drzwi i natychmiast ukrywam się w kuchni, bo mi się wydaje, że to on. Mężczyzna z pistoletem wyszedł, gdzie mieszkam.

Susan otwiera drzwi i jest tam siedmiu policjantów, dwaj w cywilnych ubraniach, z odznakami policyjnymi w rękach.

- Do ciebie - mówi Susan, zanim udaje im się coś powiedzieć.

Zastanawiam się, czy tak to właśnie odtąd będzie: za każdym razem, gdy za drzwiami będą stali policjanci, będziemy zakładali, że przyszli do mnie.

Chcą, żebym poszła z nimi, a ja mówię, że nie chcę, że o czwartej mam ćwiczenia ze Stuarta Davisa. Oni mi na to, że lepiej, bym poszła z nimi, bo inaczej ten sam facet może zrobić to samo komuś innemu.

- Musi pani pójść - mówią, jakoś tak się wydaje, że chórem; dociera do mnie, że nie mam wyboru.

Podaję im rysopis mężczyzny w okularach od Armaniego, ale dla nich opis okularów nie wydaje się aż tak ważny jak dla mnie. Chcą znać jego wzrost, wagę, wiek, kolor włosów i karnację, opis jego ubrania. Podaję na oko, pięć stóp i dziesięć cali, sto osiemdziesiąt pięć funtów, między dwadzieścia osiem a trzydzieści pięć, włosy rudawe, rasa biała, czarna skórzana kurtka.

Chcę im powiedzieć, jak pachnie z bliska skóra tej kurtki i że wprawdzie być może tylko to sobie wyobraziłam, ale kiedy już uciekał, bodajże nucił pod nosem starą piosenkę traperską. Tę o krowie, która przewróciła lampę i spowodowała pożar, tę z refrenem: „Oj, będzie dziś gorąco w miasteczku”. Boję się jednak, że jeszcze mnie wezmą za wariatkę i nie uwierzą w resztę.

Siadam na tylnym siedzeniu starego forda; dwaj detektywi po cywilnemu siadają z przodu. Skuliwszy się, wyzieram tuż nad dolnym skrajem okna, resztę twarzy ukrywam za drzwiami. Przejeżdżamy obok miejsc, gdzie policjanci trzymają mężczyzn pasujących do podanego przeze mnie opisu - są ubrani w czarne skórzane kurtki i mają rudawe włosy. Mam mówić detektywom, czy to on czy nie. Nie muszę się przyglądać zbyt dokładnie, bo już z daleka wiem, że oni to wcale nie ten mężczyzna z parku. Rozpoznaję niektórych; widywałam ich w metrze, w restauracjach. Niemniej jestem pewna, że od tej chwili już zawsze, kiedy będę szła ulicą i zobaczę kogoś, będzie mi podskakiwało serce.

Detektywi zabierają mnie na posterunek policji i tam mówię kolejnemu funkcjonariuszowi, co się stało, on robi notatki i potem idę do domu. Dzwonię do San Francisco, do matki, która jest w pracy. Nie dzwoniłam do mojej matki do pracy, odkąd skończyłam dziesięć lat. Muszę zadzwonić na informację, żeby zdobyć numer.

Mówię recepcjonistce w szpitalu, że to nagły wypadek, i matka, pielęgniarka z oddziału chirurgicznego, zostaje wywołana z sali operacyjnej. Matka asystuje przy operacjach wszelkiego typu i teraz rozmyślam o pacjentce, którą zostawiła, żeby porozmawiać z nią. Kobieta na stole operacyjnym - w mojej wyobraźni to może być tylko kobieta - ma usuwany wyrostek albo zmniejszane piersi, albo korekcję więzadeł w kolanach. Niezależnie od tego, co ją tam czeka, jest moją bliźniaczką. Zaczynam widzieć siebie samą tak właśnie: jedna kobieta z mnóstwem bliźniaczek rozsianych po całym świecie. Gdybym to nie ja była wtedy w parku, byłaby jakaś inna. Muszę złożyć zeznanie po to, żeby to się nie przydarzyło innej kobiecie. Zawsze wszystko jest dla kogoś innego, dla jakiejś innej kobiety, gdzieś indziej.

Dobrze jest pogadać z własną matką.

- Nie wiem, co teraz ze sobą robić - mówię.



Przychodzi mi na myśl, że tam, gdzie ona jest teraz, jeszcze nawet nie ma drugiej i żałuję, że jestem tu, a nie tam, razem z nią, w miejscu, gdzie jeszcze nie ma drugiej.

- Czy na uczelni jest ktoś, z kim mogłabyś pogadać? - pyta matka. Jest Włoszką i to silną Włoszką, która uważa, że psychoterapia to coś dla wątłych Amerykanów. Dziwię się, że matka podpowiada mi coś takiego, i stwierdzam, że ona ma rację. „Kocham cię”, mówi mi na pożegnanie i dopiero wtedy się rozłącza. Mówi to po raz pierwszy od wielu lat.

Ojciec dzwoni do mnie kilka minut później.

- Córeczko? - mówi. Głos mu drży, tak jak wtedy, kiedy umarła mu matka, i tak jak wtedy, kiedy słucha swoich ukochanych piosenek w czyimś perfekcyjnym wykonaniu. Bardzo miło rozmawiać z nim przez telefon i mam ochotę tak trwać na linii, tylko że po jakimś czasie nie ma już o czym rozmawiać. Obiecuje, że zadzwoni później, żeby sprawdzić, jak się miewam. Czuję ulgę, że odtąd mam na co czekać.

W poradni spotykam się z terapeutką, która ma krótkie włosy i oczy, które wydają się małe pod wielkimi oprawkami jej okularów. Używa palca wskazującego prawej dłoni do popychania okularów w górę nosa. Mówię i mówię bez końca, podaję jej te wszystkie szczegóły, o których policja nie chciała słuchać - że wyraz jego twarzy się nie zmienił, kiedy wspomniałam o malarstwie, że zmienił się dopiero wtedy, kiedy wspomniałam poezję, że nie nosił rękawiczek mimo zimna, że nie miał obrączki.

- O mój Boże, o mój Boże.

Ta kobieta wszystko robi źle. Nie powinna tak reagować. Powinna być silna.

Kiedy wkładam płaszcz, terapeutka poprawia okulary.

- Więc gdzie dokładnie zdarzył się ten incydent?

- A czemu pani pyta? - pytam.

- Ja tylko...

- Co?

- Byłam ciekawa.

- Dlaczego? - odpowiadam. - Bo pani nie chce, żeby pani się przydarzyło coś takiego?

- Proszę, posłuchaj - mówi ona. - Masz wszelkie prawo być zła po tym, co ci się przydarzyło.

- A kto powiedział, że nie jestem zła?

Proponuje, że odprowadzi mnie do domu. Jest szósta.

- Nie - mówię - nie trzeba.

Nie chcę, żeby odtąd odprowadzano mnie od miejsca do miejsca. Umawia się ze mną na następny dzień, a ja jej na to, że przyjdę, ale już sobie myślę, że będę mogła zadzwonić rano i odwołać spotkanie, kiedy wreszcie się wyśpię, kiedy już przejdę nad tym wszystkim do porządku. Pyta raz jeszcze, czy odprowadzić mnie do domu, a ja mówię, że nie, i wychodzę sama.

Po drodze do domu wpadam na faceta, którego znam z pracy w instytucie historii ustnej. Kazali mi tam katalogować opowieści wszystkich tych ludzi, te ich historie zarejestrowane na taśmach, ale po pięciu tygodniach one wszystkie brzmiały tak samo, więc odeszłam stamtąd. Jest niskim, barczystym mężczyzną, o umięśnionych nogach piechura, ma rozbiegane jedno oko, to prawe.

- Cześć - mówi.

Zawsze się dziwię, że on tak cicho mówi, choć jest taki przysadzisty. Lubi opowiadać o zwierzętach, zwłaszcza o kojotach. Widział kojota zeszłego lata, o czym opowiedział mi w jednej z jakichś pięciu rozmów, które odbyliśmy bez udziału innych ludzi. Żywił ogromny podziw dla kojota. Jak człowiek napotyka pumę, to powinien zachować kontakt wzrokowy, powiedział mi, ale lepiej unikać spotkania z kojotem. Kiedy to mówił, starałam się nie gapić na to jego rozbiegane oko.

- Cześć - odpowiadam.

Stoimy na środku chodnika, obok mężczyzny siedzącego na krzeselku plażowym, który ma słuchawki na uszach i sprzedaje stare czasopisma: „Esquire”, „Playboy” i „Gourmet”.

- Co ci jest?

Pyta mnie tak cicho, patrzy na mnie tak łagodnie swoim stabilnym okiem, więc opowiadam mu, co się stało. Nie jestem nawet pewna, czy chcę mu opowiadać, czy chcę opowiadać o tym komukolwiek.

- Matko święta - szepcze.

Mężczyzna ze słuchawkami i czasopismami zaczyna coś głośno śpiewać.

- Dokąd idziesz? - pyta miłośnik kojotów.

- Do domu.

- Nie, nie, nie powinnaś być sama. To okropne - mówi. - Chodź do mnie, to kilka przecznic stąd. Zadzwonimy do innych, niech też wpadną.

Pomysł dzwonięcia do innych, pomysł, że w ogóle są jacyś inni, sprawia, że czuję się lepiej.

Idziemy do jego mieszkania, w którym jest materac służący za kanapę oraz książki o piorunach.

Rozmawiamy o piorunach i o jednej jego znajomej, którą poraził piorun.

- Dwa razy - mówi. - Jest zupełnie niesamowita.

Podoba mi się, że to jej się przydarzyło dwa razy i że ona wciąż żyje. Potrafię się utożsamić z tą kobietą i jej piorunami. Potrafię się utożsamić z miłośnikiem kojotów i jego rozbieganym okiem. Przyłączyłam się do świata ludzi, na których spadły niespodziewane ciosy.

Oferuje mi herbatę, kawę, wodę niegazowaną. Czy tylko mi się wydaje, czy on patrzy na mój brzuch?

- Woda - proszę.

Na ścianie ma oprawione zdjęcie kojota. Przypominają mi się plakaty ze zwierzętami, które ja i moje koleżanki wieszałyśmy na ścianach naszych pokojów, kiedy byłyśmy małe. Te plakaty to były

zazwyczaj wkładki z czasopisma „Ranger Rick”. Zawsze mnie denerwowały biegnące przez środek maleńkie otworki po zszywkach.

Przynosi mi szklankę wody; dla siebie piwo. Siadamy na tej jego kanapie i rozmawiamy o tym, co się stało.

- Musisz wiedzieć, że my wszyscy cię kochamy - mówi on.

Domyślam się, że przez „my” rozumie siebie i tych innych. Przychodzi mi do głowy, że jeszcze nie zadzwonił do innych. *Tylko kto to właściwie są ci inni?* Kładzie mi rękę na kolanie. Patrzę na nią przez sekundę, a potem na niego. *Nie ma żadnych innych.*

- Muszę iść - mówię.

- Nie, nie idź - on mi na to. - Chodź, połóż się ze mną na chwilę.

Widzę w drugim pokoju podwójne łóżko z narzutą koloru wina i jedną poduszką. To bardzo, bardzo smutne łóżko.

- Muszę iść - powtarzam.

- Nie, nie możesz tak wyjść. - Wyciąga rękę, żeby mnie schwycić za ramię, ale nie robi tego.

- Muszę iść.

Po wyjściu z jego mieszkania nie czekam na windę. Wybieram schody, wychodzę z budynku i puszczam się do biegu.

W domu czekają na mnie trzy wiadomości nagrane przez mojego chłopaka Toma. On jest na studiach magisterskich z historii amerykańskiej, a ja z historii sztuki; obojgu nam Columbia przyznała stypendia naukowe i socjalne, abyśmy mogli zdobyć dyplomy, których wcale nie jesteśmy pewni, czy chcemy. Ja czuję się winna z powodu mojego stypendium wynoszącego dziesięć tysięcy dolarów; on nie. „To była ich decyzja, żeby je nam przyznać”, powiada. Nienawidzę jego pewności siebie w tej kwestii.

Poznałam go razem z moją matką. Przyjechała do miasta, kiedy przeprowadziłam się tutaj we wrześniu. Siedziałyśmy na stopniach biblioteki, pijąc na spółkę jedną kawę i jedząc dwie babeczki. Kiedy wiatr zdmuchnął kilka stron naszej gazety, Tom złapał je i przyniósł nam. Spytał, czy może zatrzymać sobie rubrykę sportową.

- Jest pan sportowcem? - spytała moja matka. Ta to wdaje się w rozmowy z każdym.

- Nie wiem, czy jestem sportowcem - odparł i wzruszył ramionami. - Pływam.

- To widać - powiedziała matka.

Popatrzyłam na nią.

- Jego włosy - zwróciła mi uwagę, ale dostatecznie głośno, by on to usłyszał. - Są zielonkawe.

Widać to w słońcu.

- Mamo - westchnęłam. A do niego, tego mężczyzny, którego wtedy nie znałam, powiedziałam bezgłośnie: - Przepraszam. - Ale ona miała rację: miał włosy koloru jasny blond, a z przodu, dookoła uszu były w nich zielonkawe pasma.

- Zawsze uważałem, że ten zielony bierze się z jedzenia za dużych ilości selera - powiedział i uśmiechnął się. - Skąd panie jesteście?

- Jak się pan domyślił, że nie jestem stąd? - spytała moja matka.

Uparcie nie chce przyjąć do wiadomości, że każdy zauważa jej włoski akcent, że niektórzy jej wręcz nie rozumieją. Ojciec opowiadał mi, że z każdym rokiem jej pobytu w Ameryce ten akcent jeszcze się nasilał.

- Pochodzę z Neapolu - dodała.

Tom był w Neapolu. Powiedział, że szczególnie spodobał mu się Castel Nuovo.

- Proszę przysiąc się do nas - powiedziała matka i on usłuchał.

Matka uznała, że jest zabawny i przystojny, a mnie się spodobało, że jemu się spodobała moja matka. Nie cierpię ludzi, którzy nie widzą w niej doskonałości.

Na pierwszym roku studiów Tom mieszkał w Izraelu; podczas naszej pierwszej randki, kiedy matka wyjechała już, pokazał mi zdjęcie siebie w masce gazowej. Lubi falafle i potrafi wsadzić całego falafla do ust. Potrafi wsadzić też całą pięść do ust, ale nie znoszę, kiedy to robi. Czasami jego oddech ma posmak falafla i czerwonego wina, co mi nie przeszkadza, bo jest w tym smak trochę podróży, a trochę niebezpieczeństwa. To smak szybkiej jazdy po mniej uczęszczanej bitej drodze na wsi, którą odwiedza się pierwszy raz w życiu.

Ostatnio jednak, podczas ostatnich kilku tygodni, pojawiło się nagle tylu mężczyzn, w których mogłam się zakochać - *ty w metrze, który ustąpiłeś miejsca ciężarnej kobiecie; ty w delikatesach, który wsadziłeś nadziewany liść winogrona do ust, kiedy myślałeś, że nikt nie patrzy; ty, który pod kościołem, po pogrzebie brata Sary, otwarłeś dla mnie parasol, którego szprychy rozpostarły się nad moją głową niczym promienie bizantyjskiej aureoli.*

Trzy wieczory temu wpadł do mnie, żeby powiedzieć cześć.

- Może jednak powinniśmy się też umawiać z innymi ludźmi - powiedziałam.

Tom, do niedawna kochanek całego stada kobiet, wzruszył ramionami.

- Słuchaj, jeśli ty nie życzysz sobie stałego związku - odparł - to proszę bardzo, cały jestem twój. - Powiedział to tak pieszczotliwym tonem, że aż zapragnęłam, aby był mój i tylko mój. Chciałam być tylko z nim. Chciałam tego chcieć.

Tego wieczoru w jego głosie nagrany na sekretarce słychać niepokój i wiem, że już się dowiedział. Nawet mi się nie chce zastanawiać, jak albo od kogo; wszystko jest możliwe. Kiedy odsłuchuję już wszystkie wiadomości, dzwoni telefon. Wpatruję się w aparat i czekam.

- Ellis? - woła czyjś głos po sygnale. - Jesteś tam? Odbierz, jeśli tam jesteś.

Tom. Nikt oprócz niego i mojej mamy nie nazywa mnie „Ellis”. Większość ludzi nazywa mnie „El”, ale są faceci, którzy nazywają mnie Kotkiem, Małpką, Cukierczkiem i Deborą. Debora to ta, która była z Tomem przede mną. On sam dwa razy nazwał mnie Deborą, nie w łóżku, tylko w kuchni.

Podnoszę słuchawkę.

- Jestem tu - mówię.

Wydusza z siebie długie westchnienie.

- Cieszę się, że nic ci nie jest. - Mówi mi, że mam nigdzie nie wychodzić, że zaraz będzie.

Kładę się na łóżku. Mam ochotę zadzwonić do kogoś, ale jakoś nikt nie wydaje się właściwy. Mogłabym zadzwonić do Freddie, ale wiem, że będzie się za bardzo denerwowała. Jest dwa lata młodszą ode mnie i moje życie przysparza jej licznych zmartwień. Kiedy byłyśmy małe, większość jej zapi-sków w pamiętniku opowiadała o tym, jak to wtykała nos do mojego pamiętnika i jak martwiła się mo-im dobozem znajomych, alkoholem, który piłam z nimi na imprezach, kłamstwami, które mówiłam rodzicom. Od któregoś momentu pisałam już tylko same pozytywne rzeczy, uładzone wersje zdarzeń. Dała się nabrać. Jej własne pamiętniki wyrażały ulgę, że zmieniałam się na lepsze.

Dzwonię do Sary do Irlandii, choć dla niej to późna pora. Następnego dnia po tym, jak dostałyśmy dyplomy ukończenia college'u, przeniosła się do Dublina, gdzie zawsze chciała mieszkać. Ma tam dwie prace: niańczy chłopców bliźniaków i jest kapitanem łodzi turystycznej, która pływa po rzece Liffey. Sara musi być zawsze blisko wody. Na obu jej fotografiach, które trzymam na biurku, jej jasne brązowe włosy są ciemne od właśnie wziętego prysznicu. Podczas ferii wiosennych jeździliśmy wszędzie tam, gdzie była woda: Floryda, jezioro Champlain, wybrzeże Jersey.

Odzywa się jej sekretarka. Głos Sary udaje irlandzki akcent.

Zostawiam wszystkie szczegóły po sygnale. Opowiadam jej, jak wyrecytowałam tamten jeden wiersz do melodii piosenki Liz Phair. Sara uwielbia Liz Phair. Kiedy maszyna mi przerywa, dzwonię raz jeszcze.

Odzywa się domofon, wpuszczam Toma.

- Szybki jesteś - mówię.

- Biegłem - odpowiada.

Widzę po jego spojrzeniu, że muszę wyglądać okropnie.

Przytula mnie, a ja czuję się rozdarta między ochotą zagrzebania głowy pod jego swetrem a trzymaniem go na dystans wyciągniętej ręki. Jego szyja owinięta szalikiem pachnie chlorem.

- Pływałeś dzisiaj?

- Nie, wczoraj - mówi. - Ciągłe śmierdzą?

Wzruszam ramionami.

- Dlaczego od razu nie zadzwoniłaś? - pyta.

Tłumaczę mu, że nie wiedziałam, jak zareaguje. Że potrzebowałam kogoś, kto zareaguje we właściwy sposób.

- A jaki jest właściwy sposób?

- Nie mam pojęcia - ja mu na to.

Pyta, co recytowałam. Nawet teraz nie pamiętam tego dalszego ciągu. Mówi, że nic w tym złego.

- Może byłoby lepiej, gdybyś się wyniosła z tej dzielnicy - mówi. - A poza tym trzeba ci skoczyć kupić jakieś jedzenie.

To lubię w Tomie: zawsze pilnuje, żebym jadła. Mam jakieś dziesięć - nie wiem, może piętnaście funtów nadwagi, które dźwigam w talii, taki obwisły walek z ciała, który opiera się na moim pasie. Niektórym mężczyznom się wydaje, że nie potrzebuję jedzenia. „Jesteś pewna, że jesteś głodna?” - pytają, kiedy proponuję chwytanie się za kolację albo zamówienie deseru.

Przed wyjściem z mieszkania Tom obraca mnie ku sobie twarzą i zasuwuje zamek mojej kurtki aż po szyję.

Na peronie metra zauważam mężczyznę, który ma rude włosy, więc nerwowo odskakuję w tył, choć wiem, że rozpoznam tamtego, jeśli go zobaczę. Będę wrzeszczeć albo rzygać, może nawet zemdleję. W życiu nie zemdlałam, ale jestem pewna, że na jego widok na pewno to zrobię. Tom zabiera mnie do Rockefeller Center, na oglądanie choinki bożonarodzeniowej, a potem do baru w centrum.

- Podaj nazwisko jedyne go prezydenta, który nie był żonaty - rzuca.

- Nie znam - odpowiadam. - I mam je gdzieś. - Mówię mu, że powoli to właśnie zaczyna do mnie docierać: każdy jest sam. Układam dłoń płasko na blacie i Tom nakrywa ją swoją dłonią. Kładę moją wolną, lewą dłoń na jego dłoni i potem on nakrywa ją swoją dłonią. Wyciągam dłoń z samego spodu i niebawem bawimy się w łapki, nabierając rozpędu - dłoń na dłoń, dłoń na dłoń.

Kiedy wstajemy, żeby wyjść, bołą mnie nogi. Mrowią mnie. Pewien brodaty znajomy mojego ojca powiedział mi kiedyś, że nogi w slangu amerykańskim to „psy”. „Moje psy szczekają”, mawiał.

- Moje psy szczekają - mówię teraz do Toma, kiedy już wychodzimy z baru.

- Ponieść cię? - proponuje.

Rozumie każde moje głupie powiedzonko.

- Nie trzeba.

- Chodź tutaj - mówi i staje do mnie plecami.

Wskakuję mu na barana, a on chwytając mnie pod kolanami, a potem podnosi, trzymając dłonie pod pośladkami.

Z góry widzę czubki głów przechodniów, wolne przestrzenie w tłumie.

- To był Buchanan - wyjaśnia. - James Buchanan był jedynym prezydentem, który się nie ożenił.



W metrze, w drodze powrotnej do mojego mieszkania, gładzi mnie po głowie palcami w rękawiczkach, rozplątując kołtuny. Zamykam oczy, przykładam głowę do jego ucha, wśród ludzi, którzy zmierzają tam, dokąd my nie zmierzamy.

Przy Sto Szesnastej Tom chce wstąpić do delikatesów. Prezerwatywy, myślę, i twarz mi płonie z gniewu i zimna. Stoję obok wejścia ocienionego markizą, za nic nie chcę mu towarzyszyć. Gapię się na każdego, kto przechodzi obok; boją mnie oczy od niemrugania.

- Nie stój tu taka sama - mówi Tom i wprowadza mnie za łokieć do wnętrza sklepu.

Instaluję się obok kasy; jestem pewna, że jest tam czerwony przycisk alarmowy, który kasjer będzie mógł w razie potrzeby nacisnąć.

Tom podchodzi do kasy z dwoma opakowaniami mrożonego groszku firmy „Birds Eye”.

- Na twoje nogi - mówi.

W domu, na kanapie, wkłada moje stopy między opakowania z groszkiem i trzyma je tak przez pół godziny. Kiedy opakowania robią się zbyt zimne i mokre, owija je w poszewki od poduszek.

- Lepiej? - pyta.

Kiwam głową.

- Dzięki.

W łóżku przytula mnie do siebie. Jego włosy pachną chlorem, a ja zagrzebuję w nich twarz, wsuwam jedno kruche pasmo do ust, poprzecznie, i próbuję zagwizdać.

Wsuwa dłoń pod moje majtki.

- Przestań - mówię.

Wyjmuje dłoń z moich majtek, kładzie mi ją na biodrze, a potem czuję, jak ujmuje nią moją pierś. Ma kurzajkę na kciuku.

Kładę dłoń na jego kłykciach, oplatom je palcami i odrywam jego rękę.

- Proszę - mówię.

Na oknie mam okiennice, które otwierają się niczym drzwiczki w kalendarzu adwentowym. Teraz są zamknięte i zaryglowane, na haczyk w kształcie pytajnika. *Czy ktoś dalby radę sforsować dom po drabinie?* Nie. Nie ma mowy. Próbuję zobaczyć wschód słońca wślizgujący się przez szpary między listewkami i takim sposobem dopełzam do myśli, że wczorajszy dzień dobiegł końca. Ale jest dopiero pierwsza w nocy.

Poprawiam rękę. Kiedy w łóżku są cztery ręce, zawsze jest o jedną za dużo. Tom ziewa i wspiera głowę na dłoni.

- Ciekawe, ile to potrwa, zanim z tego wyjdiesz - mówi. Siadam. Utykam prześcieradło pod pachami, w sposób, w jaki aktorki na filmach ukrywają piersi.

- I po co to powiedziałeś? - mówię.

Budzę się wściekła. Dzisiaj to ciągle wczoraj.

W kątach kłębi się kurz. W murach jest wilgoć, na ścianach widać wrzody wybrzuszonej farby.

Otwieram okno i na powrót je zamykam, z całej siły. A on nic, śpi dalej. Podchodzę do łóżka, stoję nad nim. Jego głowa leży na poduszce, twarz jest zwrócona ku mnie, oczy zamknięte.

Palcem gładzę czerwonawą plamkę na nosie Toma. Nigdy go o nią nie pytałam, bo nie cierpię, kiedy ktoś mnie pyta o piega na mojej dolnej wardze. Ale dziś rano ta plamka wygląda na podejrzenie czerwonej i rakowatej.

- Co jest? - pyta, budząc się.

- Ale ona brzydka, ta plama na twoim nosie - mówię.

Nie dotykam go więcej, zamiast tego marszczę własny nos.

- Bardzo ci dziękuję - odpowiada spokojnie.

- Byłeś z nią u lekarza?

- Nie - odpowiada. - Wiem, że powinienem. Mama zawsze mi to powtarza.

Nie poznałam jej. Mieszka w New Jersey z ojczymem Toma i jego trzema przyrodnimi siostrami, które wszystkie mają mniej niż czternaście lat. Tom mówił mi kilkanaście razy, że jego matka wprost umiera z chęci poznania mnie. Próbuję sobie wyobrazić matkę mężczyzny z parku. *On też ma jakąś matkę.* Próbuję sobie wyobrazić obie te matki, matkę Toma i mężczyzny z parku. Ale widzę tylko matkę z podręcznika do siódmej klasy, tę, która ratuje własne dziecko. To był taki obrazek: matka, której udaje się podźwignąć samochód, pod którym leży niemowlę. Podpis brzmiał: „Napływ adrenaliny”.

Jest mi przykro z czyjegoś powodu, ale nie jestem pewna z czyjego. Matki Toma, Toma, mnie samej? Jest mi przykro z powodu nas wszystkich. Jest mi przykro z powodu matki, która ma syna, który nie chce, aby ktoś badał jego nowotworową plamkę, i jest mi przykro z jego powodu, bo kiedy mu powiedziałam, że plamka na jego nosie jest brzydka, spojrzał na mnie ze współczuciem, i jest mi przykro z powodu samej siebie, bo wiem, że będę musiała to zakończyć.

Proszę Toma, żeby sobie poszedł. Idzie sobie, nie protestując.

- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała - mówi.

Wciąż siedzę na łóżku; drzwi wyjściowe najpierw skrzypią, potem zamykają się, a wreszcie zatrząskują za nim. Dopiero wtedy wstaję i otwieram szafę, w nadziei, że znajdę coś do uprania, ale tego, co znajduję, starczyłoby ledwie do wypełnienia połowy bębna. Na listonosza za wcześnie. Idę do łazienki i po raz pierwszy w życiu skubię sobie brwi. W kuchni przerzucam przepisy kulinarne mojej współmieszkanki. Najwyższy czas nauczyć się gotować.

Dzwoni telefon. Gapię się na niego - jak może stać tak nieruchomo, skoro dzwoni? - i stwierdzam, że nie będę odbierała, ale jestem zbyt samotna i zbyt ciekawa, by tego nie robić. To może być Sara. A jednak to szef ochrony kampusu, który chce, żebym przyszła do niego za pół godziny. Ma głos jak fagot.

Kiedy spotykam się z nim w jego biurze, ma przed sobą notes i pióro; pyta, jak się pisze „Giorgio Armani”. Kiedy idziemy przez campus w stronę jego samochodu, kilka kobiet kłania mu się albo nieśmiało mówi cześć. *Co im się stało?* Staram się nie gapić.

Zabiera mnie na posterunek policji, gdzie składam kolejne dwa zeznania. („Biały mężczyzna, między dwadzieścia osiem a trzydzieści pięć, pięć stóp i dziesięć cali, sto osiemdziesiąt pięć funtów, rudawy, skórzana kurtka.”) Policjanci pytają, czy znam tego mężczyznę z pistoletem. Wszyscy pytają, czy ja go znam. Coś ty mu zrobiła? - pytają. Zerwałaś z nim? *W życiu go nie widziałam.* Czy on już cię kiedyś widział? *Skąd mam wiedzieć, czy mnie kiedyś widział, skoro ja go nigdy przedtem nie widziałam?* Nie pasuje do żadnej z kategorii ludzi, przed którymi mnie dotąd przestrzegano, i jakoś nikt nie wie, co z tym teraz zrobić.

Policjanci wyciągają kolejne segregatory pełne zdjęć Latynosów, Murzynów. Muszę im przypomnieć, że on był biały.

- Ach - mówią - a myśmy myśleli, że pani zeznała, że to był Latynos - i: - Ach, a myśmy myśleli, że pani zeznała, że był czarnoskóry.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny do mojego życia wkracza cała armia nowych ludzi: policjanci, szef ochrony mojej uczelni, terapeutka, on. Kiedy zamykam oczy, widzę go z pistoletem i słyszę samą siebie, jak recytuję poezję, ale to wszystko nie tak.

Widzę plakaty na terenie campusu i muszę je czytać dwa razy, żeby zrozumieć, że opisują to, co mi się przydarzyło. Ostrzegają, proszą o informacje, zawierają rysopis mężczyzny. Zatwierdziłam rysopis, kiedy wykonano go po raz pierwszy, ale widzę teraz, że wcale nie jest podobny. Może to jednak dobrze, że nie ogarniam tego zdarzenia - znak, że przeszłam już nad tym do porządku. Tak szybko, tak sprawnie, jednak jestem silna. Potrwało to dzień, ale nie daję zrobić z siebie ofiary, nie daję sobie wejść na głowę.

Zauważa mnie jedna znajoma, kiedy jem samotnie w chińskiej restauracji blisko campusu. Pracuje w agencji reklamowej, przydzielili jej prezerwatywy „Lifestyle”. Kończy rozmowę przez komórkę, żeby porozmawiać ze mną. „Zaraz do ciebie oddzwonię”, mówi i wsadza telefon do torebki. Zakłada swe miedziane włosy za uszy i opieprza mnie za to, że nie odpowiedziałam na jej ostatni telefon. Z makaronem ześlizgującym się z pałeczek opowiadam jej, co się stało. Ma łzy w oczach.

- No tak, jednak nie wolno chodzić po parku - stwierdza.

- Co? - pytam.

Czuję się taka silna.

- Nie wolno chodzić po tym parku. Ja jak idę biegać, to biegam dookoła, a nie przez środek.

- Tylko się nie usraj - mówię.

Rozgląda się dookoła, sprawdza, kto to słyszał. A ja przez chwilę czuję się strasznie; nie jest aż taką złą osobą.

- Ciii - mówi. - Chodź tutaj.

Siada obok mnie i przyciąga do siebie moją głowę, przez co moje czoło wpija się w jej obojczyk. Oczy mi wilgotnieją, jedna łza wpada do szczeliny w jej zamszowej bluzie. Specjalistka od prezerwatyw „Lifestyle” wyciąga serwetkę z serwetnika, moczy ją w szklance z wodą, a potem chłodnym, szorstkim papierem przeciąga po moim czole.

Powtarzam terapeutce to, co moja znajoma od prezerwatyw „Lifestyle” powiedziała na temat spacerowania po parku.

- Ludzie wolą wierzyć, że im to się nie mogło przydarzyć - mówi ona. - Wolą być przekonani, że jest jakiś powód, dla którego to przydarzyło się tobie, a nie im. Tak o tym mówią, bo naprawdę chcą wierzyć, że ich to nie dotyczy. Następnym razem po prostu przerwij i powiedz, że taka reakcja ci nie pomaga.

Pierwsza inteligentna rzecz, jaką ta terapeutka powiedziała.

Zdejmuję sweter, moszczę się w fotelu obitym brązową skórą, opowiadam o miłośniku kojotów.

- Zdarzają się mężczyźni, których fascynuje przemoc - mówi terapeutka.

Przygląda się mojej bluzce - długi rękaw, wycięta tuż pod szyją, wysłużona i bardzo opięta - z miną, która wyraża chyba dezaprobatę.

Krzyżuję ręce na piersi.

- Skurczyła się w praniu.

Jakiś ostry zapach zaczął przenikać nasze mieszkanie. Obwąchuję kosz na śmieci, fikusa w doniczce, ale nie potrafię zlokalizować źródła.

- Nie czujesz? - pytam Susan. - Przecież tu można się udusić.

- Nie czuję - mówi.

Czyści sobie ucho pałeczką z różowym wacikiem. Pojemnik z pałeczkami trzyma na telewizorze. Używa ich codziennie.

Przez chwilę zastanawiam się, czy tego smrodu w mieszkaniu nie zostawił przypadkiem jej chłopak Francuz, student prawa, który nie używa dezodorantu. Tylko że dawno go u nas nie było. Na początku, kiedy się dopiero co wprowadziłam, Susan poinformowała mnie, że ona i ten facet będą jeździć na liczne wycieczki - na Ibizę, do Paryża, Rejkiawiku, Cleveland - więc często będę sama. Może się jeszcze kiedyś doczekam.

Dzwoni szef ochrony kampusu, mam się stawić w siedzibie CATCH, żeby obejrzeć zdjęcia podejrzanych.

- Już oglądałam zdjęcia - zauważam.

- Wiem - mówi on - ale na tym posterunku mają wszystkie zdjęcia, a na tym drugim tylko niektóre.

Nad drzwiami wisi duża tablica z napisem CATCH. Pytam policjantów, co oznacza ten skrót. Żaden nie wie.

Wchodzę do biura, gdzie policjantka wyciąga wszystkie zdjęcia, które mają w aktach sprawców popełnionych przestępstw. Wybiera zdjęcia z folderu z Latynosami.

- Był biały - mówię.

- No tak, ale Latynosi miewają czasami bardzo jasną karnację - wyjaśnia kobieta. Sama jest Murzynką.

Kładzie przede mną polaroidy.

„Nie, nie, nie”, mówię albo od czasu do czasu: „Chwileczkę”, albo „Stop”. Jeden mężczyzna jest podobny do tego z parku. Nie ma rudych włosów, ale ta twarz wydaje się znajoma.

- W skali od jednego do dziesięciu - mówi kobieta - przyjmując, że dziesięć to najwyższa ocena, na ile przestępca ze zdjęcia przypomina osobę, którą pani oskarża?

- Siedem - mówię, ale wiem, że to nie tak. - Sześć - poprawiam się.

- Jest pani pewna?

- Jestem pewna - odpowiadam.

Kobieta zapisuje coś w papierach, a potem znowu wyklada te polaroidy na stół, za każdym razem z głośnym trzaskiem. To odgłos, który przywołuje mi na myśl małych chłopców porządkujących swoje karty baseballowe.

- Proszę się zatrzymać - mówię. - Pomyliłam się z tym ostatnim facetem. To on, jeśli to w ogóle ktokolwiek.

- W skali od jednego do dziesięciu, do jakiego stopnia ten przestępca przypomina mężczyznę, którego pani oskarża?

Mam ochotę powiedzieć: „Bardziej niż tego człowieka, którego wszyscy inni zdają się oskarżać, bardziej niż tego jakiegoś Latynosa, tego jakiegoś Murzyna, mojego chłopaka, kogoś, kogo znam”. A jednak mówię osiem, ponieważ mnie ponosi, ponieważ bardzo chcę nadać sprawie jakiś nowy bieg.

Kiedy już wychodzę z biura CATCH, mówię kobiecie, że rozpoznałabym go, gdyby to był on. Ona mi na to, że i tak sprawdzą.

Pytam, co mam tymczasem robić.

- Proszę zmienić włosy, adres - mówi kobieta. - Proszę się starać, by zawsze ktoś był przy pani.

- Nie rozumiem, co z tym adresem?

- Proszę się przeprowadzić.

- Wszystko z jego powodu? - pytam.

Wyjaśniam, że ledwie mnie stać na to, za co płacę teraz, że to był najtańszy pokój, jaki znalazłam.

Kobieta wzdycha; już to nieraz słyszała.

- Proszę mnie powiadomić, jeśli go pani jeszcze zobaczy - mówi i wręcza mi wizytówkę. Dpisuje numer swojej komórki.

- Dziękuję - mówię i chowam wizytówkę do portfela, do tej przegródki, gdzie już jest moje prawo jazdy. Jej nazwisko zasłania moje zdjęcie.

Dostaję e-maila od Freddie. Freddie jest w Anglii. Dostała roczne stypendium w Oksfordzie, obejmuje studia i trenowanie wioślarstwa. Jest kilka cali wyższa ode mnie i cała składa się z mięśni, zero brzucha. Nasi rodzice powiedzieli jej, co się stało.

Piszę odpowiedź, w której bagatelizuję sprawę.

„To trwało chwilę i wiedziałam, że on blefuje”, wklepuję do komputera. Przechodzę do innych spraw: „Nie mogę się doczekać Gwiazdki, żeby Cię zobaczyć. Składamy się na wspólny prezent dla mamy i taty? Jeśli tak, to co to ma być?”

Kiedy ojciec odszedł z domu, szłam na rękę matce w okłamywaniu Freddie, twierdząc, że tylko wyjechał w interesach. Czasami jej wmawiałam, że dzwonił, kiedy nie było jej w domu. „Właśnie się z nim minęłaś!”, mówiłam. „A teraz jest na jakimś ważnym spotkaniu”.

Kiedy ojca nie było, sypiałam w jednym łóżku z matką. Teraz to się wydaje dziwne - nastolatka, która co noc sypia w jednym łóżku z matką, w nadziei, że od tego będzie się czuła mniej samotna. Przyglądałam się jej cowieczornym rytuałom: jak smarowała dłonie kremem, odkładała książkę, dwa razy sprawdzała budzik. Kiedy byłam pewna, że już śpi, gasiłam światło.

Dzwoni znajomy, pyta, czy dam się wyciągnąć z domu, czy może mnie jakoś rozerwać. Jest z San Diego, chodzi na kursy ROTC, po których zostanie oficerem wojska. Ma sześciu braci, z których wszyscy chodzili na ROTC i zostali wojskowymi.

- Będę cię chronił - obiecuje.

- Okay - mówię.

Ten chłopak z ROTC ubiera się na ogół w bluzy hokejowe. Najbardziej lubi taką z numerem „99” - to numer Wayne'a Gretzky'ego, wyjaśnił mi kiedyś. Ale gdy się spotykamy na stacji metra, przy ostatnim wagonie, ma na sobie obcisły biały T-shirt pod rozpiętą, krótką jesionką. Żadnego swetra. Jego czarne włosy są przycięte krócej niż ostatnim razem, kiedy go widziałam. Idziemy do klubu po-  
tańczyć.

W klubie śpiewa na żywo kobieta w biustonoszu z czarnymi skórzanymi frędzlami. Łaskoczą jej tłusty, brązowy brzuch.

Przyszły oficer przynosi mi drinka, a potem tańczy blisko mnie, i to wcale nie aż tak źle. Ma nos jakiś taki świński, oczy zielone jak kaktusy, wygłodniałe.

- Ale mnie kręci brzuch tej baby - mówi.

- Wiem, mnie on też się podoba.

- Że co?



- Podoba mi się jej brzuch! - wrzeszczę.

- Mnie też - on mi na to. Obraca się w moją stronę, ja robię krok ku niemu i tańczymy. Tańczymy na cześć wydatnego brzucha kobiety.

Na scenę wchodzi jeszcze jeden zespół i z sufitu powoli opuszcza się klatka. W środku zamknięta jest kobieta, która zaczyna się rozbierać.

Przestajemy tańczyć i stajemy w głębi sali, popijamy drinki przez czerwone słomki, które są takie cienkie, że on używa aż czterech.

- Wiesz co? - mówi do mnie. Wygląda na zezłoszczonego, jego świniowaty nos robi się jeszcze bardziej świniowaty.

- Co? - Jest strasznie gorąco. Jego T-shirt jest całkiem przesiąknięty potem. Ja mam na sobie sweter, skóra na twarzy tak mi pulsuje, jakby była poparzona od słońca.

- Jeśli kiedykolwiek spotkam tego faceta, który ci to zrobił...

- Tak? - mówię i czekam. W rzeczy samej balansuję na czubkach palców.

- To go zabiję.

- Jak? - pytam, nagle oczarowana, urzeczona, zakochana.

- Gołymi rękami.

- Gołymi rękami? - powtarzam. Opadam na całe stopy, flaczę, patrzę na jego ręce. - I coś by z tego było?

- Jasne - mówi. - Czemu nie?

- Masz rację, czemu nie? - odpowiadam, pełna wątpliwości, przygnębiona. Przepraszam go i idę do toalety.

Zostajemy tam aż do trzeciej, oglądamy taniec dziewczyny w klatce, ale wolelibyśmy, żeby na scenę wróciła kobieta z brzuchem. Nadal jest bardzo gorąco, więc pijemy i pijemy, żeby się ochłodzić. Tutaj trzeba płacić za butelkowaną wodę - nie dostaniesz nawet wody z kranu - więc pijemy wódkę.

Przed klubem, gdzie jest nareszcie chłodno, chłopak ze szkoły oficerskiej zabawia się w przebieganie między samochodami tak, by nie dać się zabić. Jest to zabawa zwana ulicznym slalomem, wyjaśnia, uprawia ją od szkoły średniej. Tydzień wcześniej uznałabym go za imbecyla; teraz uważam, że jego towarzystwo działa na mnie ożywczo. Patrzę na niego, wśród tych samochodów, które wszystkie trąbią, i stwierdzam, że to urodzony bohater. Kiedy wraca na chodnik, gdzie czekam na niego, dyszy ciężko i uśmiecha się z satysfakcją. Pozwalam mu się obejmować przez minutę. A potem pozwalam, żeby mnie zabrał do siebie, taksówką. Jedziemy w górę FDR, żujemy gumy balonowe „Bazooka” i czytamy sobie nawzajem nasze horoskopy.

W jego mieszkaniu, w kampusie, ktoś powyjmował prawie wszystkie siedziska z kanapy. Nigdzie tych siedzisk nic widać. Roślina w kącie umarła tak dawno temu, że nie wiadomo, co to było. Na stole, obok płyty DVD z komedią o drużynie hokejowej *Slap Shot*, z udziałem Paula Newmana, leży

woreczek z brązowej skóry, ściągany na tasiemkę, oraz kilka marmurowych kulek. Kiedy próbuję wziąć do ręki jedną kulkę - zieloną w białe esy-floresy - przekonuję się, że jest przyklejona do blatu.

- Ha-ha - mówi on. - Dała się nabrać.

Biorę do ręki woreczek i wytrząsam jego zawartość - jakieś białe kamyczki z dziwnymi napisami.

- Co to jest? - pytam, gładząc kamyk wielkości kostki domino.

- To są runy - wyjaśnia. - Norweskie. Magiczne.

Mruga czerwone światełko sekretarki. Narzuca na nią bluzę. Na środku głównego pokoju stoi i szumi czarna lodówka. Wewnątrz, na każdej półce stoją butelki z piwem. Wyglądają jak kręgle. Chłopak z ROTC wręcza mi jedną.

- No więc co recytowałaś? - pyta.

- Philipa Larkina, trochę Frosta. Nie pamiętam.

- A co z Dantem? Nie recytowałaś Dantego?

- Nie. - Siadam na samotnym siedzisku kanapy, trzymając w lewym ręku runy, a w prawej butelkę.

- Kurwa, ten Dante jest zajebisty - stwierdza on.

- O tak - zgadzam się.

Słyszę odległą syrenę karetki pogotowia.

I wtedy on to robi: staje na plastikowym krzeselku i wykrzykuje kilka pierwszych wersów *Pie-  
kła*.

Klaszczę, żeby mu przerwać i sprawić, żeby zszedł z krzesła. Jest za duży, by tak stawać na krześle.

- Pamiętasz tę dziewczynę, o której napisałem w moim opowiadaniu? - pyta.

Przytakuję.

Przyszedł dwa razy na mój dyżur w Centrum Doksztalceniowym, żebym mu pomogła w pisaniu. Najpierw sklasyfikowałam go jako chamowatego osiłka, któremu trzeba będzie pokazać różnice między czasem przeszłym i zaprzyszłym albo między przecinkami i średnikami. Ale kiedy pokazał mi opowiadanie, które napisał, opowiadanie, które musiałam zatwierdzić jako jego dzieło, powiedziałam mu, że nie potrzebuje korepetytora, a w każdym razie nie takiego jak ja. Zresztą uniwersytet płacił mi za pomaganie studentom niższych lat w pisaniu referatów z historii sztuki.

- No wiesz, tę dziewczynę z ustami i skórą? - wyjaśnia.

- Tak - mówię, przypominając sobie wątek miłosny w opowiadaniu. - Pamiętam.

- To byłaś ty.

Odbija mu się. A potem idziemy do jego sypialni. Zdejmuję sweter. Pod spodem noszę sportowy top.

- Hej - mówi on. - Dlaczego się nie rozebrałaś, kiedy było tak gorąco?

- Bo nie potrafię chodzić tylko w tym. - Patrzę na to, w co jestem ubrana. Bardzo długie ramiączka, ten top ledwie zakrywa moje sutki. - W tym wszystko widać.

Chłopak z ROTC jest bardzo wysoki, więc ma wyjątkowo długie łóżko.

- Trzeba kupować bardzo długie prześcieradła, żeby zakryły cały materac - mówi mi i niemalże się boję wejść do tego łóżka. Boję się tego, co mogłabym tam znaleźć. I widzę bez cienia wątpliwości, że są tam podejrzane miejsca, gdzie dopiero co zaschła jakaś ciecz.

- Obrzydliwość - mówię.

Wyjmuje z ust protezę z dwoma sztucznymi zębami.

- To przez hokeja - wyjaśnia i ciska protezę na podłogę. Potem mnie całuje. Nie posuwa się od razu dalej i za to go lubię. Za to, za Dantego i za to, że dla mnie byłby gotów zabić człowieka. Lubię tego zabawnego, szczerbatego sześciolatniego braciszka, który ma plamy na swym bardzo długim prześcieradle, które czuję pod moimi bosymi stopami.

Kładzie mi rękę na brzuchu, a ja tłamszę w sobie impuls, żeby go wciągnąć. Rozmawiamy o brzuchu tamtej kobiety.

- No weź mi uwierz, to był odjazd: sama kwinta i esencja kobiecości - mówi.

Żałuję, że nie mam większego brzucha.

Po powrocie do domu zastaję kartkę od mojej współmieszkanki; napisała, że Tom dzwonił wieczorem trzy razy i że dopytywał się, gdzie jestem. Posyłam mu e-maila, w którym wyjaśniam, że spędziłam noc u matki mojej koleżanki Theresy. „Theresa jest w Waszyngtonie - piszę - ale jej mama jest terapeutką i pomaga mi przejść przez to wszystko”.

Specjalista od nieprzyjemnych zapachów, do którego zadzwoniłam, sygnalizuje swoje przyjście trzema głośnymi stuknięciami do drzwi. W ogłoszeniu w książce telefonicznej twierdzili, że potrafią zidentyfikować i usunąć każdy zapach - gotowania, zwierząt, trupów.

Specjalista ma na sobie kombinezon na szelkach oraz białe buty. Robi prędko obchód mieszkania.

- Nic nie czuję - oświadcza.

- Naprawdę? - dziwię się. Cicho wypuszczam oddech i staram się ukradkiem go powąchać.

- Ale z kolei - mówi on, otwierając kuchenną szafkę - wcale nie muszę go poczuć. Nie mam tak wyostrzonego zmysłu powonienia. Za to mój brat, on jest naprawdę dobry. Na pewno coś by poczuł.

Jeśli zapach nadal będzie mi przeszkadzał, to mam zgodnie z jego zaleceniem tylko jedno wyjście: pozamykać okna, podkręcić ogrzewanie, żeby wydobyć zapach ze ścian, a potem znów pootwierać okna, żeby wywietrzał.

- Nawet teraz, zimą? - pytam.

- Otóż to - mówi. - Pewnie będzie pani musiała przeprowadzić się do hotelu czy co tam, kiedy okna będą otwarte.

Dziękuję mu i wypisuję czek, wiedząc, że jest bez pokrycia.

Dzwoni Sara.

- Cukiereczku, jak się masz?

Jest jedyną kobietą, której pozwalałam tak do siebie mówić.

Nie było jej kilka dni, dopiero teraz odebrała moją wiadomość.

- Na pewno tylko kilka dni? - pytam.

Prosi o pełne sprawozdanie, od początku do końca. Podaję jej skróconą wersję; jestem świadoma uciekających minut, wiem, że jej rachunek telefoniczny urasta do kwoty, na którą ona nie może sobie pozwolić.

- Wiem, że jeszcze się na niego nadzieję. - Kiedy to mówię, dociera do mnie, że to prawda.

- Niemożliwe - zapewnia mnie Sara. Mówię jej, że chciałabym w to wierzyć.

- No przecież sama powiedziałaś, że on nawet nie wiedział, co to za dzielnica, prawda?

- No tak.

- Więc myśl o tym w ten sposób: że za nic nie będzie chciał wrócić na miejsce przestępstwa. Będzie się trzymał jak najdalej.

- Tak myślisz?

- Ja to wiem - odpowiada. Sara jest najmądrzejszą osobą, jaką znam.

- A tobie jak leci? - pytam. Już mnie to męczy, że każda rozmowa dotyczy mnie, jego. Kiedy zmarł starszy brat Sary, wszystkie nasze rozmowy dotyczyły jej. Wołałam, jak tak było.

- Świetnie - mówi. - Naprawdę świetnie. - Opowiada, że spędziła ostatnie kilka dni z rodziną, która ją zatrudnia jako opiekunkę do dzieci, na wyspie w pobliżu Galway, gdzie od setek lat nic się nie zmieniło. - Ludzie tam mówią i ubierają się tak samo jak sto lat temu - mówi. - Jak mnie odwiedzisz, to się tam przejedziemy.

Nie mam pieniędzy na taką wycieczkę.

- Fantastyczny pomysł - stwierdzam.

Idę do pracy w Centrum Doksztalceniowym, gdzie udzielam korepetycji studentom zagranicznym i sportowcom. Lubię to o wiele bardziej niż moją dawną pracę w instytucie historii ustnej. Uniwersytet płaci mi za to, że co tydzień odbywam indywidualne, godzinne spotkania z dziesięcioma studentami historii sztuki; z tych dziesięciu lubię sześciu. Uwielbiam troje.

Moja pierwsza uczennica tego dnia to gwiazda koszykówki, która wydaje się za niska, aby mogła być dobra w koszykówce. Próbuje napisać referat na temat obrazu Picassa. Na tym obrazie dziewczyna przegląda się w lustrze, ale odbicie przedstawia coś innego. Próbuję wytłumaczyć, o co chodzi w tym obrazie, i wkurzam się. Zasady zdają się prowadzić mnie donikąd, więc postanawiam je złamać.

Biorę pióro do ręki i piszę esej składający się z pięciu akapitów, gdy tymczasem ona siedzi naprzeciwko mnie i czeka.

- Proszę - mówię i wręczam jej to, co napisałam.

Koszykarka ma na głowie czapkę baseballową z napisem „Nie podchodź, gryzę”. Patrzy na kartki, potem na mnie.

- Ale fajnie, że tak możesz - mówi.

- Zawsze łatwiej, kiedy to nie jest twój własny referat - odpowiadam.

- Nie, chcę powiedzieć, że fajnie, że możesz zrobić to dla mnie.

- Nie powinnam - mówię i pochylam się w jej stronę. - Błagam, nie wygadaj się.

- A co tu jest do gadania? - pyta i uśmiecha się.

Mój drugi student to Węgier. Jest potrójnym magistrem, który lubi ser. Jeden z dyplomów ma z historii sztuki; pozostałe to niemiecki i biologia. Kiedyś mi wytłumaczył, że Buda i Peszt znajdują się po przeciwnych stronach rzeki. W zamian powiedziałam mu, że San i Francisco znajdują się po przeciwnych stronach zatoki.

Mówi, że w te święta Bożego Narodzenia po raz pierwszy od wielu lat odwiedzi rodzinę. Przyniósł katalog towarów wolnocłowych wydany przez węgierskie linie lotnicze.

- Czy zechcesz pomóc mi wybrać prezenty dla mojej rodziny? - pyta nieśmiało.

Wybieramy perfumy dla jego mamy, walkmana dla siostry, wodę kolońską dla brata i zegarek dla ojca.

- Dziękuję ci - mówi. Wiem, że ledwie go stać na te prezenty.

Przyniósł podanie o stypendium, które ma nadzieję dostać. Pracujemy nad tym podaniem przez trzy godziny, robiąc sobie przerwę na pizzę z podwójną mozzarellą. Oferuję, że napiszę mu list polecający.

- Naprawdę? - pyta. Ma szeroki, ufny uśmiech, który sprawia, że chcę, by dostał wszystko, czego chce i potrzebuje. - Zrobisz to dla mnie?

- Jasne - odpowiadam. Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo lubię tego chłopaka.

Idę do domu mojego kolegi Carla, żeby napisać własny referat. Zbyt wielu ludzi dzwoni do mojego mieszkania - no i ten smród. Carl ma trzydzieści lat, jest na stypendium magisterskim. On i jego dziewczyna uważają mnie za swoją młodszą siostrę, którą to rolę odrzucałam aż do teraz. Pozwałam mu zrobić sobie herbatę i kanapkę, przygotować biurko. Rozmawiamy o Chile, dokąd pojechał, kiedy był w moim wieku, i służył w Korpusie Pokoju, i gdzie się rozchorował i stracił dwadzieścia pięć funtów wagi. Pokazuje mi zdjęcia, jak tańczy z chilijskimi dziećmi. Wygląda jak szkielet, ale jest szczęśliwy. Dzwoni jego dziewczyna, mówi, że chce wpaść i mnie uściskać.

Przestępuje przez próg i zdejmuję kurtkę, ale nie czapkę narciarską. Nigdy jej nie zdejmuję. Dwie osoby mówiły mi, że jest łysa, że wyrywa sobie włosy. Przyniosła kilka grejfrutów, które przysłała jej babcia z Florydy.

- Ona tam mieszka? - pytam.

- Nie - mówi.

Jesteśmy w kuchni. Otwiera skrzynkę nożem; ja dolewam wody do czajnika, żeby zrobić jeszcze herbaty.

- Posłuchaj, rozmawialiśmy o tobie - mówi. Trzyma nóż w ręku, gestykuluje nim w stronę swojego chłopaka. - Ty po prostu musisz o tym zapomnieć.

- Zapomnieć o tym wszystkim? - pytam.

Zapalam zapałkę, przykładam ją do palnika. Wyskakiwaniu płomieni towarzyszy stłumiony syk.

- Tak - mówi ona.

Zdmuchuję zapałkę.

Przed wyjściem dotyka mojego ramienia; liczę do czterech i dopiero wtedy się odwracam.

Zanoszę swoją herbatę, kanapkę i grejfruta na kanapę w dużym pokoju. Dzwoni telefon. Po kilku chwilach do pokoju wchodzi Carl i mówi mi, że jeszcze jeden student historii sztuki chce wpaść i powiedzieć, jak bardzo mi współczuje.

- Ja go nawet nie znam - mówię. - Widywałam go tutaj, ale nigdy z sobą nie rozmawialiśmy.

- Wiem - mówi Carl. - Ale on uważa, że to naprawdę okropne, co się stało. On też ma za sobą jakieś ciężkie przejścia.

Kiedy dzwoni dzwonek do drzwi, siadam prosto. Cały czas czekałam na przyjście jego kumpla.

Carl otwiera drzwi, od kumpla wionie mydłem. Oczy ma niebieskie, a twarz czerwoną z zimna. Jego włosy są dłuższe od moich i kręcą się. Związał je w luźną kitkę. „Jaki on artystyczny”, powiedziałaby moja mama. Ona uważa, że wszyscy mężczyźni z długimi włosami to artyści.

- Cześć, El - mówi kolega, przywitawszy się najpierw z Carlem.

- Hej - witam się z kanapy, na której jem kanapkę.

Nie ma więcej jak pięć stóp i dziewięć cali wzrostu - albo może dziesięć. Stoi obok drzwi, z palcami splecionymi na brzuchu. Chce coś powiedzieć.

- Bardzo ci współczuję - mówi.

Mówi to takim tonem, jakby reprezentował tych wszystkich, którzy są zdolni do współczucia.

*Jest reprezentantem całego świata, myślę sobie. Cały świat przesyła wyrazy współczucia za jego pośrednictwem. A ja go nawet nie znam.*

- Dzięki - mówię, bo nie mogę powiedzieć: „Nie ma czego”. Ale jakoś to dobrze wygląda, że on tu jest, z tą czerwoną twarzą, taki przejęty do głębi, pachnący mydłem, i mówi mi, że on - i w takim



razie również świat - współczuje mi w związku z tym, co się zdarzyło. To pierwszy człowiek, jakiego spotykam od tamtego incydentu, który nie mówi mi, co należało zrobić ani czego ode mnie chce, ani co powinnam zrobić teraz. Mam ochotę powąchać jego skórę z bliska.

Patrzy ponad moją głowę - *Błagam, spójrz znowu na mnie* - w stronę owalnego lustra, o kształcie dużej pizzy.

- Miałem kiedyś takie lustro - mówi. - Trzymałem je w przyczepie mojej furgonetki.

- Naprawdę? - Nie mam pojęcia, o czym mówi.

- To było wtedy, kiedy wszedłem na całego w kokę.

- Pewnie miałeś poważne kłopoty - mówię i zerkam na lustro, bo on patrzy tam właśnie.

Przedstawiciel świata łapie mój wzrok w odbiciu.

- Nie, nie kłopoty, tylko osiemnaście lat.

Uśmiecham się, bez powodu.

Kiedy wchodzę do budynku, w którym mieszkam, obok windy zatrzymuje mnie Danny, nocny portier.

- Hej, mam coś dla pani - mówi. Cokolwiek to jest, paczka, list - nie chcę tego.

- Jeden mój znajomy chciał, żebym dał to pani. Muszę się wysiusiać.

- Ten mój znajomy powiedział: „Przełącz jej, że nad nią czuwam”.

Kręcę głową.

Danny podaje mi kartę baseballową z wizerunkiem Barry'ego Bondsza.

- Powiedział mi: „Ja jestem z San Francisco, ona jest z San Francisco. Czuwam nad swojakami”.

- Dzięki, Danny - mówię. Oczywiście żartuje. Karta jest od niego. Prawda jest taka, że jest mi żal Danny'ego. Bo on pije. Nieraz widziałam, jak pił w pracy. Podobno zostawiły go żona i córka.

- Mądra z pani dziewczyna - mówi.

- Dziękuję - ja mu na to.

- Opowiadałem pani kiedyś, jak próbowałem się dostać do „Va banque”?

- Naprawdę? - odpowiadam. Mówił mi o tym inny portier.

- Wie pani, na jakim pytaniu padłem? To też słyszałam.

- Nie - odpowiadam.

- A właściwie to na odpowiedzi. Kiwam głową.

- Jak się nazywa gospodarz programu *Today*. Trzymam w ręku zdjęcie Barry'ego Bondsza i zastanawiam się, co z nim zrobię.

- Cholerny Matt Lauer! - grzmi Danny. A potem zmienia mu się twarz. - Chce pani zobaczyć zdjęcie mojej Daphne?

- Pewnie - mówię, niepewna, kim jest Daphne. Dziewczyną? Byłą żoną? Psem?

Wyciąga z portfela fotografię, sfatygowaną i wyblakłą ze starości. Przedstawia jego córkę, na oko ośmioletnią.

- Jaka ładna - mówię. - Kiedy to zrobiono?

- Jakies dwanaście lat temu.

- Niesamowite - stwierdzam. Zdjęcie przedstawia ją na huśtawce, za nią widać nogi jakiejś kobiety, huśtawkę popychają dorosłe ręce. - Więc ile ma teraz?

- Mniej więcej tyle co pani - odpowiada. - Dwudziestego siódmego kwietnia skończy dwadzieścia lat.

Nie wiem, co powiedzieć.

- Ano tak - rozpromienia się. - Byk, tak jak jej tatuś. Życzy mi dobrej nocy.

- Karaluchy pod poduchy - dodaje, kiedy wsiadam do windy.

W domu, na lustrze w łazience jest naklejona karteczka z przesłaniem od Susan:

Już w starożytności powiedziano to dosadnie, Podłogę należy myć dokładnie, I że korona ci od tego nie spadnie, Więc proszę, choć raz...

Budzę się wcześnie. Wychodzę z domu, próbuję gdzieś upolować gazetę i babeczkę. Muszę przejść kilka przecznic, żeby znaleźć otwarty sklep. W moją stronę leniwym krokiem podąża znajoma postać w jesionce: chłopak z ROTC.

- Co ty tu robisz? - pytam.

- Człowieku, co za noc.

- Co się stało? - Wygląda okropnie. - Masz podbite oko?

Ignoruje moje drugie pytanie.

- Szukałem tego gościa.

- Jakiego gościa?

- No twojego gościa, tego od pistoletu.

- Naprawdę? - Jest mi miło, dziwnie i mdli mnie. - To on ci to zrobił? - pytam i próbuję spojrzeć mu w oboje oczu.

- Nie, w ogóle go nie znalazłem. Przypadkiem wdepnąłem do tego klubu dla transwestytów i wdałem się w bójkę z jakimś kretynem. Przeleciałem przez szybę w samochodzie.

- Co?

- Właśnie wracam z pogotowia. Wyciągali mi z pleców odłamki szkła. Bolało jak jasna cholera.

Nie jestem pewna, czy mu wierzę.

- Ale pielęgniarka była naprawdę seksowna - dodaje.

Nie potrafię się powstrzymać.

- Miała takie usta i skórę jak ja? - pytam.

- Nie, była z Wenezueli.

- Mówię o twoim opowiadaniu, o dziewczynie, która była taka jak ja.

- Jaka dziewczyna?

- No wiesz, ta ze skórą. I ustami.

Patrzy na mnie i dotyka okolicy oka, która nabiera barwy kałuży benzyny w słońcu.

- Niesamowite, ty się naprawdę na to nabrałaś - mówi i kręci głową.

W ramach ćwiczeń z malarstwa idę na wykład z portretu. Wykładowca uruchamia rzutnik i gasi światła. Zadbałam o to, by usiąść tuż przy drzwiach, pod którymi wlewa się pasek światła z korytarza.

Wykładowca pokazuje kolejne slajdy: portret Giovanni Tornabuoni namalowany przez Ghirlandala, Baldasare Castiglione Rafaela; Fray Hortensio, teolog i zakonnik sportretowany przez el Greca, z którym się przyjaźnił.

Za każdym razem, gdy pojawia się nowy portret, zastanawiam się: *W skali od jednego do dziesięciu, na ile ludzie na obrazie przypominają samych siebie w prawdziwym życiu?*

Nie ma jak się tego dowiedzieć.

Postanawiam wybrać się na studencką imprezę gwiazdkową. Słyszałam, że ma tam być reprezentant świata o czerwonej twarzy. Jadę metrem do dzielnicy, gdzie są fajne sklepy. Przymierzam czarną aksamitną suknię, na którą mnie nie stać, i kupuję ją. Planuję zostawić metkę, unikać czerwonego wina i zwrócić ją następnego dnia.

Przychodzę na imprezę spóźniona, z nadzieją, że reprezentant świata już tam jest. Nie ma go.

Rozmawiam z czterdziestoletnią kobietą ubraną w spódnicę naszywaną cekinami. Przynajmniej z tyłu; z przodu większość już odpadła.

- Nosiłam tę spódnicę, kiedy występowałam z gitarą - wyjaśnia.

- Chciałabym umieć grać na gitarze - mówię.

- Czerwonego wina? - pyta.

- Jasne.

Rozmawiam z facetem, którego znam, i jego dziewczyną, która właśnie przyleciała do miasta. Facet ma uśmiech polityka i gładzi przedziałek w jej tyłku, kiedy mu się wydaje, że nikt nie widzi.

Rozmawiam z kobietą o zbyt długich włosach. Wie o mężczyźnie w parku. Wszyscy wiedzą.

- Zastanawiałam się - mówi do mnie - czy teraz, kiedy to wszystko się dzieje, nadal chcesz pracować w Centrum Doksztaleniowym?

Nie przyszło mi do głowy, że mogłabym odejść.

- Bo gdybyś chciała wziąć urlop czy coś, to mogłabym przyjąć za ciebie zastępstwo.

- Nic mi nie jest - mówię. Moja praca to od jakiegoś czasu pierwsza rzecz, o którą chce mi się walczyć.

Przygnębiona, bo facet, którego przysłałam tu szukać, facet, dla którego kupiłam kciekę, na którą mnie nie stać, nie pokazał się, wymykam się, żeby poszukać płaszcz, i oto w sypialni widzę jego zielony płaszcz. To on ma go na sobie, stoi plecami do mnie.

- Hej - mówię.

- Hej - odpowiada. - Wychodzisz?

- Nie, nie. Właśnie przysłałam po coś. Patrzy na płaszcz w moim ręku.

- Odprowadzę cię do domu - mówi.

- Nie wolisz zostać? - pytam. - Dopiero co przyszedłeś.

- Wpadłem sprawdzić, czy tu jesteś.

Wracamy do mojego mieszkania i kiedy już jesteśmy w środku, wkładam bluzę na moją suknię.

- Nie rozumiem - mówi on.

- Czego?

- Przy innych ludziach nosisz tę suknię i tak wyglądasz, ale kiedy jest nas tylko dwoje, ubierasz się po zęby.

- Tak? - mówię. - A do czego zmierzasz?

Kiedy idzie do łazienki, zdejmuję bluzę, a potem suknię i z powrotem wkładam bluzę. Wkładam spodnie. Zdejmuję je, wkładam spodnie od dresu. Rzucam suknię na krzesło od biurka. Potem wieszam ją w szafie, bo nie chcę, żeby zauważył metkę albo co gorsza ją oderwał.

Nie spieszy się. Kiedy byliśmy nastolatkami, któregoś razu Freddie powiedziała: „Wiesz, co to znaczy, kiedy na starych filmach kobiety mówią, że idą do łazienki, żeby przebrać się w coś bardziej wygodnego? To znaczy, że wkładają sobie krążki dopochwowe”.

Wraca do pokoju, ma świeży oddech.

- Której szczoteczki użyłeś?

- Użyłem palca - odpowiada.

Siada na łóżku obok mnie, a potem mnie całuje. Jego język smakuje Aquafreshem, ale wargi papierosami.

- Nie wiedziałam, że palisz - mówię.

- Wiem. Aż tak źle?

- Nie, jest okay.

Z bliska na jego twarzy widać maleńkie romby, blizny po trądziku. Może to pozostałość z czasu, kiedy miał osiemnaście lat i brał kokę. Kiedy całuję go w policzek, moje wargi dotykają co najmniej dziesięciu takich rombów.

- Twoja skóra ładnie pachnie - mówię. - Tak jakby mydłem.

Reprezentant świata zdejmuje koszulę, spodnie; ściąga gumkę z włosów.

Majtki ma koloru leśnej zieleni; ten model to skrzyżowanie między bokserkami a slipkami.

- Siostra kupiła mi je w Londynie - wyjaśnia. - Pracuje w Tate Gallery.

- Ładne - mówię, zastanawiając się, czy on przypadkiem nie jest gejem.

Kładzie mi dłoń na brzuchu, rozpościerając palce niczym rozgwiżdża. Kładę mu dłoń na brzuchu - ma brzuch piwosza.

Całujemy się przez chwilę i jest nieco duszno, ale miło, a potem on mówi, że musi już iść.

- Muszę wstać wcześniej i nie chciałbym cię budzić. Kiwam głową. Reprezentant świata wkłada spodnie.

- Kościół - dodaje.

Rankiem jadę metrem do fajnych sklepów. Suknia ma dziurę w szwie u podstawy zamka, zastanawiam się, czy cały czas tak było. Denerwuję się, że nie przyjmą jej w sklepie. Ale sprzedawczyni nie zauważa. Nie zauważa ani dziury, ani też że suknia była noszona. Nie widzi mojej zaleźnionej miny.

- Proszę tu podpisać - mówi - żeby dostać zwrot.

Kiedy wychodzę ze sklepu, czuję się tak, jakbym wygrała te pieniądze. Są w mojej kieszeni, ciężkie i grube. Wstępuję do salonu fryzjerskiego i płacę czterdzieści dolarów, razem z napiwkami, żeby przefarbować moje pasemka blond na matowy brąz.

- Jeśli nie chcesz być sama - mówi terapeutka - to może masz jakieś znajome, u których mogłabyś spać? Albo które mogłyby zamieszkać u ciebie?

- Nie ma nikogo takiego - mówię.

- Jesteś pewna?

- Moja najlepsza przyjaciółka Sara mieszka w Irlandii. Moja siostra jest w Anglii. Oprócz nich tak naprawdę nikogo nie mam. Ludzie, wśród których dorastałam, są w Kalifornii. Znajomi z college'u wyjechali w większości do Providence albo Waszyngtonu; tylko ja jedna przeniosłam się do Nowego Jorku. To było zaledwie we wrześniu i wszystkie kobiety, które tu poznałam, mówią mi, że nie należało chodzić do tego parku.

- Ja się tylko tak zastanawiałam, bo człowiek słyszy takie różne historie.

- Jakie historie?

- O gwałtach podczas randek - mówi terapeutka.

- No tak - mówię - pani to się nasłucha. - I wtedy do mnie dociera, że to jeden z elementów całego problemu. Te historie są zawsze takie same - gwałt, gwałt podczas randki, napad rabunkowy, wściekły były chłopak szukający zemsty. Nikt nie wie, co zrobić z taką historią jak moja.

- Po prostu wydaje się... - zaczyna ona i wzdycha.

- Co?

- Wydaje się, że tych mężczyzn jest za dużo. Coś mi się tu z nimi nie zgadza.

Patrzy na moją pierś. Specjalnie wybrałam za dużą bluzę bez żadnego napisu.

- Po prostu się zastanawiam - mówi ona - czy oni cię przypadkiem nie wykorzystują, czy nie wykorzystują twojej sytuacji.

Patrzę przez okno na studentów w czerwonych, granatowych albo czarnych kurtkach, którzy błakają się po pokrytym cienką warstwą śniegu kampusie.

- Ja go nie szukałam - mówię.

Terapeutka podnosi wzrok znad swojego notatnika.

- Nie szukałam żadnego z nich.

- Mogłabyś powiedzieć coś więcej na ten temat? - pyta.

- To wszystko jest takie nieuchwytne, to uczucie, to pragnienie.

- Słucham?

- Nic się nie wiąże z kimś konkretnym - ciągnę. - Z kimś, z kim chciałoby się umrzeć, albo z kimś, kogo chciałoby się kochać. Wszystko jest takie nieuchwytne.

Tom dzwoni do mnie pięć razy na godzinę, ale nie podnoszę słuchawki. Dzwoni do moich drzwi w środku nocy, ale portier nie wpuszcza go na górę. Mówię mu przez domofon, że się boję.

- Czego? - pyta.

- Nie wiem.

- Wpuścisz mnie? - nie ustępuje. - Muszę z tobą pogadać.

Słucham, ale nic nie mówię. Słyszałam plotki, że portierzy, wszyscy czterej, uważają, że to właśnie Tom trzymał pistolet przy mojej głowie, bo nikt nie wierzy, by mógł to zrobić ktoś, kogo nie znam. Ale pogłoski i błędne osądy stanowią teraz dla mnie pociechę, bo wiem, że portier, który akurat ma dyżur, obserwuje go, że tylko czeka, aż on przekroczy linię.

- Wiem, że nie spędzasz nocy w domu mamy Theresy - mówi Tom.

- Moje gratulacje - odpowiadam.

Chłopak z ROTC dzwoni do mnie z baru, pije z kumplami z drużyny po meczu hokeja.

- Mam pinezki w twarzy na twoją cześć! - drze się do telefonu.

Patrzę na zegar. Jest po północy.

- Co? - pytam.

- Kilka żółtych, ale większość jest chyba czerwona.

- Co?

- Hej, Tice! - woła do kogoś innego. - Jakiego koloru są te pinezki?

Słyszę wrzaski, muzykę, w telewizji nadają jakiś mecz, ktoś wznosi toast.

- Tice mówi, że są też niebieskie.

- Masz je w twarzy? - pytam.

- Nie inaczej.

- Ile w sumie?



- Ze dwadzieścia. Jedną mam w nosie.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ - krzyczy, jak się zdaje bardziej na mnie niż do telefonu - chciałem udowodnić, jak bardzo jestem ci oddany.

- Możesz dać Tice'a do telefonu? - mówię. - Muszę go o coś spytać.

- Jasne. I wtedy mi uwierzysz?

- O tak.

- Tice! - słyszę go, jak się wydziera. Kładzie słuchawkę obok aparatu i słyszę jego głos z odległości kilku stóp. - Tice, dalej, chodź tu!

Odwieszam słuchawkę.

Dzwoni Tom, mówi, że chce z powrotem swoją lampę. Przyniósł ją którejś nocy, żebyśmy oboje mogli czytać w łóżku. Innej nocy, kiedy się rozbierał, przed seksem, narzucił na nią swoją koszulkę. Koszulka była czerwona i nasze ciała wyglądały tak, jakby znajdowały się w cieplarni.

- Zostawię ją na dole, u dozorczy - mówię.

- Świetnie - odpowiada. - Wpadnę za dziesięć minut.

Odkładam słuchawkę i wyjmuję wtyczkę lampy z gniazdka. Ktoś zatrzymuje windę na dziesiątym piętrze, nie chce mi się czekać, więc schodzę schodami. Kiedy zbiegam z ostatniego piętra, widzę Toma wchodzącego do holu. Kłamczuch, musiał dzwonić z automatu pod domem. Idzie w moją stronę, wrywa mi lampę z rąk, z taką siłą, że aż się zataczam do tyłu. Wychodzi, nie mówiąc ani słowa. Sznur lampy wlecze się za nim jak smycz.

Jest wtorek, czyli dzień podlewania roślin. Cieszę się, że sobie o tym przypomniałam: to znak, że wszystko wraca do normy. Wyrzucam zawartość kosza na śmieci stojącego w łazience. Zauważam, że moja współmieszkanca używa nadmiernych ilości nici dentystycznych. Napęlam kosz wodą z kuchennego zlewu. Nad kurkiem znajduję kartkę od Susan:

Proszę, spełń me marzenia

I pozmywaj naczynia.

Mamy trzy rośliny. Zaczynam od podlania tej w mojej sypialni, niskiej, o obłych liściach przypominających jęczory. Nie mogę sobie przypomnieć, ile ona potrzebuje wody, więc leję i leję, aż wreszcie widzę, że woda zaczyna wyciekać z dołu. Wycieram jej nadmiar czystą skarpetką nie do pary. Z lampy w kuchni zwisają spirale lepów na muchy, podobne do DNA, z karnisza w jadalnym i z gwoźdza w korytarzu. Żadne muchy się dotąd nie złapały.

Reprezentant świata o czerwonej twarzy pyta, czy mam ochotę zjeść kolację gdzieś w okolicy. Mieszka cztery przecznice dalej. Przeprowadził się niedawno z Lower East Side, a przedtem z Teksasu, bo jego życie w obu tych miejscach było zbyt pełne stresu, zbyt pełne złych ludzi i upiórów.

- Upiórów? - dziwię się.

- Pod postacią kobiet.

Umówiliśmy się, że wybierzemy się na kolację o ósmej trzydzieści, że on zadzwoni zawczasu i wybierzemy lokal. Jest ósma czterdzieści pięć i moja współmieszkanka puka do moich drzwi; mówi, że zapomniała mi przekazać, że dzwonił godzinę wcześniej, kiedy rozmawiała z drugiego aparatu.

Oddzwaniem do niego, ale telefon dzwoni i dzwoni. Dzwonię jeszcze raz o dziewiętej, linia jest zajęta.

Nie mogę znaleźć sobie miejsca i po raz pierwszy od długiego czasu jestem głodna, więc idę do jego mieszkania i dzwonię do drzwi. Z ulgą słyszę jego kroki. Otwiera drzwi, patrzy na mnie podejrzliwym wzrokiem.

- Co jest? - pyta.

- Słucham? - odpowiadam.

Otwiera drzwi na oścież.

- Bardzo proszę, rozejrzyj się. Nie wiem, na czym dokładnie miałaś nadzieję mnie przyłapać.

- Na niczym - mówię i tłumaczę, że nie przekazano mi, że dzwonił. Kiedy to mówię, czuję, że moja twarz czerwienieje, tak bardzo, że zapewne upodabnia się teraz do jego twarzy. Może to zaraźliwe. Może wszyscy ludzie, którzy coś podejrzewają, mają czerwone twarze. Może było nam pisane, abyśmy byli razem, ja i ten mężczyzna o długich włosach, i abyśmy mieli dzieci o czerwonych twarzach.

- Masz jeszcze ochotę na kolację? - pytam.

- Jasne - mówi on. Cofa się do mieszkania, bierze szalik i płaszcz. Przed wyjściem na klatkę, gdzie na niego czekam, zatrzymuje się na chwilę na progu. - Przepraszam - mówi.

Zanim udaje mi się coś powiedzieć, wyciąga coś z kieszeni.

- To gaz pieprzowy - wyjaśnia i wsuwa mi w garść flakonik w czerwonej skórce, z doczepionym łańcuszkiem.

- Dzięki - mówię.

- Nie wiem, czy to by się wtedy przydało...

- Dzięki - powtarzam, przerywając mu.

- Nie jest to zbyt romantyczny prezent - on na to.

Robię krok w jego stronę, pociągam nosem, kiedy go całuję. Chciałabym wkleić sobie do nosa to mydło, którego używa.

Idziemy kilka przecznic dalej, do włoskiej restauracji, gdzie znają go kelnerzy.

- Wcześniej dziś pan przyszedł - mówi mu dwóch.

- Na ogół przychodzę tu o jedenastej albo dwunastej - wyjaśnia reprezentant świata. - Co wieczór, bo prawie zawsze zapominam o jedzeniu. To jedyny lokal w okolicy otwarty do tak późna.

- Jak możesz zapominać o jedzeniu? - pytam.

Ledwie pamiętam cokolwiek z tego, co zjadłam od epizodu z mężczyzną, parkiem i pistoletem, z wyjątkiem chow fun w chińskiej restauracji, pizzy, którą zjadłam z moim uczniem, i waniliowego jogurtu, który zjadłam na stojąco przed otwartą lodówką, wybierając go z kubka łyżeczką.

- Wydaje mi się, że chciałbym mieć w życiu coś stałego - oświadcza.

- Ty? - dziwię się.

Serwetka spada mi na podłogę.

- Trochę mi to zabrało czasu, ale wreszcie zrozumiałem, że najwyższy czas się ustakować.

- Mówisz o kupnie domu? Psa? - pytam i uśmiecham się. Ma takie same jasnoniebieskie oczy jak moja matka.

- Nie, tylko...

Gapię się na jego ucho; ma w nim dziurkę, ale nie nosi kolczyka.

- O właśnie tak - mówi i patrzy na mnie. - Właśnie tak jest dobrze.

Wracamy do jego mieszkania. Jest spartańskie: duży pokój, mała kuchnia, jedna sypialnia.

- W tym budynku są dwa różne plany mieszkań - mówi mi. - Plan A i plan B.

- A ten jest który? - pytam.

- B.

Siadam na jego kanapie, a on siada na krześle przy biurku. Z półki nad biurkiem ściąga dla mnie książkę z esejem, który chwalił przy kolacji. Czytam pierwszą stronę. Jest poświęcony słowu „bezplodny”.

- Podoba mi się - mówię.

Wręcza mi butelkę z keczupem, dostał ją od jakiegoś artysty, którego jest wielbicielem. Biorę ją, oglądam i oddaję.

- Heinz - mówię. - Heinz jest najlepszy.

- Mhm - mówi facet o czerwonej twarzy. Szuka czegoś jeszcze w szufladach biurka.

Poruszam jakieś zwyczajne tematy, by wypełnić milczącą przestrzeń między nami. Opowiadam mu, jak kilka tygodni wcześniej poszłam do restauracji w centrum, gdzie na stoliku stały butelki po keczupie Heinza, ale keczup wcale nie smakował jak heinz. Spytałam kelnera, a on mi powiedział, że po prostu pompują bezimienny keczup do butelek po heinzu. Reprezentant świata klęczy, szukając teraz czegoś w dolnej szufladzie szafki.

- Powiedział mi, że mam wyczulone kubki smakowe - dodaję.

- A popatrz na to - mówi on. Podaje mi fotografię Jacksona Pollocka. - Została zrobiona na kilka dni przed jego śmiercią.

- Bomba - stwierdzam.

Potem pokazuje mi zdjęcie swojego rodzeństwa: trzech bracia, którzy są do niego podobni, i siostra, która nie jest. Wskazuję palcem siostrę.

- Mieszka w Anglii, prawda?

- Tak - odpowiada. - Pracuje w Tate Gallery.

- Już mi to mówiłeś - przypominam. Ale potem robi mi się głupio, więc pytam: - Gdzie to zostało zrobione?

- Na zjeździe rodzinnym w Ohio. Tam, gdzie mieszkają nasi dziadkowie.

- Ohio - mówię. - Z żadnego stanu nie wywodziło się tylu prezydentów co stamtąd.

- Nie rozumiem?

- Ośmiu prezydentów pochodziło z Ohio.

- Naprawdę? - mówi. - Interesujące.

Robi mi się smutno, że wykorzystałam informację, którą dostałam od jednego mężczyzny, by zrobić wrażenie na drugim. Przez krótką chwilę żałuję, że nie jestem z Tomem, że nie patrzę na te jego zielonkawe włosy, że jego wielkie usta nie obejmują całego mojego ucha.

Reprezentant świata klaszcze w dłonie, jakby chciał powiedzieć: No, dosyć na tym.

- Gotowa do łóżka? - pyta.

- No pewnie.

Idę do łazienki umyć zęby. Kusi mnie, żeby zajrzeć do jego apteczki, ale nie zaglądam; ściany są takie cienkie, boję się, że on usłyszy skrzypienie. Wychodzę z łazienki, uśmiecham się. Po drodze do łazienki wymija mnie ostrożnie, starając się o mnie nie otrzeć.

Nad jego łóżkiem wisi krzyż. Ostatni raz spałam pod krzyżem w Portugalii, gdzie zatrzymałam się w schronisku młodzieżowym, urządzonej w dawnym klasztorze. Zawsze chciałam obejrzeć architekturę Lizbony - siostrzanego miasta San Francisco, twierdzą niektórzy. Dotarłam tam na ostatnim roku college'u za pieniądze ze sprzedaży moich komórek jajowych.

Przez wiele tygodni w gazetce wydawanej w kampusie pojawiała się ogłoszenie: „Bezpłodna para z Nowego Jorku szuka zdrowej studentki jako dawczynie komórek jajowych”. Kiedy cena poszła w górę, odpowiedziałam na ogłoszenie.

Para chciała zobaczyć mnie osobiście. Wczesnym rankiem wsiadłam do pociągu. Miejscem umówionego spotkania był statek stojący w porcie, USS *Nieustraszony*, w pobliżu autostrady West Side - nie chcieli, żebym się dowiedziała, gdzie mieszkają. Kobieta miała trzydzieści lat, mężczyzna dwadzieścia parę. Trzymali się kurczowo za ręce, jakby ich bezpłodność osłabiła ich małżeństwo. Oboje nosili wielkie swetry, jakby już byli w ciąży i robili sobie na nią miejsce. Kiedy mnie zobaczyli, w ich oczach pojawiło się tyle nadziei, że musiałam spuścić wzrok i udawać, że badam jakąś plamę na moim płaszczu.

Byli zadowoleni, że mam niebieskie oczy (ona miała niebieskie oczy) i że zdobyłam dużo punktów z matematyki na testach kończących liceum (on był magistrem ekonomii uniwerku w Filadelfii).

Przestałam pić, przez miesiąc dostawałam zastrzyki w pośladki, zastrzyki, dzięki którym wytwarzałam więcej komórek jajowych, aż wreszcie lekarz powiedział, że mam ich w sobie dwadzieścia pięć.

- Nic dziwnego, że mam taki brzuch - zażartowałam.

Lekarz spojrział na mnie ze zdziwieniem.

Na trzydzieści sześć godzin przed zabiegiem miałam dostać ostatni zastrzyk. Zadzwoiłam po Sarę - to było na kilka miesięcy przed naszym ukończeniem college'u i jej wyjazdem do Irlandii. Wychyliła cztery kieliszki wódki „Ketel One”, a potem zrobiła mi zastrzyk. „Liczę do trzech”, powiedziała. Musiała policzyć do pięciu, zanim zebrała się na odwagę.

Szanse na powodzenie były nikłe, ale udało się. Zaszli w ciążę, a ja pojechałam do Lizbony. Jeden z punktów podpisanej przeze mnie umowy stwierdzał, że nie będę nigdy próbowała nawiązać kontaktu z tym dzieckiem.

Czasami wydawało mi się, że ją widzę. *Dlaczego zawsze sobie wyobrażam, że to dziewczynka?* Jakoś nie potrafiłam pomyśleć, że jajeczka, które w sobie noszę, mogłyby zawierać stygmat chłopca. Zawsze jednak, kiedy widziałam małe dziewczynki i wydawało mi się, że to może być ona, musiałam sobie przypominać to, co wiedziałam z matematyki. Zero prawdopodobieństwa, że dana ośmiolatka może być moja, choćby nie wiadomo jak była do mnie podobna, choćby nawet miała piega na dolnej wardze.

Reprezentant świata wychodzi z łazienki ze świeżym oddechem. Wpełza do łóżka, a potem ja kładę się obok niego. Muszę się mocować z prześcieradłami, łóżko zostało zasłane tak ciasno.

Na nocnym stoliku leży stos starych egzemplarzy „Texas Monthly”, a obok stoją fotografie w ramkach. Jedna z nich przedstawia jego na plaży, w otoczeniu rodziny. Jego matka ma na sobie bikini.

- Masz seksowną matkę - mówię.

Bierze zdjęcie i obraca je przodem do lampy. Z tyłu ramki wciąż jest przyklejona nalepka z ceną.

- Och, czekaj - mówi.

Wstaje - znowu jest ubrany w te śmieszne brytyjskie majtki, tym razem niebieskie. Idzie do dużego pokoju i wraca z czymś w ręku: zapalniczka. Staje plecami do mnie, a kiedy się przesuwa, na szafce pali się świeca. Świeca jest czerwono-niebiesko-turkusowa, w mozaikowy wzór. Jest wypalona do połowy w szklanym świeczniku.

- Zrozumiem - mówi - jeśli po tym wszystkim ty nie...

- Naprawdę ci dziękuję - przerywam mu. Nie chcę słyszeć dalszego ciągu tego, co ma do powiedzenia. Nie chcę tam być, w parku. - Jesteś strasznie miły. - Całuję go mocno i znacząco. Nie palił przez całą kolację ani też później, dociera do mnie. - Jesteś naprawdę niesamowicie miły - dodaję.

Ta moja czułość też jest taka jakaś nieuchwytna. Wchłonęłam całe to pragnienie i samotność, jakie mi narzucono, i one teraz wyciekają ze mnie, razem z potem, śliną, słowami, zalewając tych, których dotykam, przesączając się w nich.

Później, w ciemnościach, reprezentant świata odsuwa się ode mnie, zasypia. Słysząc jakiś rumor, a on nic, śpi w najlepsze. Budzę go.

- Co to za hałas? - pytam.

- To ogrzewanie. Budynek jest stary i rury tak hałasują.

- Całą noc?

- Tak.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zasnę.

- Mam wrażenie, że ktoś próbuje się wydostać z piwnicy - mówię. - Posłuchaj tylko. To łupanie brzmi jak alfabet Morse'a.

- Niby kto by miał być w piwnicy? - pyta on.

W mojej wyobraźni te dźwięki układają się w słowa NA POMOC.

- Nie wiem - mówię.

Reprezentant świata wstaje, żeby się przejść do łazienki, a kiedy wraca do pokoju, podkrada się do stóp łóżka i chwyta mnie za kostki.

- Puj! - mówi, ja wtedy wrzeszczę, a on chichocze.

Potem łaskocze mnie po całym ciele, aż do pach. Wiję się, miotam, a on wspina się dalej, aż wreszcie jego głowa znajduje się ponad moją. Nie śmiałam się tak od wielu dni, tygodni. Kiedy wreszcie układam głowę do snu, poduszka jest mokra od łez ukojenia.

Wciąż śpię, kiedy dzwoni telefon. W pokoju jest jeszcze ciemno. Po sygnale sekretarki odzywa się czyjś głos. „Jesteś tam? Halo? Jesteś tam? Mówi Nina. Halo, halo!”

Kobięcy głos się śmieje. Reprezentant o czerwonej twarzy nie robi żadnego ruchu, by wstać. Słysząc szczęknięcie i przewijanie się taśmy w sekretarce.

- Kto to jest Nina? - pytam w ciemnościach.

- Samantha - mówi i wzdycha.

- Co?

- Ona ma na imię Samantha. Dzwoni czasami i udaje inną kobietę. Jest popieprzona.

- Ale kim ona jest? - Zerkam na świecę.

- Chodziliśmy z sobą w college'u.

- W Austin?

- Tak. Przepraszam cię za to - mówi.

Przytula mnie do siebie, ale nie dość mocno. Znowu zaczyna szczerkać ogrzewanie.

- Co się z nią stało?



- Stale zachodziła w ciążę. Byliśmy wtedy młodzi i... Miała trzy skrobanki w ciągu jedenastu miesięcy. Od tego tak jej odbiło.

- Jezu - mówię. - Współczuję.

- Nie słuchaliśmy lekarzy. Mówili nam, że nie powinniśmy uprawiać seksu przez tydzień od zabiegu, a my po prostu... to było tak dawno temu. Kiedy byłem uzależniony od koki. Dwanaście lat temu czy jakoś tak.

Liczę w głowie.

- A ja myślałam, że masz dwadzieścia osiem lat - mówię. Wzdycha.

- Kłamałem.

- Dlaczego?

- Bo ty masz dwadzieścia dwa czy jakoś tak.

- Dwadzieścia jeden - mówię. - Opuściłam jedną klasę.

- No to jeszcze gorzej. Mam trzydzieści jeden.

Opada mi szczęka.

- Nie chciałem cię nastraszyć. Gapię się na niego.

- Którą klasę? - pyta.

- Drugą - wyjaśniam. - Dlatego tak bazgrołę. W drugiej klasie uczą kaligrafii.

- Hmm - mówi on, a potem znowu zasypia.

Rankiem ścielę łóżko, potem parzy kawę. Rozlewa ją po drodze, nalał za pełno. Na kubku jest napis „Le Metro” oraz zarys planu Paryża. Zajęliśmy nasze stanowiska: ja na materacu, on na krześle przy biurku. Pyta, czy tego wieczoru też chcę iść z nim na kolację.

- Okay - mówię.

- O dziewiątej? - pyta.

- Okay - godzę się. - Przyjdę po ciebie tutaj, bo chcę cię szpiegować i sprawdzić, co namotałeś.  
- Mówię to takim tonem, by to zostało odebrane jak dowcip, ale on się nie śmieje.

- A może się umówimy w restauracji rybnej przy Sto Dziesiątej? - proponuje.

*Śmieję się, mam ochotę powiedzieć. Proszę, śmieję się. Ja żartowałam, a ty jesteś reprezentantem świata i chcę, żebyś się śmiał.*

Jednak z moich ust nie padają żadne słowa. Chwytam płaszcz, ten sam niebieski z kieszeniami w kratkę. Całuję go na pożegnanie. Wsuwa jedną rękę za mój pasek, chwyta mnie za majtki i przyciąga ku sobie. W drugiej ręce trzyma paczkę papierosów. Czeka. Wychodzę.

Po drodze do domu wydaje mi się, że widzę mężczyznę z rudawymi włosami i pistoletem. Idzie ulicą, w moim kierunku. Jest ubrany w tę samą czarną skórzaną kurtkę. Po swojej lewej ręce mam aptekę, w następnym budynku jest sklep z odzieżą damską. Odzież damska, decyduję. Skulona wbiegam do środka.

W tym sklepie sprzedają bieliznę. Spędzam tam prawie pół godziny, udając, że podziwiam kolejne biustonosze, które pokazuje mi sprzedawczyni. Bez ramiączek, bez fiszbinów, z zapięciem na szyi, powiększające...

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić na policję. *Powinnam zadzwonić na policję*, myślę sobie. *Tylko czy to był on?*

- Szuka pani czegoś na jakąś specjalną okazję? - pyta sprzedawczyni. Ma na sobie bluzkę z o wiele za dużym dekoltem i wcale nie musi nosić biustonosza.

- Nie - odpowiadam. - Tak tylko oglądam.

Czuję, że powinnam coś kupić, bo jestem w tym sklepie już tak długo. Na ladzie stoi kosz pełen majtek z przeceny. Kobieta bierze ode mnie pieniądze i pakuje majtki za pięć dolarów w bibułkę. Pakuje je tak zgrabnie, jakbym spędziła w tym sklepie cztery minuty i zrobiła zakupy za dwieście dolarów. Kocham ją za to, za to, że tak pięknie pakuje moje majtki w bibułkę śliwkowego koloru.

- Witam - mówi Danny, kiedy wchodzę do budynku. - Oto nasze dziewczę z Frisco. - Czuć mu z ust rumem.

- Nikt już tak nie nazywa San Francisco - mówię.

Na górze, w lodówce, jest resztką tortu, z którego ktoś wydłubał różę. Przypominam sobie, że dwa dni wcześniej moja współmieszkanka miała urodziny. Pukam do jej sypialni.

- Wszystkiego najlepszego! - mówię i wręczam jej opakowane majtki.

Susan otwiera je zbyt szybko. Gdyby tylko wiedziała, ile wysiłku kosztowało ich zapakowanie tę kobietę w sklepie.

- Ale ja noszę s-ki - mówi.

Idę do swojej sypialni. To czosnek. Ten smród to czosnek. Czosnek, kurwa. Biorę prysznic i myję włosy razdwatrzycztery - pięć razy.

Tamtego wieczoru spotkam się w restauracji rybnej z reprezentantem świata o czerwonej twarzy.

- Nie jadam ryb - mówię.

- To trzeba mi było powiedzieć - on mi na to. Dlaczego jego twarz jest wiecznie czerwona. Bierze jakieś leki?

- Nie ma sprawy. I tak zawsze chciałam tu przyjść.

- Możemy iść gdzieś indziej.

- Przestań - mówię. I dodaję: - Dobrze wyglądasz. - Jego długie włosy są świeżo umyte i uczesane.

- Ty też, jak zawsze zresztą - zapewnia mnie szczerze. Jest katolikiem, pochodzi z Teksasu i wszystko, co mówi, brzmi szczerze i nie ma podtekstu seksualnego. To w nim lubię. Krzyż nad jego łóżkiem mnie denerwuje, ale lubię go.

- Właściwie to powiem ci - ciągnie - że jesteś chyba jedną z najładniejszych osób, jakie w życiu spotkałem.

Czerwienię się, bo owłada mną przedwczesna nostalgia za tą chwilą. *Prestalgia*.

- Najładniejszą osobą, jaką w życiu poznałeś, powiadasz? - droczę się z nim.

- No cóż - mówi. - Pozwól, że jeszcze to przemyślę.

Na koniec łądujemy w jego mieszkaniu. Myje zęby.

- Gotów do łóżka - oznajmia.

Kładę się, poluźniając napięte prześcieradła. Wstaje i zapala świecę. Całuje mnie, ja całuję jego. Rutynowość tego wszystkiego bawi mnie i zdumiewa. Myślę sobie, *A teraz będzie ssal mój palec*. Podnosi rękę do moich ust. *A teraz obróci mnie na brzuch i ugryzie w łopatkę. W prawą łopatkę*. Robi to. *Teraz obwiedzie palcem mój pępek, powie, że wygląda jak szczelina na monetę w aparacie. Szczelina w aparacie*, mówi on. *Zaraz mnie spyta, czy na pewno jest mi wygodnie, czy dobrze się czuję*.

- Czy tak jest dobrze? - pyta mnie, dokonawszy już aktu penetracji.

Wszystko jest dokładnie, boleśnie takie samo jak ubiegłej nocy. Aż do:

- Tylko nie to - mówi.

- Co?

- Pękła.

Leżę płasko na łóżku. Jestem taka, taka ostrożna, zawsze byłam ostrożna, nigdy nie przydarzyło mi się coś takiego.

- To jakaś chora opera mydlana czy co? - pytam.

Reprezentant świata przenosi się w nogi łóżka, siada przodem do mnie.

- Moim zdaniem to jest znak - mówi.

Zadziera głowę w górę, jakby na ścianie za mną było wypisane wytłumaczenie.

- Jaki znowu znak?

- Że nie powinienem ci tego robić - wyjaśnia.

- Ty mi to robisz?

Jego oczy wciąż są zwrócone w miejsce nade mną. Obracam się i widzę teraz, na co on patrzy: na krzyż wiszący nad łóżkiem.

Rano idę zdobyć pigułki. Przychodnia studencka znajduje się tuż obok poradni zdrowia psychicznego. Muszę minąć gabinet terapeutki, żeby się tam dostać. Nie chcę na nią wpaść. Podrywam się do biegu, obok jej drzwi wykonuję skok.

Czekam dwie godziny na wizytę. Kiedy skarżę się pielęgniarce w recepcji, ta wzrusza ramionami i mówi:

- Następnym razem proszę się zawczasu umówić.

Kiedy wreszcie przychodzi moja kolej, okazuje się, że lekarz przyjmuje za parawanem. Wszyscy inni w kolejce słyszą naszą rozmowę. Wiem o tym, bo słyszałam tych, którzy byli przede mną: „...od dwóch tygodni kaszlę flegmą...”, „...taką depresję, że nie mogę spać...”, „...nie wiem, czy to wrażliwe włosy łonowe, czy...”

- Czy miała pani kiedykolwiek aborcję? - pyta lekarz.

Patrzy na mnie nad swoimi okularami, nie przez nie.

- Nie - mówię.

- Czy brała już pani kiedyś te tabletki?

- Nie.

- Więc proszę się przygotować, że często wywołują mdłości albo torsje - tłumaczy. - Proszę dopilnować, by ktoś był przy pani.

Kiwam głową.

- Od jak dawna jest pani ze swoim partnerem?

- Od dwunastu lat.

Dzwoni telefon, jakiś męski głos mówi:

- Ale ty jesteś seksy. Nikt nie jest taki seksy jak ty. Wiesz o tym, ty seksowna bestio?

Rozłączam się. Znam ten głos. Kładę się na posadzce w kuchni, brzuchem do płytek. Zamykam oczy. Kiedy je otwieram, widzę, co jest pod lodówką. Pod lodówką jest kurz, magnes, jakieś papierki. I maleńkie kółka. Trzeba było zmusić policję, żeby namierzała wszystkie telefony. Dowiedzieliby się, kto to był. Dlaczego policja tego nie zrobiła? Nie wiedzieli? Oni są beznadziejni. Oni to wcielenie szatana. Szatana idioty.

Ten głos. Podnoszę się, by usiąść. Znam ten głos. Wduszam gwiazdkę, potem 69 i uzyskuję połączenie z sekretarką.

- Dodzwoniłeś się do mieszkania Wayne'a Gretzky'ego - mówi sekretarka.

Debil z ROTC.

Dzięki Bogu, że to był on. Dzięki Bogu za niego. Śmieję się. Do jego sekretarki.

- Że też się nie domyśliłam, że to pan, panie Gretzky - mówię. - Ty pierdolony kretynie.

Rozłączam się, odwracam, wpadam na lep na muchy. Odrywa się od sznurka, na którym wisiał, przykleja mi się do włosów i swetra. Nawet nie mogę go wyrzucić, bo klei mi się do rąk. Mój sweter wygląda tak, jakby ślimak przespacerował się zygzakiem po moim ciele.

Dzwoni Nicholas, chłopak, z którym chodziłam przez trzy lata college'u, ten sam, który uczył mnie strzelać z pistoletu.

- Skąd masz mój numer? - pytam.

- Od twoich rodziców - odpowiada.

- Czego chcesz?

*Już ja sobie z nimi pogadam na temat dawania mu mojego numeru. W ogóle komukolwiek.*

- Pieniądzy, które jesteś mi winna.

Ubiegłej zimy wymyśliliśmy, że na lato wynajmiemy dom na północy stanu Nowy Jork, do spółki z jego kumplami. Kiedy rozstawaliśmy się w marcu, obiecałam, że spłacę moją działkę, tylko ją najpierw zarobię.

Od samego początku wiedziałam, że jest popaprany. Cztery lata temu przysłał mi bukiet czerwonych róż na walentynki. Chodziłam wtedy z innym i on o tym wiedział i tamtego faceta też całkiem dobrze znał. Uznałam, że podarunek z róż jest uroczo psychopatyczny. Później nie umiałam już przestać o nim myśleć.

Spotykaliśmy się przez trzy lata i systematycznie pojawiały się kolejne wskazówki, druga, trzecia, czwarta, piąta, aż wreszcie w tamten weekend, który spędzaliśmy w trzecim drugim domu jego rodziny - tym w New Hampshire - dostałam cały bukiet dowodów, które potwierdziły moje obawy.

Tamtego wieczoru w New Hampshire ugotowaliśmy sobie kurę na kolację i oboje wypiliśmy za dużo wina. Ja właśnie miałam za sobą cały ten proces z komórkami jajowymi i właśnie się dowiedziałam, że kobieta z *Nieustraszonego* jest w ciąży. Moje plany w związku z wyjazdem do Portugalii powoli nabierały rozpędu. Nicholas nic nie wiedział ani o komórkach jajowych, ani o wycieczce. Powiedziałam mu przy kolacji.

- Dlaczego nie poprosiłaś mnie o pieniądze? - spytał.

- Nie chciałam. Za żadne skarby nie chcę od ciebie niczego pożyczać.

- Więc po prostu sobie poszłaś i uprawiałaś seks z kimś zupełnie obcym?

Udałam, że się śmieję, bo nie chciałam podnosić głosu.

- To nie tak.

- Dlaczego nie miałybyś wziąć ode mnie kasy? Czegoś tu nie łapię.

- To nawet nie są twoje pieniądze, tylko twojego ojca - powiedziałam. - A poza tym nie chcę ci być nic dłużna.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Nie chciałam ci mówić, dopóki sprawa nie zostanie zamknięta - powiedziałam. - Dopóki nie będę wiedziała, że się udało. Bo istniało spore prawdopodobieństwo, że się nie uda.

- A gdybyśmy my chcieli mieć dzieci? Ty to popsulaś. Już to zrobiłaś z kimś innym.

- Nicholas... - powiedziałam, a potem już nie wiedziałam, co powiedzieć.

Milczeliśmy do końca kolacji, milczeliśmy podczas oglądania telewizji. Milczeliśmy, kiedy on nalewał sobie kolejnego drinka, kiedy kładliśmy się do łóżka. W domu było tak cicho, że słyszałam odgłosy dobiegające z domu sąsiadów, z odległości mili. W którymś momencie zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, coś krążyło nad moją głową. Najpierw pomyślałam, że to nietoperz. Potem, że pewnie się mylę - że to kawałek szerniałego od ognia papieru wirującego w przeciagu.

- Nicholas - powiedziała, potrząsając nim. Miał mocny sen. - Nick.

Obudził się w końcu.

- W pokoju jest chyba nietoperz.

- Pewnie wleciał przez kominek - odparł. - Dawniej często tak się działo. Wlatywały do środka podczas kolacji i trzeba się było opędzać raketami do tenisa.

- Raketami do tenisa? - Wyszepiałam to.

- Chodźmy do drugiego pokoju - zarządził Nicholas. - Ty pierwsza.

Wybiegłam na korytarz, po chwili z pokoju wyszedł on i zamknął za sobą drzwi.

Poszliśmy do innego pokoju, gdzie na łóżku leżała już świeża pościel. *Ci cholerni bogaci ludzie z ich pokojówkami.* Udawałam, że śpię, ale słyszałam, jak Nicholas wstaje i robi różne rzeczy - ogląda telewizję, bierze prysznic. Była trzecia w nocy.

Rankiem obudziłam się i nie mogłam go znaleźć. Drzwi do pokoju z nietoperzem były ciągle zamknięte i nie miałam ochoty ich otwierać. Wyjrzałam przez okno, żeby się upewnić, że nie poszedł sobie, pozostawiając mnie uwięzioną. Ale saab wciąż tam stał. W końcu Nicholas wynurzył się z piwnicy.

- Co ty tam robiłeś? Siedziałeś tam całą noc?

- Szukałem czegoś - odparł.

- Czego? - spytałam i właśnie wtedy spostrzegłam, co on trzyma w ręku.

- Pistoletu.

- Zamierzasz zabić nietoperza z pistoletu?

Nie odpowiedział, ale odłożył pistolet. Potem poszedł na frontową werandę i po chwili wrócił ze szpadem. Poszłam za nim do sypialni.

- Nick - powiedziała. - Co będzie z tym tam? - Wskazałam palcem miejsce na ścianie obok okna, do której przywarł dziwny czarny kształt, zwężony u góry i u dołu, podobny do liścia.

Podeszłam bliżej - ale nie bardzo blisko - przyjrzałam się, ale wciąż nie umiałam się utwierdzić. To coś było takie małe i w ogóle się nie ruszało. Nietoperz, którego widziałam wieczorem, miał skrzydła o rozpiętości co najmniej stopy. To coś to z pewnością nie był nietoperz. Podeszłam jeszcze bliżej i zobaczyłam, że stworzenie pulsuje. Bałam się, że mogłabym je przestraszyć, więc starałam się nie krzyknąć. To oczywiście był nietoperz - nietoperze śpią za dnia - ale ten był taki mały i miał zwinięte skrzydła.

Nicholas stał ze szpadem znalezionym na werandzie. Trzymał ten szpadel niczym topór nad swoją głową. Stęknął głucho i z całej siły zamachnął się ostrzem. Krew, w niewielkiej ilości, i było po wszystkim.

Nietoperz osunął się o stopę niżej, zostawiając plamę czerwieni, ale wczepił się w ścianę tak silnie, że ostatecznie nie odpadł. Nicholas ujął szpadel i teraz trzymając go jak należy, zgarnął nietope-



rza. Poszedł z nim w stronę kuchni. Szłam za nim i patrzyłam, jak zsuwa nietoperza ze szpadla na deskę do siekania na szafce kuchennej.

- Co ty robisz? - spytałam.

Wyciągnął nóż i zaczął ciąć nietoperza na małe kostki.

- Co ty robisz? - wrzasnęłam.

Nie odpowiedział. Zastanawiałam się, czy on mnie słyszy - obawiałam się, że jednak nie słyszy, był tak pochłonięty siekaniem nietoperza.

Do kampusu wracaliśmy w milczeniu.

Kilka mil za stacją benzynową, na której zatrzymaliśmy się, żeby zatankować, przy skrzyżowaniu, gdzie wiedziałam, że w razie potrzeby złapię jakiś pociąg, powiedziałam mu, że moim zdaniem powinniśmy odpocząć od siebie. Nazwałam to urlopem. Takim tonem, jakbym się z tego urlopu naprawdę cieszyła. I już gromadziła foldery biur turystycznych.

- Przemyślałeś to? - spytał.

- Tak.

Samochód gwałtownie zjechał z drogi i uderzył w jabłoń. Dookoła biegały jakieś indyki, stare przegniłe jabłka spadały na dach saaba, lądując twardo jak grad.

Do dzisiaj mam maleńką bliznę na czole. Wyblakła, ale wciąż potrafi pulsować jak kamerton. Kiedy jestem opalona, robi się biała. Kiedy próbuję ją zamaskować, robi się pomarańczowa. Z początku, kiedy zaczęła blednąć, wpadłam na pomysł, żeby ją podkreślać za pomocą makijażu, bo dzięki niej czułam się twarda. Może nawet trzeba tak było robić, podmalowywać ją, myślę teraz.

- Potrzebuję tej twojej działki - mówi Nicholas przez telefon.

Nie potrzebuje tych pieniędzy, ale co miesiąc, od kwietnia, odkładałam po sto dwadzieścia pięć dolarów, dzięki czemu teraz mam tysiąc dolarów za dom, w którym w ogóle nie mieszkałam. Nie chcę być mu nic dłużna.

- To może tak zechcesz przynieść je jutro? - pyta.

Patrzę na kalendarz i przypominam sobie.

- Jutro masz urodziny - mówię.

Rozłączam się i podlewam rośliny. Wyglądają, jakby umierały, więc chucham na nie. Przykładam usta do liści i robię „Chuuu”. Czy na glebę też powinnam nachuchać? Stwierdzam, że powinnam.

Tamtego wieczoru, kiedy wracam do domu z korepetycji, pod moimi drzwiami śpi chłopak z ROTC. Przeszczępnę nad nim, by wejść do mieszkania. Wynoszę mu poduszkę i koc.

Kiedy następnego ranka chłopak z ROTC budzi się, dzwoni do drzwi. Udaję, że nie ma mnie w domu.

Wkładam do koperty cztery banknoty studolarowe, pięć pięćdziesiątek, siedemnaście dwudziestek i jedną dziesiątkę i zaklejam ją. Pod moimi drzwiami leży poduszka owinięta kocem. Jadę me-

trem, potem autobusem i dalej idę pieszo. Nicholas zatrzymał się w mieszkaniu swojego ojca przy Wschodniej Siedemdziesiątej Drugiej. Jego ojciec zrobił fortunę na handlu nieruchomościami w Nowym Jorku i Nicholas powiedział mi, że mieszkanie zostało urządzone przez kolejne kochanki-dekoratorki. Wchodzę do salonu, Nicholas siedzi w fotelu, tyłem do mnie. Z początku nie rozpoznaję tych kasztanowych włosów, ale przypominam sobie, że jego brudny blond zawsze ciemniał podczas zimy.

- Cześć! - mówię. Mam przy sobie, w kieszeni kurtki, gaz pieprzowy.

Nie odwraca się. Obchodzę go, by spojrzeć mu w twarz. Ma szare oczy. Rzęsy jednego oka są jasne, drugiego brązowe. Zawsze to w nim uwielbiałam. Teraz ta asymetria mnie przeraża.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - mówię.

Patrzy na grzejnik, z którego uchodzi para. Z wieży stereo płyną gamy odgrywane na skrzypcach.

- Proszę - mówię i podaję kopertę. Bierze ją ode mnie lewą dłonią. Prawy nadgarstek ma wciąż uszkodzony po tamtym wypadku.

W mieszkaniu jest za gorąco i mam wrażenie, że się dławię. Mówię sobie to, co zawsze sobie mówię, kiedy spotykam się z nim albo z pogłoskami na jego temat: *To nie moja wina.*

- Jak ci leci? - pytam.

Zastanawiam się, czy byłby inny, czy byłby lepszy, gdyby nie był jedynakiem.

Nawet na mnie nie patrzy, tylko na miniaturowy model domu nad jeziorem Como we Włoszech, własność jego ojca. Jego matka, prawniczka od rozwodów, ma całą resztę.

- Doskonale. Nigdy, kurwa, lepiej - mówi.

- Co mogę zrobić? - pytam.

- Co mogę zrobić? - przedrzeźnia mnie.

- Błagam, odpuść sobie - mówię.

- A bo co?

Mówię mu, że dopiero co mało brakowało, a zostałabym zabita, że ktoś próbował mnie zabić. Mówię mu, że omal nie umarłam, że prawie nie miałam wyboru.

Zwraca te swoje asymetryczne rzęsy i przyćpane, zmętniałe oczy w moją stronę.

- Ty to masz szczęście - cedzi.

- Zaraz sobie idę - mówię. - Ale może najpierw zechcesz przeliczyć pieniądze? Póki tu jeszcze jestem?

- Bo niby co? Mógłbym cię oszukać?

- Chcę tylko mieć pewność, że oboje widzimy pieniądze i że oboje się zgadzamy, że nie jestem ci już nic więcej winna.

Skrzypce wciąż grają gamy. Znam tę taśmę. Rodzice Nicholasa zmuszali go do grania na skrzypcach od czasu, gdy skończył cztery lata. Pod koniec liceum postanowił przestać. Jego rodzice, którzy regularnie spotykali się ze szkolnym doradcą do spraw wyboru studiów, nie chcieli się zgodzić.

Nicholas nagrał pięć taśm z własnymi ćwiczeniami i na okrągło je odgrywał. Jego rodzice podsłuchujący pod drzwiami jego sypialni myśleli, że poświęca całe godziny grze, gdy tymczasem on chodził do Central Parku, gdzie razem z kumplami palił trawkę. Teraz znowu zaczął puszczać te taśmy.

Nicholas liczy pieniądze raz i jeszcze raz.

- Słuchaj - mówi. - Może weźmiesz część? Jakoś tak mi głupio.

- Naprawdę?

- Tak - odpowiada. Bierze studolarówkę i drze ją na kawałki, na konfetti, po czym ciska je w moim kierunku.

- Wiesz, ile godzin pracy właśnie zniszczyłeś?

- Sprzedałaś jeszcze jakiś kawałek siebie?

Idę do drzwi, mijając odkurzającą pokojówkę. Pokojówka ma na sobie czarną sukienkę i biały fartuszek. Podnosi wzrok, kiedy wychodzę.

W tylnej ścianie windy jest wbudowana wąska ławeczka. Siadam, kiedy winda zaczyna zjazd z dwudziestego pierwszego piętra. Jedno piętro na każdy rok mojego życia. Chcę wierzyć, że to ma jakieś znaczenie, ale jakoś nie przychodzi mi do głowy, co by to mogło być.

Wysiadam z metra przy Sto Szesnastej i idę do Schermerhorn Hall, żeby sprawdzić swoją pocztę w klubie studenta. Białe lampki zawieszane na choinkach w kampusie tworzą dziwaczne konstelacje. Zapinam zamek w moim niebieskim płaszczu aż po szyję - kupiłam go w San Francisco i jest za cienki jak na tę pogodę. Gdzieś tam, podczas ostatnich kilku dni, zgubiłam szalik.

Za skrzynki pocztowe służą nam segregatory, przymocowane do ściany w porządku alfabetycznym. Mój segregator jest pełen wciśniętych tam na choma papierzysek: zawiadomienie o terminie składania referatów semestralnych; informacje o jakiejś wycieczce; zaproszenie na jeszcze jedno przyjęcie gwiazdkowe, cztery dni za późno; praca odesłana przez wykładowcę. Dostaję dobrą ocenę. Spoglądam na datę. Trzydziesty listopada. Nawet nie tak dawno temu, ale muszę przeczytać pierwszy akapit, żeby sobie przypomnieć, o czym to było: architektura pewnego weneckiego klasztoru.

Dwóch wykładowców, jeden mężczyzna i jedna kobieta, przysłało mi listy, w których piszą, że słyszeli, co się stało. Na razie nie muszę oddawać referatów z ich ćwiczeń, piszą, jeśli nie czuję się na siłach. Wiem, że przedyskutowali to między sobą, bo sformułowania użyte w obu listach są tak podobne.

Ktoś zostawił w moim segregatorze pękniętego choinkowego cukierka. Chowam go do kieszeni, wiedząc, że prawdopodobnie znajdę go tam, w płaszczu, w przyszłym roku.

Wychodząc z budynku, mówię cześć kilku znajomym, którzy piją kawę przy stoliku, i idę dalej. Kiedy się oddalam, odwracam się i widzę ich głowy zbliżone do siebie jak u pływaków synchronicznych. Nie mam wątpliwości, że rozmawiają o incydencie w parku. Zawsze znajdzie się taki ktoś, kto nie słyszał, ktoś, kto chce poznać więcej szczegółów, ktoś, kto uważa, że to ja jestem winna.

Czy to, co się zdarzyło w parku, to była jakaś poważna sprawa czy nie? *Poważna, niepoważna. Poważna, niepoważna*, powtarzam bez końca w głowie niczym dziewczynka wróżąca sobie z liści akacji. Mówię akurat „niepoważna”, kiedy słyszę, że ktoś mnie woła.

- Hej, Ellis! - woła głos za moimi plecami.

Odwracam się. Tom. Wraca z basenu. Na głowie ma kapelusz, który zawsze wkłada po treningu; kosmyki włosów, które spod niego wystają, zamarzły na cienkie sople.

Nie wiem, co mnie naszło, ale podrywam się do biegu. Torba obija mi się o udo, kiedy lawiruję między grupkami studentów.

- Ellis! - woła raz jeszcze Tom.

Obracam się i widzę, że biegnie za mną. Staram się sadzić jak największe kroki, unikając ślizgawek. Docieram do przejścia dla pieszych, za którym zaczyna się Broadway; mam zielone światło, więc biegnę dalej, nie oglądając się, by sprawdzić, czy nadal depta mi po piętach.

Kaszlę, kiedy już wchodzę do holu w moim domu. W gardle wciąż łaskocze mnie lodowate powietrze. Dyżur ma Danny. Widzę, że znowu pił. Nie widać butelki, ale zauważam otwartą puszkę z colą i termos do kawy. Wyobrażam go sobie, jak wlewa przez lejek rum do tego termosu, przekonany, że nikt się nie pozna. Danny to duże dziecko. Nie potrafię go nie lubić.

- Wypatrywałem pani - mówi. Kiedyś mógł być przystojny; teraz z nozdrzy wystają mu czarne, skręcone włosy. - Louisowi się wydaje, że chyba przyuważył tego pani mężczyznę.

Louis to inny portier, ten, który kończy zmianę o trzeciej po południu.

- Mojego mężczyznę? - Od tego biegania i potu swędzi mnie głowa pod wełnianą czapką. Zdejmuję ją.

- No, mężczyznę z parku.

- Gdzie?

- Kręci się tutaj za dnia, tuż przy Riverside.

- O Boże - wrywa mi się.

- Nie chciał nic pani mówić - dodaje Danny - bo nie był pewien. Nigdy przedtem nie widział tego gościa. Ale on ma rude włosy i nosi skórzaną kurtkę.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do policjantki, która dała mi swoją wizytówkę. Tylko co bym powiedziała? Ktoś, kto nie widział tego faceta, kto nie ma pojęcia, jak on wygląda, uważa, że go rozpoznał?

- Proszę się nie martwić - mówi Danny, bardzo się starając nie bełkotać. - Będę pani dobrze pilnował.

Dziękuję mu i zerkam w stronę szklanych drzwi. Tom byłby już pewnie na progu, gdyby postanowił tu przyjść.

W swoim pokoju wyciągam taśmę do wykładzin dywanowych, której kiedyś ktoś mi poradził użyć podczas imprezy, i przyklejam mojego fałszywego persa do podłogi. Wchodzę na łóżko i zeskażuję na dywan. Włączam odtwarzacz, wkładam CD z Guns N'Roses, który ktoś mi kiedyś podarował, zdaje się w charakterze dowcipu. Nastawiam na powtarzanie *Paradise City* i tańczę. Kiedy piosenka leci po raz pierwszy, tańczę tak, jak zwykłam tańczyć w college'u. Potem tak, jak pod koniec liceum. Jeszcze potem tak, jak na początku liceum. Kładę się na dywanie, na plecach, zaczynam się turlać. Pers ani drgnie, taśma trzyma go idealnie.

Muszę się wyrwać. Wracam na Boże Narodzenie do San Francisco, ale to dopiero za całe trzy dni, a nie mam sześciuset dolarów, żeby wymienić bilet. Dzwonię na 800, chcę rozmawiać z przedstawicielem linii: Dlaczego wymiana biletu kosztuje sześćset dolarów, skoro sam bilet kosztował tylko trzysta siedemdziesiąt dziewięć?

Przedstawiciel, który okazuje się kobietą, nie potrafi wyjaśnić.

- Czy są jakieś rabaty w przypadku zgonu członka rodziny? - pytam.

- Tak - mówi, a jej radosny głos ze współczucia obniża się o całą oktawę.

- A jeśli członek rodziny jest bliski śmierci? - pytam, wciąż nie tracąc nadziei. Ale potem robi mi się nieswojo. Bywają gorsze rzeczy, znacznie gorsze.

- Słucham? - odpowiada kobieta. Wyobrażam ją sobie, jak oplakuje śmierć kogoś z rodzeństwa, kochanka. Wyobrażam ją sobie, jak zamawia bukiet kwiatów, by przesłano go komuś innemu w żałobie. „Obojętnie co, byle nie goździki”, mogłaby powiedzieć pracownikowi poczty kwiatowej.

- Nieważne - mówię.

Tego dnia wsiadam do pociągu jadącego do Filadelfii. Wybieram się do Muzeum Sztuki, by zebrać materiały do jednego z moich przedawnionych referatów. Ma być poświęcony aktom kobiet wychodzących z kąpieli autorstwa Degasa i Bonnarda. Muszę obejrzeć te obrazy.

Na dworcu w Filadelfii biorę taksówkę. Po drodze widzę tablice ułatwiające poruszanie się po mieście. Na każdej jest napis: „Poznaj! Filadelfię”. *Z tymi wykrzyknikami to nadużycie!*, myślę sobie.

Muzeum jest ogromne, ale nie potrzebuję planu. Nagie kobiety znajdują natychmiast; grawituję ku nim. Staję przed nimi, z bliska, a potem z daleka, potem znowu z bliska. Z bardzo bliska. Mam ochotę poczuć tę wodę i ich skórę. Ale wszędzie są strażnicy i napisy mówiące „Nie dotykać”. Widzę małe zdjęcie figurki o błyszczącym nosie, z wyjaśnieniem, że sole i tłuszcze na moich palcach mogą niszczyć wielkie dzieła sztuki. *Niszcz! Filadelfię*, myślę.

Chodzę i chodzę, pragnąc dotykać, ale mi nie wolno. Sara twierdzi, że zbyt wcześnie zabierano ją do muzeów. Teraz, gdziekolwiek się wybierze, dostaje schorzenia, które nazywa „muzealnymi nogami”. Usiłuję sobie wmówić, że to właśnie od pobytu w muzeum tak mnie ciągle bolą nogi.

W sali z dadaizmem próbuję zrozumieć *Pannę młodą rozebraną przez swych kawalerów, jednak Duchampa*. Zbyt wielu zwiedzających muzeum też się gapi na ten obraz, osadzony na dwóch szklanych taflach, które wspólnie dorównują wielkością oknu wystawowemu w domu towarowym. Górny panel przedstawia pannę młodą, która albo wisi na jakimś sznurze, albo być może została ukrzyżowana. Kawalerowie tłoczą się pod spodem.

- A twoim zdaniem co ona złego zrobiła? - jakaś kobieta w berecie pyta swojego męża.

- Jakim sposobem panna młoda może mieć aż dziewięciu kawalerów i żadnego męża? - pyta nastolatek swoją matkę. Wpatruje się w tabliczkę z tytułem, jakby chciał się upewnić.

Nie chcę słuchać niczyjej odpowiedzi. Przechodzę do mniejszej, bocznej sali, gdzie nie ma ani ludzi - ani sztuki. Może to jakieś pomieszczenie magazynowe. Albo właśnie czeka na jakiś eksponat. Na ścianach przede mną nic nie wisi, ani też po mojej prawej stronie. Ale potem zauważam sporą drewnianą bramę po lewej stronie sali. Brama jest obramowana lukiem z cegieł.

Podchodzę do drzwi osadzonych w bramie, które przypominają wrota stodoły. Próbuję je otworzyć, ale nie ustępują. Zaglądam przez szparę i widzę ciało kobiety, nagie, wyciągnięte, porzucone na zboczu wzgórza. W lewym ręku trzyma lampę gazową, która wciąż się jarzy.

Z miejsca, gdzie stoję, nie widzę twarzy kobiety. Muszę ją zobaczyć. *Kto jej to zrobił? Czy ona była na jakimi pikniku?* Mocuję się ze zmurszałymi ze starości drzwiami. Nie chcą się otworzyć. Widzę tylko kobietę przez małą szparę w drewnie, ale nie mogę podejść, zobaczyć, dotknąć.

Walę w bramę prawą dłonią, a potem dwa razy obiema pięściami. Obracam się, opieram plecami o drewniane drzwi i gapię się na pustą ścianę po drugiej stronie wnętrza.



# Część druga

## SKRADZIONY JEZUS

Gwiazdka, ferie, nareszcie. Jadę do San Francisco, do mojej rodziny. Przyjeżdżam do domu pełna nadziei i oczekiwań, z otwartym spadochronem w piersi. Ale już następnego dnia nie potrafię znaleźć sobie miejsca. Nie mam planów na kolejne trzy tygodnie, zanim zaczną się zajęcia.

- Może byś gdzieś wyszła ze znajomymi? - usłużnie podpowiada matka.

- Nie chcę - odpowiadam. - Nie mam znajomych - kłamię.

Matka wzdycha.

Mam wrażenie, że ja to bezużyteczny prezent, który ktoś jej ofiarował i z którym teraz nie wie, co robić.

- Zostaw ją, Anno - mówi mój ojciec. Jest Polakiem i wymawia jej imię w taki sposób, że brzmi jak rym do „banana”. Zaraz po tym, kiedy się zaręczyli, przestała go poprawiać.

Ludzie nigdy nie komentowali tych czterech lat zniknięcia mojego ojca - w każdym razie nie w naszej obecności. Któregoś dnia wróciliśmy z zakupów w spożywczym i zastałyśmy go na kanapie, skąd oglądał „Koło fortuny”; przez cały ten czas, kiedy go nie było, matka nigdy nie zmieniła zamków.

Wciąż bolą mnie nogi. Coś z nimi nie tak. Matka nalala gorącej wody i płynu do prania do pomarańczowej, plastikowej miski, w której zazwyczaj pierze swoje biustonosze.

- Wymocz te nogi - mówi. Potem wraca do kuchni, by skończyć zmywanie naczyń. Uparcie robi to ręcznie.

Ojciec i ja mamy takie same piegi na dolnej wardze, tuż przy samej krawędzi. Czasami ktoś mówi, że to wygląda tak, jakby ten pieg spinał ze sobą usta i podbródek - jak jakiś guzik. Jesteśmy do siebie tak podobni, mój ojciec i ja, że czasami nie mogę na niego patrzeć.

Ojciec zamyka oczy, zanim zacznie zdanie. Otwiera je i mówi:

- Mam ci coś do pokazania. - Z szuflady pod telewizorem wyciąga fotografię samego siebie, kiedy był młodszy. To szkolna fotografia, którą właśnie znalazł, zrobiona, kiedy miał osiem lat i mieszkał w małym miasteczku koło Szczecina.

- Kim byli twoi koledzy? - pytam.

Pokazuje tych ludzi ze swojej klasy, których nazwiska zapamiętał.

- Z tym tutaj stało się coś przykrego - mówi. Jego palec zatrzymuje się na brzuchu chłopca ubranego w szorty i długie skarpety, który siedzi po turecku. - Jego ojciec był rybakiem. Miał łódź rybacką i w każdy weekend wypływaliśmy razem z nim.

Milknie. Zamyka oczy.

- W któryś weekend miałem popłynąć z nimi, ale rodzice chcieli, żebym został w domu, bo ktoś był chory, nie pamiętam kto. W każdym razie w tamten weekend miałem popłynąć, a tymczasem łódź przewróciła się i wszyscy utonęli. Umarł - mówi, wciąż trzymając palec na brzuchu chłopca. - Gdybym popłynął tamtego dnia, też bym już nie żył.

- To ja też.

- Nie, ty po prostu byś się nie urodziła.

- Na jedno wychodzi.

Ojciec ignoruje mój komentarz; jest w jakimś innym miejscu.

- Najdziwaczniejsze w tym wszystkim było to, że zostawił dla mnie urodzinowy prezent, prezent na szesnaste urodziny. Jego matka znalazła go w jego pokoju, już po tym, jak się utopił.

Pytam, co to było.

Ojciec puka mnie palcem w łydkę, sygnalizując, że mam wyjąć nogi z miski, to doleje mi gorącej wody.

- Spinki do mankietów - mówi. - Ciągle je mam, gdzieś tam na górze.

Podnosi plastikową miskę obiema rękami, zanoszą do kuchni, trzymając ją bardzo sztywno.

Zastanawiam się, czy cały mój dobytek - spódniczka, którą sama uszyłam i pomalowałam sprayem w szkole średniej, czapeczka baseballowa z szóstej klasy, kolekcja odcinków od biletów na koncerty - miałby więcej wagi, czy stałyby się bardziej cenne, gdybym została zabita w parku. Wiem, że gdyby mój ojciec umarł nazajutrz, zachowałabym miskę. Opowiadałabym wszystkim o naszym ostatnim wieczorze, jak siedział obok mnie, kiedy leczyłam obolałe nogi. Staram się szanować mojego ojca, cenić sobie jego opowieści, jego miłość, w ogóle wszystko. Pochłaniam to tak, jak nabieram oddechu przed skokiem na głęboką wodę.

Podalam policji w Nowym Jorku i portierom mój numer tutaj, więc kiedy dzwoni telefon, odkładam książkę. Słyszę, jak matka biegnie do telefonu, i czekam, aż usłyszę, jak woła moje imię. Nie robi tego, więc oddycham swobodnie. Czytam dalej książkę poświęconą historii wystaw światowych.

„Pierwszą wystawę światową zorganizowano w Anglii, w 1851 roku, w Kryształowym Pałacu, nazwanym tak od jego zdumiewającej konstrukcji z żelaza i szkła. Został zaprojektowany przez budowniczego cieplarni...”

Pięć minut później do dużego pokoju wchodzi mama.

- Nie siadaj na tej kanapie! - mówi. Moi rodzice wydają dużo na meble, ale potem w ogóle ich nie używają. Kiedy oglądają telewizję, siadają na podłodze.

Przewracam oczami.

- Dzwoni Jason, do ciebie.

- Co?

- Jason.

- Cały ten czas rozmawiałaś z nim?

- Tak - mówi matka i pokazuje gestem, że mam wziąć drugi aparat.

Słyszę w słuchawce czyjś oddech.

- Mamo - wołam. - Już odebrałam.

Odwiesza słuchawkę.

- No i co u ciebie? - pyta Jason.

- W porządku - odpowiadam. - Jest świetnie - kłamię.

- To dobrze, cieszę się. - Naprawdę słysząc, że się cieszy, że u mnie wszystko dobrze, i znowu go lubię.

Jason chodził do tego samego liceum co ja, dwie klasy wyżej. Kilka lat temu wpadliśmy na siebie, na akcji pobierania krwi w szpitalu mojej matki. Kiedy zaprosił mnie na randkę, poczułam się wybawiona: przez całe liceum nie miałam chłopaka. Studiował ornitologię na uniwersytecie stanowym w San Francisco i często mi mówił, jakie ptaki łączą się w dożywotnie stadła. Ale nie uprawialiśmy seksu. Jakoś nigdy nie było prezerwatyw i kiedy mówił mi: „Będę uważał”, odpowiadałam: „Spadaj”. Często mówiłam „spadaj” w tamtych czasach.

Pyta, czy chcę się spotkać we czwartek. Oczywiście, mówię.

- Mój samochód jest w warsztacie, robię przegląd - wyjaśnia. - Więc przyjadę po ciebie skuterkem.

- Skuterem? - pytam.

- Tak.

- To włożę szal!

Wchodzę do kuchni.

- O czym tak długo rozmawialiście? - pytam mamę.

- Że on się z tobą ożeni.

Jestem zakłopotana i jednocześnie podbudowana - minęło tyle lat, odkąd z sobą zerwaliśmy.

- Powiedział: „Ja się ożenię z pani córką”.

Dociera do mnie, że mam takie same oczy jak ona - osadzone zbyt blisko siebie, o ułamek cała.

- Amerykanie - dodaje jeszcze matka - są tacy popaprani. Kiedy miałam dwadzieścia lat i dopiero co tu przyjechałam, każdy mężczyzna, z którym szłam na randkę, oświadczał się mi.

Ostatnim razem, kiedy byłam w domu, razem z Freddie, moją siostrą, wypytałyśmy ją o mężczyzn, z którymi się spotykała przed naszym ojcem. Powiedziała, że była zakochana w jednym takim we Włoszech, ale zostawiła go na rok, żeby podróżować.

- I co się stało? - spytała Freddie. Popatrzyłyśmy na siebie: nie potrafiłyśmy uwierzyć, że nigdy nie słyszałyśmy o tym człowieku, o poprzedniku naszego ojca. O jego rywalu!

- Brakował mi miesiąc do wyznaczonego powrotu do Neapolu, kiedy dostałam od niego list, w którym napisał, że ta odległość go przerosła, że poznał kogoś innego. Był pilotem i zakochał się w kobiecie, która była kontrolerem lotów.

- I co zrobiłaś? - spytałyśmy, niemalże unisono. Znowu popatrzyłyśmy na siebie, Freddie mru-gnęła. Potrafi mrugać obojgiem oczu; ja tylko jednym.

- Złożyłam podanie w Alitalii, w sprawie posady stewardesy.

- I? - spytała Freddie.

- Nie dali mi tej pracy.

- A co byś zrobiła, gdyby on na ciebie czekał? - Freddie często zadaje pytania, na które ja nie chcę znać odpowiedzi.

Matka nie waha się.

- Wyszłabym za niego - powiedziała.

Otwieram drzwi Jasonowi.

- Zrobiłaś coś z włosami - zauważa.

- Długa historia - mówię. Jason zerka na zegarek.

- Jest jeszcze wcześnie, dopiero ósma.

Obejmuję go i ocieramy się o siebie skroniami. Zapomniałam, że jest niewiele wyższy ode mnie. Wychodzimy na chodnik przed domem, gdzie zaparkował skuter.

- No więc co to za historia? - pyta, kiedy podaje mi kask.

Zaglądam do środka, w czarnej wyściółce utknął jasny włos. Wyciągam go.

- Twój - zapewnia mnie Jason, przyglądając się, jak ciskam go na wiatr. - Był tu przez te wszystkie lata.

- Ależ oczywiście.

- No więc czemu ufarbowałaś włosy?

- Zechcesz mi pomóc z tym paskiem?

Kiedy zapina pasek, czuję zapach jego ciepłego oddechu. Jest ciepłym człowiekiem, stwierdzam.

- Tak dobrze?

- Doskonale - odpowiadam, trzymając obie dłonie na kasku, wyobrażając sobie wypadek, z którego wychodzę cało. W moich myślach pojawia się jakieś volvo.

- No więc? - Nie rezygnuje, przygląda się uważnie pasemku moich włosów, jakby dodatkowo sprawdzał, czy jednak się nie pomylił.

- Kiedyś tam w parku jeden facet przystawił mi pistolet do głowy, ale policja go nie złapała. Jeden z gliniarzy poradził, żebym się zastanowiła nad przeprowadzką, zmianą koloru włosów, nie chodziła nigdzie sama.

Patrzy na mnie twardym wzrokiem, stara się sprawdzić, czy przypadkiem nie żartuję. Miałam kiedyś słownik koloru jego oczu, też taki brązowy. To był dobry słownik, z mnóstwem ilustracji, ubocznych znaczeń, z alternatywną pisownią.

- Ha-ha - mówi Jason.

Krażemy po ulicach, ja mam palce splecione na jego piersi. *Słyszał o tym czy nie?*, zastanawiam się. *Udawał głupka, kiedy pytał o moje włosy? No przecież musi wiedzieć - przecież czemu zadzwonił akurat teraz, po tak długim czasie? Dlaczego ani razu wcześniej?* Próbuję wytrząsnąć tę myśl z głowy i kask mi zjeżdża na bok. Poprawiam go, a potem na powrót obejmuję Jasona w pasie i przysuwam się do niego jeszcze bliżej, wpycham piersi w jego plecy.

Zatrzymujemy się przed restauracją. Nigdy wcześniej nie byłam w tej części miasta. Albo jest tu zimniej, albo może jest już później, w każdym razie nagle się okazuje, że jestem ubrana zupełnie bez sensu.

- Podczas takiej jazdy robi ci się ciepło jak w uchu - mówi Jason, kiedy odpinamy paski przy kaskach.

- Skoro tak mówisz - odpowiadam. Upuszczam jego kask na chodnik i udaję, że to niechcący.

Składamy zamówienie u kelnerki, która nosi krawat.

- Nie cierpię tego - mówię.

- Czego?

- Kiedy kobiety noszą krawaty. Kiedy to jest element służbowego stroju.

- Nie cierpisz mnóstwa rzeczy - mówi. - Już prawie zapomniałem, że taka jesteś.

- To nieprawda - protestuję, ale zastanawiam się, czy na pewno.

- A właśnie, że prawda.

- Podaj przykład.

- O Boże - wzdycha Jason i ostentacyjnie odrzuca głowę w tył. Przy goleniu nie poradził sobie najlepiej z jabłkiem Adama.

- Co? - pytam.

- Ty to będziesz miała na swoim nagrobku. Zacytują ten twój ulubiony tekst: „Podaj przykład”.

Z niego właśnie będziesz sławna.

- A tak na poważnie - mówię - czego to ja tak nie cierpię?

- Na przykład nie cierpiałas filmu, który oglądaliśmy w „Regency”.

- Którego?

- No przecież wiesz.

- Pewnie grała w nim Sandra Bullock. Nie cierpię jej. Opiera podbródek na swoich splecionych dłoniach i przygląda się mi.

- Tylko ty i Kanada lubicie Sandrę Bullock - dodaję.

Ma na sobie koszulę zapinaną na guziki, która zdaje się opalizować w mętnych światłach restauracji.

- Nie cierpiałś dziewczyny Charlesa - mówi.

- Kto to jest Charles? - pytam. - A tak, była okropna.

Jason śmieje się. Ma ładny uśmiech. Jego ojczym był wziętym ortodontą.

Przeprasza mnie, idzie do toalety. Po drodze dotyka mojego ramienia. Poprawiam sztucce, próbuję sobie przypomnieć, dlaczego przestaliśmy się spotykać. Bez powodu, wyjąwszy odległość: pod koniec lata zaczęły się zajęcia i wyjechałam.

Przynoszą nasze steki.

- Co u twojego ojczyma?

- Rozwiedli się.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Jest gejem.

- No coś ty?

- Ażebyś wiedziała. Aktualnie chodzi na randki z ojcem Jimmy'ego Weeksa.

- Jimmy Weeks - mówię. - A co u pani Weeks? Pani Weeks uczyła mnie angielskiego w liceum.

Cały semestr poświęciła Sylvii Plath.

- Nie żyje - wyjaśnia Jason.

- Że co? - pytam.

- Wsadziła głowę do piekarnika.

Placi, a ja nie protestuję. Wracamy jego skuterem, czuję chłód skórzanego siodełka między nogami. Zabiera mnie do baru w bocznej uliczce, której nigdy wcześniej nie zauważyłam.

Kelnerka rozpoznaje go i usadza nas w wysokiej, czerwonej przegrodzie, o kształcie otwartego nawiasu. Jason zamawia dla mnie jabłkowe martini, które prędko wypijam; łyk za łykiem, żeby jak najszybciej móc zamówić coś, co lubię.

- Jakie są twoje plany? - pyta.

Proszę go, żeby się postarał wyrażać trochę bardziej precyzyjnie.

- Wracasz do miasta?

Przypominam mu, że studiuję w Nowym Jorku.

- A może to raczej ty przeniesiesz się na wschód? - pytam. Nie wiem, dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy.

W przegrodzie sąsiadującej z naszą jakaś para świętuje swoje zaręczyny. Przegrody są tak wysokie, że tego nie widzimy, ale mówi nam o tym nasza kelnerka, w kraciastej spódnicy, która rozdyma się niczym abażur od jej wąskiej talii.

- Ci w przegrodzie obok właśnie się zaręczyli.



- Naprawdę? - pyta Jason.

- Tak - odpowiada kelnerka. - Wrzucił pierścionek do szklanki z jej drinkiem. Dobrze, że nie musiałam jej robić manewru Heimlicha.

Kelnerka ma wydatne wargi, obrysowane ciemnoczerwoną kredką. Zastanawiam się, czy mogłabym się zakochać w kobiecie. Nie mogłabym, stwierdzam. Tamtego jedyne go razu, kiedy w pewnym barze całowałam się z dziewczyną - piękną dziewczyną z New Jersey, z oczkami w pończochach i brokatem na piersi - czułam się jak oszustka.

Jason wyplątuje się z naszej przegrody i podchodzi do sąsiedniego stolika.

- Moje gratulacje - mówi.

Zapraszają, abyśmy się przysiedli. Dosiadam się do świeżo zaręczonej pary i Jasona. Chłopak, dziewczyna, chłopak, dziewczyna - taką oto tworzymy konfigurację.

Przyszła panna młoda ma ładny profil, wydatny, prosty nos jak Nefretete. Zamówili butelkę szampana; mężczyzna nalewa nam za dużo do kieliszków i teraz wypływa z nich piana. Opowiada jakiś kiepski świński dowcip, coś tam o dmuchaniu w spernę. Chcę go lubić, więc staram się nie słuchać.

Tworzą dobraną parę. On ma na imię Jim, a ona Dede i cały czas zamiast „ja” mówią „my”. On uczy w szkole średniej, ona jest prawniczką. Pracuje właśnie przy jakiejś sprawie, która dotyczy Indian i prawa do wody. Szczypie się w uszy i pokazuje mi kolczyki, które dostała od członków plemienia. Wyglądają, jakby zostały kupione w sklepie pamiątkarskim w jakimś rezerwacie.

- Jakie to miłe - mówię.

Rozmawiamy i stwierdzam, że jednak nie chcę się z nimi zaprzyjaźniać. Po dziesięciu minutach zauważam wszystkie ich wady: że ona obsesyjnie wygładza brwi i mówi z fałszywym akcentem brytyjskim; że on często używa wyrażenia typu: „Naprawdę niezły numer” i „Mówię wam, ubaw po pachy”. Ale Jason ich lubi. Po półgodzinie Jim i Dede mówią, że idą do domu.

- Trzeba jakoś sfinalizować sprawę, rozumiesz - mówi Jim do Jasona.

Odwracam wzrok; nie chcę widzieć, jak mruga. Dede zwraca się do mnie.

- Będziecie musieli przyjść na nasze wesele. A potem będziecie musieli przyjść na naszą dwudziestą rocznicę.

- A kiedy to będzie? - pytam głupawo.

- Za dwadzieścia lat - mówi ona.

Zostawiają nam pół butelki cristala. Wciąż nie potrafię zrozumieć, dlaczego Jason, po tylu latach, powiedział mojej matce, że chce się ze mną ożenić.

- Co w końcu zaszło między tobą a Aniką, tą Norweżką? - pytam.

- Finką. Była popieprzona - mówi. - Nie zauważyłaś? Widziałam ją tylko dwa razy.

- Nie - odpowiadam. - Zauważyłam tylko, że była piękna.

- Była piękna - zgadza się Jason. - Niesamowite, że to przyznajesz.

- A czemu była popieprzona? - pytam.

- Jej ojciec był alkoholikiem, matka wiecznie na Prozaku; autentycznie dodawała go do soku pomarańczowego. Musiałem uważać, kiedy jadłem tam śniadanie.

- I to dlatego była popieprzona? - Nie mam pojęcia, czemu tak się uczepiłam tej kobiety.

- Miała problemy.

- Wszyscy je mają. Ja też je mam. Odrzuca głowę w tył, udaje, że się śmieje.

- Ty - mówi i upija łyk cristala - jesteś najbardziej normalną osobą, jaką znam.

- Nie, wcale nie jestem normalna.

- Jedyną rzeczą w tobie, która odbiega od normy, są twoje oczy...

- Osadzone zbyt blisko siebie, wiem. Co jeszcze?

Patrzy na mój brzuch i otwiera usta. A potem je zamyka. Upijam łyk szampana, dolewam go sobie. Staram się spłukać posmak wszystkiego, co kiedykolwiek słyszałam z własnych ust.

- Podaj mi przykład - mówi i uśmiecha się - na to, że nie jesteś całkiem normalna i przystosowana.

- Mogę ci coś powiedzieć w tajemnicy?

- Pewnie.

Nachylam się ku niemu.

- Zostałam związana jak baleron i zgwałcona - mówię. Nie wiem, dlaczego to mówię.

- Co?

- Zostałam związana jak baleron i zgwałcona. Próbowałam sikać, ale nie mogłam. Taka jest rada, no wiesz. Sikać.

Chce przytaknąć, ale tylko kręci głową. Wyciąga rękę w moją stronę i cofa ją. Jestem jakaś taka dziwnie swobodna i dociera do mnie dlaczego: gdyby mnie rzeczywiście zgwałcono, czułabym się daleko bardziej usprawiedliwiona we wszystkim, co robię.

- Dlatego właśnie ufarbowałam włosy - wyjaśniam.

Poniekąd czuję się teraz strasznie, że go okłamuję, że stawiam go w tej sytuacji. Ale on mnie nie chce dotknąć, nie może się zmusić, żeby mnie dotknąć. Siedzi tu, wpatrzony w świecę na stole i te kikuty upalonych zapalek wtopione w wosk wokół knota.

- Przykro mi - mówi Jason do knota.

Płaci i wsuwa schludnie złożony rachunek do swojego portfela.

- Może odstawimy skuter do mnie - mówi - a potem wezmę samochód i odwiozę cię do domu.

- Myślałam, że twój samochód jest w warsztacie - mówię.

- Nie, nie jest. Po prostu wymyśliłem, że na skuterze będzie zabawniej.

Zatrzymuje się pod moim domem, nie odrywa wzroku od kierownicy. Kładzie dłoń na klaksonie, jakby mu coś groziło. Nie robimy żadnych planów co do dalszych spotkań; nic sobie nie mówimy. Wsiadam z samochodu, trzaskam drzwiami, a potem cicho wchodzę do domu moich rodziców. Z butami w rękę idę do swojego pokoju.

Przed moim przyjazdem do domu w moim łóżku sypiał ojciec, ale teraz przeniósł się z powrotem do matki. Usuwam pozostałości po nim - opakowanie z tabletkami advilu, książkę o zapobieganiu rakowi prostaty, gazetę telewizyjną sprzed tygodnia. Ojciec zaznaczył żółtym markerem czas emisji i kanał, który nadaje *Najbardziej poszukiwanych w Ameryce*. Porządkuję jeszcze moje dziecięce pamiętniki w chronologicznym porządku i dopiero wtedy idę spać.

Wsiadam na rower, jadę pod moją dawną szkołę. To była żeńska szkoła. Stwierdzam ze zdziwieniem, że wciąż jeszcze trwają lekcje. Na boisku trzydzieści dziewczynek w białych bluzkach i granatowych spódniczkach przygotowuje się do gry w piłkę. Przyglądam się przez ogrodzenie, jak zdejmują spódniczki i układają je na siedzeniach trybuny; pod tymi swoimi mundurkami noszą szorty, dokładnie tak samo jak my kiedyś.

Trener - mężczyzna na oko trzydziestoletni, z lewą ręką w gipsie - dmucha w gwizdek, wzywając je na zbiórkę przy bramce. Dziewczynki wybiegają na boisko. W połowie drogi do bramki kilka z nich się zatrzymuje i albo pokazują palcami, albo się gapią. Jedna z nich ma na sobie białą bluzkę, ale od dołu tylko majtki. Zapomniała włożyć szorty i nie zauważyła tego aż do teraz.

Niektóre jej koleżanki śmieją się. Kilka zakrywa usta. Dziewczynka w majtkach wraca biegiem do trybuny, wkłada spódniczkę i rusza w stronę bramy szkoły.

Wskakuję na rower, zdecydowana zagadnąć ją, kiedy będzie wybiegała. Jestem tam pierwsza; stoję obok roweru, czekam. Powiem jej, że nic się nie stało. Powiem jej, że byłam taka jak ona, że wiem, jak to jest.

- Cześć - mówię, kiedy dziewczynka jest już blisko mnie. Jej rude włosy są zaplecione we francuski warkocz, granatowe kolanówki wciąż trzymają się kolan, mimo że cały czas biegnie. Ma ze dwanaście lat, jest pewnie w szóstej albo siódmej klasie. Wyciera nos wierzchem dłoni i wyciera ją o spódniczkę.

- Hej - mówię. - Przecież nic się nie stało.

Dziewczynka nawet na mnie nie patrzy. Obiega mnie i rower szerokim łukiem, a potem ucieka w głąb ulicy.

Mama zapomniała, że nie lubię ryb. Skarżę się, że w domu nie ma nic do jedzenia.

- Posłuchaj, masz dwie nogi i czas - mówi mama. - Może tak przejechałabyś się na zakupy?

Wybieram się do Cala Foods przy ulicy Irvinga. Przed sklepem, obok stoiska z prasą, stoi mężczyzna; kiedy sięga do kieszeni kurtki, odskakuje w tył. Papierosy.

Robię zakupy dla mnie i mojej siostry. Jutro przylatuje z Anglii. Pierwotnie, z powodu ceny biletu samolotowego, miała spędzić Boże Narodzenie w Oksfordzie. Jednak kilka tygodni temu zmieniła decyzję.

- Błagam, nie przyjeżdżaj z mojego powodu - powiedziałam jej przez telefon.

- Tu chodzi nie tylko o ciebie - odparła.

Freddie i ja lubimy czarną fasolę, chipsy, tortille, grochówkę, croissanty i jogurt waniliowy. Wkładam to wszystko do wózka.

W kolejce do kasy stoję za kobietą, która jest pół Chinką, pół Amerykanką; rozmawia ze swoim synkiem.

- Co to jest? - pyta kobieta, pokazując jabłko.

- Piłka - mówi chłopczyk i śmieje się.

Matka poprawia go i pokazuje dla odmiany pomarańczę.

- Piłka - powtarza mały. Siedzi na siedzisku dla dzieci wmontowanym w wózek na zakupy, jego nogi wystają przez specjalnie wycięte otwory. Ale nie uginają się w kolanach; wystają niczym patyki lizaków. Śmieje się z wszystkiego: z czasopism, z matki, ze mnie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz uśmiechałam się tak szeroko, pokazując tyle zębów.

Mam ochotę odciągnąć tę matkę na bok i powiedzieć jej, co mi się przydarzyło w parku. Mam wrażenie, że ona mnie zrozumie.

Nie ma w tym żadnej reguły, komu o tym opowiadam, a komu nie, ale przeważnie nie opowiadam nikomu, kogo znam, a za to w swoich fantazjach mówię o wszystkim obcym. Teraz mam ochotę opowiedzieć tej Chinko-Amerykance z synkiem w supermarkecie. Mam ochotę opowiedzieć tej kobiecie, która podlicza moje zakupy. Chętnie przejechałabym się po mieście w poszukiwaniu ratowników, strażników i strażaków i też bym im opowiadała. Chciałabym podrzucać tę informację, tak jak się podrzuca niemowlę na cudzym progu, ludziom, którzy nigdy się nie dowiedzą, kim jestem. Powiedzieć im o wszystkim i zaraz sobie pójść, odjechać; tacy nigdy nie wykorzystaliby tego przeciwko mnie, nigdy nie próbowaliby tłumaczyć moich przyszłych zachowań tym, co się zdarzyło w przeszłości. Nie życzę sobie, by odtąd zawsze mnie oceniano na tej podstawie.

Potwornie bolą mnie nogi. *Moje psy szczekają.*

Pytam matkę, czy u niej w pracy są jacyś lekarze od nóg.

- Ledwie chodzę - skarżę się jej.

Wprowadza mnie do wypełnionego po brzegi grafiku znajomego ortopedy. Jest wysoki i ma trudności z oddychaniem przez nos, co jest dziwne: to bardzo duży nos.

- Nie wezmę od ciebie za wizytę - mówi - pod jednym warunkiem.

Wpadam w panikę.

- Powiedz swojej matce, żeby się ode mnie odczepiła na chirurgii.

Czuję ulgę.

- Jest taka upierdliwa? Patrzy na mnie.

- Istny koszmar. - A potem uśmiecha się. - Ona nas wszystkich terroryzuje. Po prostu ją ubóstwiam.

Tak właśnie trzeba o tym mówić.

Podnosi fotel, na którym siedzę jak u dentysty, tylko że ten podjeżdża nawet jeszcze wyżej. Za zamalowaną szybą widzę samochód mojej matki na parkingu.

Pielęgniarka, która ma krzywe zęby i ciało, które jest tak doskonałe, że sama mam lubieżne myśli, kiedy na nią patrzę, opryskuje moje stopy środkiem dezynfekującym. Opowiada mi, że mieszka w Pacifica i jak tam jest ładnie.

Mówię lekarzowi, że nie rozumiem, co się dzieje z moimi stopami.

- Może to nerwy - dodaję.

- A to czemu? - pyta, jednocześnie naciągając oba moje duże palce. - Co się dzieje?

Stwierdzam, że dla niego ta sprawa może być ważna; w końcu to lekarz. Opowiadam mu o wszystkim.

- Wiesz - odpowiada mi na to - spotykałem się kiedyś z jedną kobietą, którą nękał podglądacz. Policja nie chciała mnie słuchać, dopóki nie zadzwoniłem i nie powiedziałem, że jestem lekarzem.

- Ach tak - mówię. Czekam, aż powie coś jeszcze, złoży wyrazy współczucia albo oceni z medycznego punktu widzenia. Zadzwoni na policję w moim imieniu?

- Niewykluczone, że to ma coś z tym wspólnego - mówi. - Ból potrafi się przemieszczać.

Bębni palcami po podeszwach moich stóp. Mam nie pomalowane, nierówne paznokcie.

- Muszę przygotować roztwór - oświadcza. - Zrobię ci kilka zastrzyków. - Podaje mi niebieski marker. - Bądź taka miła - dodaje. - Zakreśl te miejsca, gdzie cię boli.

Kiedy wychodzi z gabinetu, biorę marker do ręki. Dotykam moich stóp. Potem ud. Biorę w dłonie piersi, a potem z całej siły uciskam brzożki uszu. Nie wiem, od czego zacząć.

W domu, z okrągłymi plastrami naklejonymi na miejsca, gdzie mnie kluli, mówię matce, że zdaniem pana doktora wszystkim utrudnia życie, i pytam ją, dlaczego tak jest.

- Bo to jest tak, że ja mam pacjenta na stole, gotowego do operacji, a lekarzy nigdy nie ma w pobliżu. I gdzie znajduję lekarza? - Milknie dla lepszego efektu. - W stołówce, jedzą pączki. - Akcentuje te pączki. Wiem z poprzednich rozmów, że jej zdaniem pączki ponoszą odpowiedzialność za to, że nastolatki biją się i kradną w sklepach - to przez cały ten cukier.

Moja matka wcale nie rozumie Amerykanów aż tak dobrze. Z pewnością nigdy nie nauczyła się amerykańskich idiomów.

- Muszę trzymać oko na lekarzach - mówi. - Bo kiedy nie ma kota, myszy robią harce i bankiety na stole operacyjnym.

Jadę na lotnisko po moją siostrę. Zauważam ją, kiedy czeka na odbiór swojego bagażu. Ma na sobie nowy płaszcz - długi, czarny i lśniący. Zakładam, że to jakaś londyńska moda. Poza tym płaszczem siostra wygląda tak jak zawsze: wysoka, ciemnorude włosy zwinięte w podwójną spiralę nad karkiem.

Kiedy się obejmujemy, czuję zapach jej perfum. Zawsze za mocno się spryskuje.

- Cześć, brązowowłosa - mówi.

Ma niebieskie oczy tak jak ja i znamię na podbródku, które przestała ukrywać korektorem. Krawędzie znamienia są nierówne, niczym podnóże góry na mapie plastycznej. Pyta, czy musimy jechać prosto do domu.

- Nie - odpowiadam. Wydaje się znieca, że dookoła nas rozciąga się całe morze możliwości. LA, Vegas, Walla Walla! Czuję się silna, jakby w tym świecie krył się jakiś potencjał; mam bak pełen paliwa. - Dokąd chcesz jechać?

Chce się przejść brzegiem oceanu, szlakiem zwanym „Koniec Świata”. Jedziemy tam, puszczając na pełen regulator muzykę klubową, którą kupiła w Anglii.

- Bomba, co? - pyta.

Upięła włosy w ciasny kok.

- Jest okropna - stwierdzam.

Freddie śmieje się. Jej śmiech jest inny, jakiś taki mroczny.

Kiedy parkujemy, dwa razy sprawdzam drzwi samochodu, żeby się upewnić, że są zamknięte. Gdyby Freddie tu nie było, sprawdziłabym jeszcze raz.

To pierwszy spacer, na jaki się wybrałam od drugiego grudnia, od dnia w parku. Na samo wspomnienie bolą mnie nogi. Ale ją coś męczy - jej twarz wydaje się pozbawiona kości, kiedy ją coś męczy.

Pyta, jak mi leci, na co odpowiadam, że dobrze. Już mnie pytała podczas jazdy. Za wzgórzem, które graniczy ze szlakiem, znajduje się pole golfowe. Zdarza się, że trzeba uważać na głowę - nigdy nie wiadomo, na jakim poziomie umiejętności są gracze. Zauważam starą piłeczkę na szlaku, podnoszę ją, miętoszę w jednej dłoni, potem w drugiej.

Pytam, dlaczego przyjechała do domu.

- Miałam ciężką sesję - wyjaśnia.

Opowiada mi, że chodziła raz w tygodniu na indywidualne zajęcia wyrównawcze z psychologii i że podczas nich narkotyzowano ją herbatą i wmawiano przy tym, że ona wszystko wypiera, że jest Dorą z przypadków opisanych przez Freuda. Kazano jej powiedzieć na głos słowo „kutas”. Zmuszano, żeby je wykrzyczała.



- Och, Freddie, jak ja ci współczuję - mówię. A potem bierze mnie wściekłość. Zawsze bardziej denerwuję się sprawami, który zdarzyły się jej, a nie mi. - Mam nadzieję, że wywalili go z uniwersytetu - mówię.

- To była ona - wyjaśnia Freddie.

- Co?

- To była kobieta.

- O mój Boże - mówię. - Jakie to zboczone.

Mówi mi, że przydzielili jej teraz kogoś innego, ale boi się wpaść na tamtą kobietę.

- Nie chodzi mi o to, co mi zrobiła; tego się nie boję - mówi Freddie - ale jestem pewna, że ona wie, że na nią doniosłam.

- Wiem, o czym mówisz - zapewniam ją.

W drodze do samochodu gromadzimy jedenaście piłeczek golfowych. Freddie próbuje ułożyć je na desce rozdzielczej, ale staczają się stamtąd.

- Cholera, co my z nimi zrobimy? - pyta.

Zamykam się w swoim pokoju na klucz, otwieram szuflady i szafki, przeglądam moje półki, jak zawsze, kiedy wracam do domu.

W drugiej szufladzie biurka znajduję stare listy od Nicholasa, tego popapranego chłopaka z niesymetrycznymi rzęsami. W listach oskarża mnie, że go zdradzam, że „jestem mokra od potu innego faceta”. To było dwa lata przed naszym rozstaniem. Byłam wierna, cały ten czas.

Dzwoni telefon; to reprezentant świata.

- Chciałem się tylko zameldować - mówi.

- To miłe - mówię i naprawdę tak uważam.

- Chciałem sprawdzić... czy wszystko idzie zgodnie z rozkładem.

- Co?

- Miałaś odwiedziny jak co miesiąc? Nie miała przypadkiem przyjechać dzisiaj?

- A tak, moja ciotka przyjechała dzisiaj, punktualnie - mówię. - Jaki ty jesteś konserwatywny.

- Jestem troskliwy, nie konserwatywny. No dobra, także konserwatywny.

Usiłuję wymyślić, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- Dzięki, że zadzwoniłeś.

- Jeśli się jąkam - mówi on - to dlatego, że biorę nowe lekarstwo.

Kiedy już się rozłączamy, przeglądam moje pamiętniki z dzieciństwa. Są różnej grubości i pokrywają je różne charaktery pisma i różne wzorki: zaby, tulipany, gwizdki, piłki. Ten z siódmej klasy jest ozdobiony naklejkami. Na jednej dużej, owalnej naklejce jest zapłakana kobieta; dymek nad jej rudą głową mówi: „O mój Boże, zapomniałam urodzić dzieci”.

Otwieram ten pamiętnik, z siódmej klasy, i czytam o ugrupowaniu koleżanek z mojej klasy, które przyjęły nazwę „Wspaniała Dziewiątka”. Nikt inny tak ich nie nazywał; to była ich tajna nazwa.

Wiosną tamtego roku szkolnego urządziły dla mnie podchody. Któraś wepchnęła przez otwór wentylacyjny w mojej szafce list napisany na maszynie: „Jeśli chcesz się dowiedzieć, dlaczego cię nienawidzimy, to szukaj kolejnych wskazówek”. List instruował mnie dalej, że mam zajrzeć za sedes w trzeciej przegrodzie toalety obok gabinetu dyrektora. Ukryty tam list kazał mi iść do laboratorium biologicznego, tam gdzie znajdowały się zdjęcia płodów usuniętych w wyniku aborcji. List za zdjęciem martwego płodu kierował mnie do szwalni, a stamtąd miałam iść do klatki z chomikami pierwszaków (gdzie odbyły się zaślubiny dwóch chomików, zanim nauczyciele odkryli, że to dwa samce), skąd musiałam powędrować do lewego słupka tej dalszej bramki na boisku do piłki nożnej, gdzie wykopałam z ziemi list, który zaprowadził mnie do biblioteki, do książki o dziewczynce, która nie miała żadnych przyjaciół, gdzie z kolei znalazłam kolejne instrukcje, wpisane ołówkiem na stronie sześćdziesiątej drugiej, które zawiodły mnie do szóstej książeczki do nabożeństwa w piątej ławce w kaplicy; wskazówki tam znalezione zaprowadziły mnie ostatecznie do stołówki, gdzie pod koszem na śmieci znalazłam zrolowany, brudny list, który odwinęłam czubkami palców i który przywarł mi do nich niczym mokry ręcznik papierowy. I przeczytałam: „Nienawidzimy cię, bo tobie się wydaje, że jesteś jakąś królową”.

Później członkinie Wspaniałej Dziewiątki nadal ze mną nie rozmawiały, nawet jak próbowałam się bronić: „Wcale nie myślę, że jestem jakąś królową. Jak mogłabym myśleć, że jestem królową?”

Matka próbowała mnie pocieszać.

- Posłuchaj - powiedziała. - Takie podchody wymagają mnóstwa pracy. Jestem przekonana, że nie kazałyby ci przez to przechodzić, jeśliby cię nie lubiły *moltissimo*.

Ojciec znalazł inne rozwiązanie. Tamtego wieczoru przyszedł do mojego pokoju z pudłem na kapelusze.

- To mi wpadło do głowy, kiedy jechałem samochodem - powiedział.

Siedziałam przy biurku z kalkulatorem, starając się obliczyć, ile mi zostało minut do ukończenia ósmej klasy.

- Co ci wpadło do głowy?

- Ten pomysł. Jeśli chcesz komuś pokazać, że kimś nie jesteś, to zrobisz najlepiej, jak będziesz odgrywała tę rolę. Zrób sobie z tego dowcip.

Mój ojciec, który nosił ślubną obrączkę na małym palcu, odkąd przybrał na wadze i zaczęły mu puchnąć dłonie, otworzył pudło.

- Hip-hip-hura - powiedział. Grubymi palcami o starannie opiłowanych paznokciach wyciągnął starą koronę ze sztucznymi brylantami i rubinami. - Znalazłem ją na wyprzedaży garażowej.

Wsadziłam ją z powrotem do pudła i nałożyłam wieko, jakbym łapała coś w pułapkę. Ojciec wstał i wyszedł z pokoju. Odczekałam minutę. Potem zamknęłam drzwi na zamek i wyjęłam koronę z pudła. Stałam przed lustrem i wsadziłam ją sobie na głowę. Nosiłam ją tak długo, aż poszłam spać.

Ranek dwudziestego trzeciego spędzam w taki sam sposób, w jaki spędzam większość poranków: na wyglądaniu przez frontowe okno.

Przyglądam się przyływowi i odpływowi samochodów: na obu końcach naszej przecznicy są światła. O tej porze dnia przechodniów jest niewiele, więc próbuję zaglądać do wnętrza samochodów. Dziwię się, że tak wielu ludzi jeździ w pojedynkę. Dziwię się, że jest tak wiele czerwonych samochodów.

Kiedy do naszych drzwi podchodzi listonoszka, słyszę skrzypienie klapki skrzynki na listy, po chwili klapka opada. Listonoszka przyszła dzisiaj bardzo późno. Wszystkie te kartki i paczki gwiazdkowe, przysłane na ostatnią chwilę. Wyglądam przez okno i widzę ją, jak pcha swój wózek w głąb ulicy. Wpadam na pomysł, żeby ją śledzić, dowiedzieć się, jaką chodzi trasą. Wiem tak mało o ludziach, których widuję codziennie.

Siedzi się ją trudno. Muszę iść powoli i udawać, że przyglądam się fasadom domów, drzwiom garażowym. Listonoszka jest ubrana w przepisowe krótkie spodnie i skórzane rękawiczki. Podeszwy jej butów są starte od zewnętrznej strony. Kiedy dochodzi już do końca naszej ulicy, skręca w prawo, w aleję Wawona.

Wchodzi na schody i schodzi ze schodów. Zatrzymuje się, by pogłaskać rudego kota.

- Cześć, malutki - mówi.

Wygląda jak ta listonoszka z obrazka w broszurze, którą dał mi ortopeda. Była to broszura poświęcona ludziom, którzy musieli wrócić do pracy po przebytej operacji nóg. Może właśnie ona posłużyła za model.

- Cześć, Maria - woła z progu do listonoszki kobieta w motelowej podomce. Schodzi po schodach w bamboszach i wręcza listonoszce czek. - Wesołych świąt!

Idę za Marią jeszcze jedną ulicę, aż wreszcie ona obraca się i patrzy na mnie zmrużonymi oczyma.

Wpadam na pomysł, że podam się za filatelistkę i spytam, kiedy wychodzi następny znaczek z serii poświęconej bluesowi, ale rezygnuję z pomysłu. Odwracam się, zrywam do biegu.

Rankiem w dniu Bożego Narodzenia budzę Freddie, zdieram z niej kołdrę i łaskoczę ją w stopy.

- Odwał się - jęczy Freddie.

- No dalej, wstawaj - mówię. - Idziemy sprawdzić nasze pończochy.

Pończochy sprezentował nam ojciec chrzestny Freddie; są na nich wyhaftowane nasze imiona. Imię Freddie ma w sobie błąd.

Boże Narodzenie w naszym domu ma wymiar praktyczny: co roku dostaję skarpety w sezonowy wzorek - w bombki i Mikołaje; nadają się wyłącznie do wysokich butów - oraz włóczkę do ich cerowania. Tego roku na moich skarpetach jest renifer, który przeskakuje przez księżyc.

Oprócz skarpet w naszych pończochach znajdują się jeszcze breloczki do kluczy z kostkami Rubika. Nie potrafię wyobrazić sobie sklepu, w którym ciągle jeszcze je sprzedają. W stopy wepchnięte są książki: każda z nas dostaje *Podręcznik dobrych manier* Emily Post.

- Jezu - mówię, otwieram na chybił trafił - pani Post radzi, jak dziękować chłopakowi za zaproszenie na randkę - i wybucham śmiechem. Patrzę na Freddie, siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Trzyma swoją książkę na kolanach, płacze.

Freddie nie powiedziała rodzicom, co się stało w szkole, dlatego przyjechała do domu na Gwiazdkę.

Dzwonię do Sary, do Irlandii, składam jej życzenia.

- Tu już jest po wszystkim - mówi.

- Jak było?

- Jak ja żałuję, że nie przyleciałam do domu - mówi. - Zwłaszcza w to Boże Narodzenie żałuję, że nie przyleciałam do domu. Nie wiem, co mi się wydawało. Że może jak będę tutaj, nie będzie mi tak dziwnie, że jego nie ma obok, a jednak jest gorzej.

Po śmierci brata Sara zaczęła mówić cieńszym głosem.

- Co mogę zrobić, żebyś poczuła się lepiej?

- Opowiedz jakiś dowcip - prosi.

- Będę ci opowiadała dowcipy tak długo, aż poczujesz się lepiej.

- Okay - mówi Sara. - Umowa stoi.

Opowiadam jej wszystkie te dowcipy, które ona opowiedziała mi przez te całe lata. Ten o pianinie, który miał dziesięć cali wzrostu, ten o wilkołaku, ten o Bobie Dole'u i rosomaku. Uwielbia dowcipy o Bobie Dole'u i rosomakach.

W kącie korytarza, obok jakiejś rośliny, matka trzyma parę wielkich, dekoracyjnych sabotów pomalowanych na żółto. Kupiła je w Holandii. Wciskam w nie moje ubrane w renifery stopy. Są ogromne; mam wrażenie, że to dwie łódki. Chodzę w nich przez całe Boże Narodzenie.

- Zdejmij je - mówi matka. - Służą do dekoracji. Nadal je noszę, nawet przy kolacji. Stukają, jeśli się nie pilnuję. Tymi sabotami mogłabym wybić całe kolonie mrówek. Mogłabym chodzić po wodzie.

Ojciec opowiada jakiś kiepski dowcip, uderzam piętą o piętę.

Matka wkurza się.

- Zdejmij je natychmiast, błagam.

- O co ci chodzi? - pyta Freddie.

Matka próbuje usprawiedliwić swój gniew wytłumaczeniem natury medycznej:

- Jestem pewna, że nie przysłużą się twoim nogom.

- Ellis, proszę, denerwujesz matkę.

Ostatnimi czasy ojciec zawsze bierze jej stronę. To, a także inne rzeczy, które robi, na moment nie przestają mnie interesować: że wstaje o piątej, aby zrobić jej owsiankę, zanim wyjdzie do pracy; że zapala światło na zewnątrz, kiedy wie, że przyjdzie do domu późno; że raz w miesiącu chodzi z nią na różne imprezy, na których mówi się wyłącznie po włosku, mimo że nie zna ani słowa w tym języku.

Zdejmuję saboty i stawiam je w kącie pokoju, czubkami do ściany, niczym stopy skarconego dziecka.

Pod koniec kolacji dzwoni telefon i ojciec wstaje, żeby go odebrać. Słyszemy jego rozmowę; składa swemu kumplowi Johnowi raport z naszego życia. Wspomina, że Freddie skończyła osiemnaście lat. Freddie patrzy na mnie, robi jakiś gest w kierunku ojca i mruży swe niebieskie oczy.

Ojcu zawsze się wydaje, że Freddie jest o rok młodsza, niż jest w istocie - nigdy nie wie, jak jest naprawdę.

Wraca do stołu, a wtedy Freddie wyprowadza go z błędu.

- Mam dziewiętnaście lat - mówi. Podnosi najpierw dziesięć palców, a potem dziewięć.

- Och, przepraszam - odpowiada ojciec. - Naprawdę nie wiem, dlaczego uznałem, że masz osiemnaście lat.

- Może to dlatego, że przeoczyłeś moje piętnaste urodziny - ciągnie Freddie. - Może właśnie dlatego zawsze ci się wydaje, że jestem o rok młodsza.

Matka podnosi wzrok znad talerza, gapi się na ojca. Ojciec przymyka oczy.

- Próbowałem dzwonić, ale linia była wiecznie zajęta. Wy, dziewczynki, za dużo gadacie przez telefon. Ciekawe, jak wam się udaje odrabiać pracę domową.

- Linia była zajęta przez cały rok? - pyta Freddie.

Wyglądam przez okno na okno sąsiadki. Pani Alarid ogląda w telewizji kreskówkę o reniferze Rudolfie. W swoje piętnaste urodziny Freddie nie wyszła z domu. Siedziała przy telefonie do północy, rysując labirynty w notesie z żółtymi kartkami.

Ojciec dolewa sobie wody. Potem wstaje i idzie na górę.

Wyobrażam sobie, że matka zaraz opieprzy Freddie, ale ona tego nie robi. Mówi natomiast, że Boże Narodzenie bez śniegu to nie Boże Narodzenie. Potem wszystkie trzy rozmawiamy o nartach, że minęło tyle czasu, odkąd wyjeżdżałyśmy na narty.

- Patrzcie, co my tu mamy - mówi ojciec, kiedy wraca do stołu. Trzyma kopertę, na której napisane jest „Freddie”. - Znalazłem to za komodą. Pewnie spadło wiele lat temu i nikt nie zauważył.

Freddie powoli otwiera kopertę. W środku jest kartka, na której ojciec napisał: „Wszystkiego najlepszego z okazji piętnastych urodzin”.

- To nie jest śmieszne - mówi Freddie. - To wcale nie jest śmieszne. - Wpycha kartkę do koperty i wręcza mu ją z powrotem.

Patrzę na matkę i widzę po jej oczach, że też jest rozczarowana: ojciec wciąż nie przeprosił za to, co zrobił.

Budzę się następnego ranka i widzę Freddie, która klęczy przy moim łóżku.

- Co ty wyprawiasz? - pytam. Nad moją głową krąży mól; próbuję sobie przypomnieć: *Czy nie jest tak, że one żyją tylko jeden dzień? A może najpierw kojarzą się w pary i dopiero wtedy umierają?* Wszystkie te informacje, które kiedyś zapamiętałam i potem zapomniałam.

- Chodźmy zrobić coś dziewczynskiego - mówi Freddie.

- Na przykład co?

- No coś, co robią normalne dziewczyny.

Obie milczymy, zastanawiamy się.

- Chodźmy do jakiegoś salonu - proponuje Freddie. - Taki dzień odnowy.

- Jestem splukana i ty też.

- No to chodźmy i dajmy sobie zrobić coś jak najtańszego.

Zgadzam się iść. Nie mam nic innego do roboty. A poza tym sąsiadka udziela lekcji pianina w swoim dużym pokoju. Poniedziałek to jej dzień dla wszystkich początkujących uczniów i słyszę, jak kaleczą gamy. Za bardzo mi to przypomina taśmy ze skrzypcami Nicholasa.

Idziemy do salonu piękności w pobliskim centrum handlowym. Najtańszy zabieg to henna na rzęsy. Za dziesięć dolarów, mówi nam kobieta o niesamowicie wydepilowanych brwiach, nie będziemy musiały przez miesiąc używać tuszu.

Siadamy obok siebie na wysokich stołkach barowych. Kobieta każe nam zamknąć oczy i pędzelkiem nakłada na rzęsy niebieskoczną farbę.

- Wrócę za dwadzieścia minut, żeby sprawdzić - mówi. Kiedy miałam otwarte oczy, nie zauważyłam, jaki ona ma okropny, zgrzytliwy głos. - Możecie poczuć pieczenie. Ale róbcie wszystko, byle tylko nie trzeć - mówi nam ten głos.

Freddie i ja siedzimy twarzami ku sobie, ale mamy szczelnie zamknięte oczy. Nasze kolana stykają się ze sobą. Freddie chwyta moje kolano swoimi, a ja próbuję się wyrwać.

- Przestań - mówię. Freddie śmieje się.

- Kiedyś ciągle to mówiłaś - przypomina.

- Co? - pytam.

- Przestań. Pamiętasz, jak tato i ja nazywaliśmy cię „panną Przestań”?

- Przestań - mówię. Śmieje się.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Pod powiekami fruują mi białe plamki, Droga Mleczna z białych plamek. Freddie uwalnia moje kolano, ale nie cofam go. Ujmuje moje dłonie swoimi. Trzy-



mamy się za ręce dłużej niż kiedykolwiek. Nie widzę jej twarzy, ale czuję, co się z nią dzieje. Z początku trzęsą jej się ręce, a potem są spokojne, pewne, silne. Siedzimy tam, aż wreszcie kobieta wraca, by zetrzeć farbę z naszych rzęs.

W domu przeglądam moje stare albumy o sztuce, te, które w czasach liceum kupowałam na wyprzedażach garażowych. Kobieta, która mieszka niedaleko, w jednym z otynkowanych na mleczny kolor domów, które stoją rzędem wzdłuż naszej ulicy, organizowała wyprzedaże w każdą drugą sobotę każdego miesiąca. Była pielęgniarzką przy umierającym człowieku, który zostawił jej w spadku swój dom, pieniądze i cały dobytek.

Podczas każdej wyprzedaży wykladała kolejne albumy o sztuce z jego zbiorów. Kupowałam je, a potem z wielkim trudem taszczyłam taki stos do domu; przekonałam się, że papierowe torby nie wytrzymują ich ciężaru. Po powrocie do domu siadałam w swoim pokoju i zaznaczałam ołówkiem te obrazy, które podobały mi się najbardziej.

Teraz, kiedy znowu przeglądam te albumy, usiłuję sobie przypomnieć, co takiego mogłam widzieć w zaznaczonych obrazach - u Piera Della Francesca albo u Botticellego - oprócz tej harmonii i piękna, oprócz tego, że u nich sztuka wygląda jak sztuka. Przyglądam się opadającemu ramieniu Wenus, jej kłamliwej anatomii. Żadne ramię nie opada w taki sposób.

Muszą istnieć ważniejsze rzeczy, które powinno się malować, oglądać, robić. Musi istnieć coś więcej oprócz całej tej symetrii i piękna. *Po powrocie na uczelnię zabiorę się do baroku*, postanawiam. To mi wypełni część dni, niektóre luki.

Pytam ojca, czy możemy jechać w odwiedziny do wujka Lou - już dawno go nie widziałam. Mam wrażenie, że powinnam porozmawiać z kimś starym. Ojciec dzwoni do Lou i umawiamy się na wizytę w Sacramento, w następne popołudnie.

Prowadzi ojciec, a ja siedzę na siedzeniu pasażera; zdjęłam buty, trzymam stopy wsparte o deskę rozdzielczą. Świeci słońce. Opuszczam szybę i wystawiam rękę za okno, wnętrzem dłoni do przodu.

To właśnie w samochodzie ojciec mówi mi coś strasznie dziwnego. Miałam jedenaście lat, kiedy próbował mi opowiedzieć o swych problemach małżeńskich. „Chcę tylko, żebyś wiedziała, że twoja mamusia i ja nie jesteśmy normalnym małżeństwem”, powiedział wtedy. Zjeżdżaliśmy akurat z jakiegoś stromego zbrocza i ja wystawiłam głowę za okno, więc wiatr rozwiał dalszą część tego, co miał mi do powiedzenia.

- Wypatruj takiego faceta, który nosi krawat w amerykańską flagę - mówi do mnie ojciec teraz, kiedy już zbliżamy się do Bay Bridge.

- Dlaczego? Kto to jest? - pytam.

- On stoi tutaj na rogu i jeśli dasz mu dolara, odmówi za ciebie modlitwę.

- Zawsze tę samą czy jakąś inną? - pytam.

- No więc kiedyś były inne, ale ostatnio zauważyłem, że to jest zawsze ta sama. Chyba zrobił się leniwy.

Kiedy dojeżdżamy do rogu, na którym zwykle stoi ten mężczyzna, ojciec zwalnia, rozgląda się dookoła, a potem głośno wzdycha.

- Nie ma go dzisiaj - mówi rozczarowany.

Ojciec zna wszystkich ludzi, których nie zna nikt inny. Zna Murzynkę w pomarańczowej kamizelce, która kieruje ruchem dookoła placu budowy w okolicy ogrodu zoologicznego; zna Charlie, Chinę, która obsługuje parking przy Fillmore Street; zna łysą kobietę, która mieszka kilka domów od nas. Łysa kobieta sprawdza codziennie swoją jabłoń i liczy, ile jest na niej owoców. Któregoś ranka ojciec wstał wcześniej, zakradł się do jej ogrodu i powiesił na gałęziach kiść winogron i banana. Był zadowolony z siebie przez tydzień.

- Jakie właściwie pokrewieństwo łączy mnie z wujkiem Lou? - pytam. Kiedyś to wiedziałam, ale już zapomniałam.

- Był bratem twojego dziadka.

- A więc jest twoim wujkiem - stwierdzam.

Ojciec nie odpowiada; próbuje to przemyśleć. Wjeżdżamy na most i zmieniamy pas.

- Tak - mówi.

Wujek Lou pomógł mojemu ojcu w przyjeździe do Stanów z Polski. Też o tym słyszałam i zapomniałam.

Kiedy się zatrzymujemy, żeby zatankować, proponuję, że teraz ja siądę za kierownicą. Zasu-  
wam szyby w oknach w pewnym miejscu niedaleko Vacaville, gdzie śmierdzi cebulą.

Kiedy już zjeżdżamy z autostrady, ojciec każe mi skrócić w Gold Country Road, a potem jest już ulica wujka Lou, Gold Rush Drive. Droga Gorączki Żłota.

- Chyba sobie żartujesz - mówię do nikogo w szczególności.

Kiedy idziemy w stronę domu, szczeka jakiś pies, a wuj Lou i jego żona Irene wychodzą na podjazd przez furtkę w pomalowanym na brązowo płocie. Nie widziałam żadnego z nich od pięciu lat, od pogrzebu babci. Wujek Lou wygląda dobrze. Ma osiemdziesiąt siedem lat, nosi ciemne dżinsy i czerwone adidas Pumpy.

- Oboje z Freddie ubieracie się tak samo - mówię, kiedy go obejmuję.

Irene nosi czerwoną bluzkę i czerwone klipsy. Dopiero teraz to mi się przypomina w związku z nią: że jej klipsy zawsze są dopasowane kolorem do stroju.

Ściskam ją i jej sztywne od lakieru, ufarbowane na rudo włosy drapią mnie w policzek.

- Schudłaś trochę - zauważa. - A przecież kiedyś miałaś buzię jak księżyc w pełni. Lou, pamiętasz, jak ją nazywaliśmy Księżycowa Twarz?

- Przechodziłam okres dojrzewania - mówię. To mi się podoba w Irene, stwierdzam. Nigdy nie kryje tego, co myśli; wali ci to prosto w oczy.

Irene jest szóstą żoną Lou; są ze sobą od trzydziestu lat. Jest od niego młodsza o dziewiętnaście i mimo że się garbi, wygląda młodziej. Nigdy nie omieszka przypomnieć, czy to jestem ja, czy ktokolwiek, że ma taką wadę postawy dlatego, że jej rodzina była biedna i była zmuszona spać na zapadającej się kanapie od czasu, gdy skończyła trzy lata, aż do dnia, w którym wyszła za mąż.

Przenosimy się na otoczone płotkiem patio, gdzie stoją krzeselka z zielonego plastiku i cztery rośliny w donicach. Wręczam Lou plastikową torbę pełną piłeczek golfowych, które Freddie i ja zebraliśmy na szlaku biegnącym wzdłuż Krańca Ziemi. Ogląda je wszystkie po kolei, obraca w palcach. Ojciec ciska jedną psu, któremu nadano imię Teddy, na cześć Roosevelta.

Irene proponuje mrożoną herbatę.

- Pomogę ci - mówię i idę za nią do kuchni. Pytam ją, jak jej się żyje.

- Och, dobrze - odpowiada. - Ale jest ciężko. Lou zapomina, jak się robi podstawowe rzeczy. Kiedy musi zadzwonić, nie wie, co zrobić, jeśli przed numerem trzeba wykręcić kierunkowy. Ot, takie proste rzeczy.

Teddy wchodzi do środka, skacze, kładzie mi łapy na kolanach.

- Chcesz obejrzeć moje ściany? - pyta Irene.

Irene ma własny pokój, bo Lou chrapie. Ojciec powiedział mi, że wszystkie żony Lou z początku próbowały spać z nim w jednym pokoju i znosić to jego chrapanie, ale w końcu każda dostawała własną sypialnię.

Trzy ściany sypialni Irene są pokryte fotografiami oprawionymi w ramki. Oprowadza mnie po nich: ona i Lou na wycieczce po Meksyku; Lou wciągający ją na schody biura sędziego pokoju w dniu ich ślubu.

- Stchórzyłam - mówi.

Są tam też zdjęcia jej syna schizofrenika ubranego w koszulę z kołnierzykami i swetry w serek.

- Mój ojciec też był schizofrenikiem - mówi. - To choroba, którą dziedziczą mężczyźni w naszej rodzinie. Wszystkie kobiety są zdrowe.

- W jakim stanie jest teraz? - pytam.

- Chyba niezłym. Musieliśmy przestać mu mówić, gdzie mieszkamy, bo mógłby przyjść i nas obrabować.

Irene ma tyle tych zdjęć, że co roku, w dzień po Bożym Narodzeniu, dokonuje rotacji: wyciąga nowe z zapasów i zastępuje nimi te, które wisiały przedtem.

Przechodzi przez pokój.

- Na tej ostatniej ścianie wiszą moje osiągnięcia. Kiedy przeszłam na emeryturę, zadałam sobie pytanie: „Co ja zrobiłam z własnym życiem?” Tak więc postanowiłam wykorzystać tę ścianę, żeby to sobie przypomnieć.

Wśród oprawionych w ramki osiągnięć znajduje się jej dyplom ukończenia szkoły średniej, akt ślubu oraz certyfikat, że zdała test na operatora pralni chemicznej.

- Otwarłam własny zakład, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat - mówi. - W twoim wieku.

Jej czerwona bluzka jest wyprasowana, a robiony ręcznie sweterek jest nieskazitelnie biały.

Wracamy do kuchni. Irene wyjmuje szklanki, a ja wyciągam dzbanek z jasnoniebieskim dozownikiem z dziurkami przymocowanym do szyjki gumką.

- Jaki świetny pomysł - chwale, wskazując dozownik.

Irene uśmiecha się.

Siedzimy na patio, na krzeselkach z zielonego plastiku.

Wujek Lou przysuwa się do mnie bliżej, podkręca swój aparat słuchowy.

Mówię, że chciałabym obejrzeć jego medale i albumy z wojny.

Lou głaszcze Teddy'ego i przez chwilę wydaje mi się, że nie usłyszał. Ale potem wstaje i wędruje w stronę domu.

- Będę za sekundkę - obiecuje. Teddy wchodzi za nim do środka.

- Jak miło z waszej strony, że wpadliście - mówi Irene.

Wyraźnie jej ulżyło, że ma pomoc w zabawianiu Lou.

Mówię jej, że długo ich nie widziałam. Wraca wujek z medalami.

- Zęby mnie bolą - mówi Irene. - Idę pooglądać telewizję.

Wujek Lou trzyma swoje medale przypięte do tabliczki wyłożonej niebieskim aksamitem. Purpurowe Serca wyglądają jak cukierki owinięte w dekoracyjną złotą folię. Środek każdego medalu jest purpurowy, ze złotym profilem George'a Washingtona.

Przyglądam się Brązowej Gwieździe: jest to duża, pięcioramienna gwiazda, ze wstążką w czerwono-niebieskie paski. Widziałam ją, kiedy byłam mała - pamiętam, że wtedy bardziej błyszczała. Gdybym znalazła ją teraz na ulicy, pomyślałabym, że to gwiazdkowa ozdoba, która spadła z choinki.

Z tej Brązowej Gwiazdy wujek Lou jest najbardziej dumny.

Pytam dlaczego.

- Bo żeby dostać Purpurowe Serce, wystarczy tylko porządnie oberwać - wyjaśnia.

Mówi głębokim głosem, w jakiś taki mechaniczny sposób. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie ma to czegoś wspólnego z rozrusznikiem, który nosi w sercu.

W albumie Lou znajdują się zdjęcia kobiet w toplessie, z czasów, kiedy stacjonował w Nowej Zelandii.

- Popatrz no tylko - mówi. - Zapomniała się ubrać od góry. - Znowu się śmieje. Albo jest taki kompletnie beztroski, albo może zapomniał o nich wszystkich.

Przechodzimy do listu, który był dołączony do jego Brązowej Gwiazdy:

„Za bohaterskie osiągnięcia w akcji przeciwko wrogim wojskom japońskim na wyspie Saipan, należącej do archipelagu Marianów, 7 lipca 1944 roku, w ramach służby w batalionie artylerii Piechoty Morskiej. Walczył ofiarnie pod nieustającym ostrzałem z dział maszynowych i lżejszej broni. Odważnie pomagał swemu oddziałowi w akcji zniszczenia japońskiego czołgu, który zabił pięciu, a ranił sześciu ludzi z oddziału. Jego odwaga, inicjatywa i całkowity brak poszanowania dla własnego bezpieczeństwa idą w parze z najwspanialszymi tradycjami Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych”.

Jestem zafascynowana tym „całkowitym brakiem poszanowania dla własnego bezpieczeństwa”.

Lou opowiada mi o tym, jak znajdował się pod ostrzałem i w rękach trzymał karabin, skonstruowany w połowie z metalu, a w połowie z drewna. Pocisk trafił jego broń i mocno mu poparzył policzek.

- Wciąż trzymałem karabin, ale tylko tę metalową część, spust i tak dalej. Drewniana część odpadła.

- Nie rozumiem - mówię.

- Ta broń mnie ochroniła - mówi powoli Lou, jednocześnie gładząc Teddy'ego - i to nie raz.

Na następnej stronie znajduje się telegram, który pierwsza żona Lou otrzymała 8 sierpnia 1944 roku, informujący ją, że został ranny podczas akcji.

„Domyślałam się, że musi się pani bardzo niepokoić, ale nie doniesiono, jaki jest charakter obrażeń, i należy się spodziewać, że dalsze szczegóły przybędą z opóźnieniem. Niemniej jednak wszelkie nowe informacje będą pani bezzwłocznie przekazywane. Proszę nie ujawniać nazwy jego statku ani też miejsca pobytu, aby nie pomagać naszym wrogom”.

Lou przewraca stronę, aby pokazać artykuł z gazety na temat bitwy na Betio.

- Nazywaliśmy tę wyspę Zastranym Benito - mówi. Patrząc na wycinek i widzę, że wyspa nazywała się jednak „Betio”, nie „Benito”. Nie wiem, komu wierzyć.

- Na tej wyspie, na Benito, mieliśmy ćwiczyć lądowanie - ciągnie Lou. - Ale nie wiedzieliśmy, że Japończycy kryją się w podziemnych bunkrach. Maskowali się kłodami z drzew kokosowych. Tysiąc dwustu naszych umarło niepotrzebnie. To był wielki błąd. W kraju nie chcieli tego podać do wiadomości publicznej.

- Dlaczego nie wróciłeś? Na statek? - pytam.

- Uczyli cię, że zawsze idzie się tylko do przodu. Mieliśmy miotacze ognia. To niesamowite maszyny. - Trzymając otwarty album na kolanach, sięga do plastikowego woreczka i ciska Teddy'emu piłeczkę do golfa.

Zadaję mu pytania, próbując jakoś poukładać, co się właściwie stało, ale to nie ma sensu. Robi się przygnębiony, przeze mnie, przez siebie samego. Czuję się odpowiedzialna.

Lou zamyka album.

- Mam szczęście, że mi się to zachowało - mówi. - Moja trzecia żona zniszczyła większość moich albumów ze zdjęciami.

Wchodzi do domu, żeby odłożyć medale na ich miejsce, na półkę z książkami.

Ojciec nachyla się w moją stronę. Spodziewam się, że będzie mi coś tłumaczył na temat tej trzeciej żony-awanturnicy.

- Przez całe lata w ogóle nie opowiadał o wojnie - mówi. - Ani słowa.

Kiedy Lou wychodzi z domu, towarzyszy mu Irene, która niesie talerz pełen ciastek z wróżbą. Teraz, kiedy pochował pamiątki z wojny, ma ochotę przyłączyć się do rozmowy.

- Przyjeżdżacie w ogóle do San Francisco? - pytam.

- Od lat nie byliśmy - mówi Irene. - Ani razu od pogrzebu twojej babci.

- Nigdy wcześniej nie byliśmy na takim pogrzebie - dodaje Lou.

- Nie, to był po prostu pogrzeb, który różnił się od tych twoich - mówi Irene. - Po raz pierwszy byliśmy na takim, na którym przemawiało wielu ludzi.

- Normalnie przemawia tylko jedna osoba - dodaje Lou.

- Ale od tego czasu - mówi ona - byliśmy na wielu takich, na których przemawiają wszyscy.

Nikt nic nie mówi. Kiedy zachodzi słońce, robi się drastycznie chłodniej. Wkładam cienki sweter. W domu sąsiada dzwoni telefon.

- Ten człowiek był moim bohaterem - mówi ojciec, wskazując kciukiem Lou.

Lou uśmiecha się blado. Irene otwiera ciastko i gniecie je, nie przeczytawszy wróżby.

Podczas drogi powrotnej do San Francisco pozwalam ojcu prowadzić i próbuję znaleźć taką stację radiową, która by nam obojgu odpowiadała. Decydujemy się na taką, która przez całą noc puszcza Elvisa, bez żadnego powodu.

Mijamy kościół ze żłóbkiem na trawniku. Mrużę oczy; w żłóbku brakuje Jezusa. Ktoś ukradł Jezusa.

- Pamiętasz, jak kiedyś jechaliśmy - mówi ojciec - i zakonnica przeszła nam tuż przed maską?

- Tak.

- Co wtedy powiedziałem?

- Nie pamiętam.

- Naprawdę? - dziwi się ojciec. - Przecież to było kapitalne.

- A co to powiedziałeś? - pytam.

- Pilnuj się, sestro!



Śmieję się i przewracam oczami, potem je zamykam i usiłuję zasnąć. Ojciec przycisza muzykę, mimo że z radia leci *Blue Suede Shoes*, jedna z jego trzech ulubionych piosenek.

Wchodzę do pokoju Freddie, siedzi oparta plecami o ogromnego wypchanego misia, którego ojciec wygrał dla niej w Circus Circus w Reno, kiedy byliśmy małe. Spogląda na mnie znad książki.

- Ostatnio zaczytuję się Jane Austen, wszystkim, co napisała - mówi.

Czasami robi takie rzeczy, wpada w takie spazmy.

- Stwierdziłam, że powinnam żyć w tamtych czasach - mówi. - Czy wiesz, że u Jane Austen nie ma żadnego seksu? Ważniejsze jest szukanie mężczyzny z majątkiem. To właśnie powinnam robić.

- Może „mężczyzna z majątkiem” to jakiś kod - zauważam.

A potem czuję się okropnie, że zdarza mi się napomykać o seksie w rozmowach z nią. Jestem odpowiedzialna za wszystko, co się stało - to ja zachęciłam ją, by złożyła podanie o stypendium w Oksfordzie. To ja jej poradziłam, żeby studiowała Freuda. Powinnam ją chronić w taki sposób, w jaki to robiłam, gdy byliśmy młodsze. Okłamywałam ją na temat tego, gdzie jest nasz ojciec; ratowałam ją od zenujących włóczkowych kamizelek i bluzek z krawatami, w które chciała ją ubierać matka. Kiedy spadła z równoważni, trzymałam woreczek z lodem przy jej głowie, gdy spała.

Kiedy przestałam ją chronić, wyścielać jej świat białymi kłamstwami i znośnymi ciuchami? Powinnam wybudować dla niej jakieś arboretum, żeby mogła w nim mieszkać wśród rzadkich drzew i kwiatów z całego świata. Tabliczki zachwalałyby kraje ich pochodzenia: Indie, Kostarykę, Botswanę.

Któregoś popołudnia matka przychodzi do domu z siedemdziesięcioma dwoma parami okularów przeciwsłonecznych.

- To na misję - wyjaśnia.

Co roku wyjeżdża z misją humanitarną na Filipiny, razem z lekarzami i pielęgniarkami z jej szpitala. Przymierzam okulary.

- To Ray Bany?

- Słońce tam strasznie oślepia, bo to tak blisko równika, a ludzie żyją w wielkiej nędzy. Wielu choruje na oczy. Pomagam w ten sposób w zapobieganiu zaćmom.

Wkładam okulary.

- Jak wyglądam? - pytam.

Podnosi wzrok znad kartonowego pudła, do którego właśnie je pakuje.

- Nie najlepiej - mówi. Pyta, czy chcę pojechać z nią na tę misję.

Przypominam jej, że studiuję. Kiedy dorastałam, nie wolno mi było opuścić ani jednego dnia szkoły - nawet gdy miałam ospę. Twierdziła, że to byłaby strata pieniędzy. „Mam przecież stypendium”, mówiłam, bez skutku.

Teraz wzrusza ramionami.

- Szkoła nie zajac.

Nie mam pojęcia, co ją opętało.

- Mogłabyś mi pomóc - mówi teraz.

Zdejmuje mi z twarzy Ray Bany i pakuje je do pudła.

- Zrób coś w swoim życiu - mówi.

- Chcesz chyba powiedzieć ze swoim życiem - ja jej na to.

Matka wpatruje się we mnie, jej niebieskie oczy wydają się ciemne.

Mówi po włosku coś, czego nie rozumiem - chyba przeklina. Nigdy nas nie nauczyła przeklinać w swoim ojczystym języku.

Zamyka wieko. Rolka taśmy klejącej wydaje świszczący dźwięk, kiedy odrywa z niej długi kawał. Używając zębów - a więc robi coś, czego nam zawsze zabraniała - urywa taśmę od rolki i zakleja pudło.

TLR

# Część trzecia

## NIEWIDOMA MATKA NA OŚLEP SZUKAJĄCA DZIECKA

Mam trzy dni, żeby się przygotować. Wszyscy wolontariusze biorący udział w misji zostali poproszeni o zbieranie datków - pluszowych zwierzaków i tyłu okularów przeciwsłonecznych, ile się tylko da - które zawieziemy dzieciom na Filipinach. Zaczynam od Millerów.

Mieszkają dwa domy dalej, mają troje dzieci. Tydzień temu ktoś zadzwonił do naszych drzwi. Kiedy je otworzyłam, na wycieraczkę stały dwie najmłodsze dziewczynki. Jedna trzymała skakankę, druga paczuszkę z papierowymi elementami do origami.

- Czy twój tato wyjdzie, żeby się z nami pobawić? - spytała ta mniejsza.

- Nie ma go - odparłam. - Jest w pracy.

Jedna wbiła wzrok w wycieraczkę, druga zadarła głowę. Akurat przelatywał nad nami samolot. I zaraz sobie poszły. Mój ojciec, który stracił kilka lat z dzieciństwa Freddie, jest teraz najukochańszym sąsiadem tych dziewczynek.

Pukam do drzwi, słyszę tupot nóg zbiegających ze schodów.

- Cześć - mówi Tatiana, najmłodsza Millerówna. Włosy ma zaplecione w trzy warkoczyki, każdy jest związany gumką ozdobioną morskim stworzeniem: krab, ryba i wieloryb.

Zdejmuje łańcuch z drzwi, wpuszcza mnie do środka. Jej starszemu bratu, Pete'owi, łamie się głos:

- Kto przyszedł?

- Jedna z tych sióstr, które mają blizny - mówi Becca, ta środkowa. Pociąga mnie za rękę, więc się pochylam; ogląda moje czoło. - Gdzie ją masz? - pyta.

- Trochę zbladła - wyjaśniam.

- Twoja siostra ma jeszcze swoją?

- Tak - mówię. - Jej blizna to znamię.

Pete odwraca się do mnie tyłem, w stronę gry wideo. Wyjaśniam im, że wybieram się na misję.

- Ja pisałam sprawozdanie z tej w San Wan Capistrani - mówi Tatiana.

- San Juan Capistrano - poprawia ją Peter.

- Zamknij się - odcina się mała.

Tłumaczę jej, że to inna misja. Pytam, czy chcą ofiarować jakieś pluszowe zwierzaki dzieciom na Filipinach. Tłumaczę, że to biedne dzieci.

- Nie ma mowy - oświadcza Becca.

- Zapomnij - mówi Tatiana. - Niech sobie same kupują pluszowe zwierzaki.

- A może tak dasz im własne? - proponuje Becca, celując we mnie palcem.

Czekam, aż bębnienie na pianinie ucichnie, a potem pukam do drzwi pani Alarid. Cztery lata temu dostała wylewu, teraz połowę twarzy ma nieruchomą. Otwiera drzwi.

- Witaj - mówi i uśmiecha się lewą częścią twarzy. Mówię jej o misji.

- Twoja matka jest naprawdę wspaniała - zachwyca się.

Pytam, czy ma jakichś uczniów, którzy zechcieliby ofiarować pluszowe zwierzaki. Obiecuję, że popyta.

Dziękuję jej, a ona kiwa głową i zamyka drzwi. Ma kołatkę w kształcie ćwierćdolarówki.

Dzwoni telefon: Nicholas. Udaję, że ja to Freddie.

- El nie ma w domu - mówię.

- Proszę, przekaż jej, że dzwoniłem. Powiedz, że to ważne.

Najpierw jestem zadowolona, a potem przerażona, że on nie rozpoznaje mojego głosu. Przecież chodziliśmy z sobą przez cały college, z wyjątkiem jednego roku.

W przeddzień wyjazdu matka i ja pakujemy się. Pluszowe zwierzaki, okulary przeciwsłoneczne i materiały opatrunkowe zostaną odprawione jako bagaż. Wszystko, co zabieram dla siebie, musi się zmieścić do niewielkiego plecaka.

Piszę e-mail do Sary, że wyjeżdżam. Dzwonię do współmieszkanki w Nowym Jorku i nagrywam się na sekretarkę, że wracam tydzień później, niż planowałam. „Lecę na Filipiny”, mówię i rozłączam się. Czuję, że moje serce, palce, głowa pulsują energią. Czuję, że mogłabym zbudować statek kosmiczny na strychu, że potrafiłabym wychować dziecko w jeden dzień. A potem zasypiam.

Freddie i ojciec zawożą nas na lotnisko. Po drodze matka pyta mnie cztery razy, czy mam paszport.

- Przestań ją dręczyć - mówi Freddie. - Jesteś pewna, że swój zabrałaś?

Wracamy po paszport matki.

Na lotnisku spotykamy się ze stu pięćdziesięcioma dwoma lekarzami, pielęgniarkami, technikami i członkami obsługi szpitala. Jestem jedyną wolontariuszką, która nie ma wykształcenia medycznego. Razem z matką jesteśmy jedyne, które nie pochodzą z Filipin. Nadaję na bagaż torbę pełną pluszowych zwierzaków, z których większość kupiłam sama, oraz walizkę pełną leków i strzykawek, którą wręczył mi jeden z lekarzy.

Pierwszy etap podróży to lot z San Francisco do Honolulu. Matka i ja siedzimy obok siebie w środkowym rzędzie, blisko tylnej części samolotu. Czuję od matki naturalną woń jej skóry, przypominającą ogórki. Nosi koszulkę z wizerunkiem krowy na nartach.

Pytam, skąd ją ma.

- Twoja siostra mi ją dała.

Wydyma pierś i przygląda się krowie. Kiedyś po kryjomu ubrałam jej biustonosz, bo wstydziałam się powiedzieć, że już go potrzebuję. Miałam wtedy dwanaście lat i byłam bardziej pucołowata niż teraz; większość dziecięcego tłuszczu weszła mi w piersi. Matka nosiła biustonosze z wkładkami, ale ja o tym nie wiedziałam. Myślałam, że wszystkie muszą mieć poduszeczki na sutki. Jak teraz o tym myślę, kiedy wyobrażam sobie siebie w tym wieku, noszącą wyściełane biustonosze, czubki moich uszu robią się gorące i wgryzam się we wnętrza swoich policzków.

- Jest taka idiotyczna - stwierdzam.

- To lepiej się do niej przyzwyczaj. To jedyny T-shirt, jaki zabrałam.

Wyciąga z torby skarpetki, które zapakowała specjalnie na podróż - jedna para jest w samoloty, druga w banany. Proponuje mi jedne. Wybieram te z samolotami i wkładam je na lewą stronę.

- Ellis! - zżyma się matka.

To był jej pomysł, żeby nazywać mnie Ellis. Zawsze uważała, że kiedy dotrze do Stanów, wylądować najpierw na wyspie Ellis; chciała posłać całusa Statui Wolności. Ale po śmierci rodziców, kiedy skończyła szkołę pielęgniarstwa, wylądowała najpierw w Honolulu, potem w San Francisco. W Nowym Jorku była tylko jeden raz, kiedy odwiedziła mnie w drugim tygodniu po mojej przeprowadzce.

Proponuje mi balsam, który zapakowała do plastikowej torebki, na wypadek gdyby przeciekał. Wyciska mi na rękę za dużą ilość. Chłodzi i ładnie pachnie.

Kiedy matka wstaje, by iść do toalety, przyglądam się jej zdumiewająco wąskiej talii. Ojciec powiedział mi kiedyś, że był w stanie objąć ją samymi dłońmi. „W tańcu”, dodał.

Przerzucam gazetkę pokładową - nie dają żadnych filmów, które miałabym ochotę obejrzeć. Odkładam ją. W kieszeni siedzenia przede mną znajduje się ponadto czerwona szczotka do włosów, papierowa torebka z napisem „Luwr” oraz karta pokładowa jakiejś Helen C. Morano, która wczoraj leciała z Paryża do Honolulu i z Honolulu do San Francisco. Otwieram papierową torebkę i znajduję w niej pocztówki ze sklepu pamiątkarskiego w Luwrze. Jedna z pocztówek przedstawia *Tratwę Meduzy Géricaulta*, druga *Wolność wiodąca lud na barykady Delacroix*.

Przyglądam się najpierw *Wolności wiodącej lud na barykady*, na której bosa kobieta w sukni odsłaniającej piersi niesie w uniesionej prawej ręce trójkolorowy sztandar. W lewym ręku trzyma długi karabin, który kształtem przypomina błyskawicę, natomiast otaczający ją mężczyźni mają pistolety. Z kłębow dymu wznoszą się wieże Notre Dame. Próbuję sobie przypomnieć, jaką to bitwę przedstawił Delacroix. I przypomina mi się, że namalował coś, co się nigdy nie wydarzyło. Że to alegoria rewolucji. Wolność niesie sztandar przez ulice Paryża, maszerując po trupach i umierających ludziach z obu stron konfliktu, cywilach i żołnierzach.

Odwracam kartkę i widzę, że Helen C. Morano napisała list i nie wysłała go:

„Pamiętasz ten obraz? Podczas tej wycieczki siedziałam przed nim godzinami, miałam nadzieję, że może się pojawić. T. pewnie ci powiedziała, że kilka tygodni temu wpadłam na nią w San Franci-

sco. Byłam nadzwyczaj miła i grzeczna. I nienawidziłam tego, że jestem dla niej taka miła i grzeczna. Nienawidziłam tego. Nienawidziłam ciebie. Zrobiłam to, bo cię kocham".

Przyglądam się pocztówce z *Tratwą Meduzy*. Obraz przedstawia rozbitków z francuskiego statku *Meduza*, który rozbił się podczas burzy u wybrzeży Afryki, na początku dziewiętnastego wieku. Rozbitkowie siedzą jeden na drugim, na tratwie skonstruowanej z belek z tonącego statku. U szczytu tej piramidy ciał, już martwych albo z desperacją walczących o życie, jakiś Algierczyk macha gwałtownie jakąś szmatą. W oddali ledwie widać maszty statku ratowniczego.

To dziwne: wydawało mi się, że to kobieta macha tą szmatą, by wezwać pomoc. Pochyliłam się gwałtownie do przodu. Przez chwilę mdli mnie, jakbym sama była na tratwie. Ale potem słyszę głos pilota: „Szanowni państwo, czujecie zapewne, że wpadliśmy w lekkie turbulencje. Poproszę państwa o powrót na miejsca i zapięcie pasów...”

Obracam *Tratwę Meduzy*, ale na odwrocie nic nie ma, nikt tam nic nie napisał.

Matka nie wraca całą wieczność. Minęło może piętnaście minut, odkąd pilot wystąpił ze swoim apelem. Kiedy napis mówiący o zapięciu pasów gaśnie, idę na tył samolotu, by sprawdzić, co się stało. Może się zatrzasnęła w toalecie albo wręcz zasłabła. Może podczas turbulencji uderzyła głową o jakąś szafkę.

A tymczasem znajduję ją pogrążoną w rozmowie z trzema stewardesami. Bada znamię na szyi jednej z nich. Ze znamienia wyrastają trzy włoski.

- To nic takiego - pociesza tamtą moja matka.

Przypomina mi się jej nieudana próba dostania pracy w Alitalii.

Matka przedstawia mnie stewardesom. Mówią mi, jaką cudowną mam matkę, jaka ja jestem szczęśliwa, że jesteśmy takie do siebie podobne (co nie jest prawdą). Matka zapisuje jednej z nich nazwę jakiegoś leku na wysypkę, opowiada drugiej o specjalnych pończochach, dzięki którym nie będą jej puchły nogi. Do tej ze znamieniem mówi:

- Niech pani pamięta, mężczyźni są jak pociągi. Za jednym zawsze pojawia się jakiś następny.

Stewardesy ofiarowują jej butelkę szampana. Owijają go w białą płócienną serwetę, na której podaje się posiłki w pierwszej klasie.

W Honolulu przesiadamy się na inny samolot i matka, ponieważ mieszkała tu kiedyś, korzysta teraz z płatnego automatu, żeby podzwonić do dawnych znajomych.

Wraca tam, gdzie na nią czekam. Jestem zajęta studiowaniem wykresu badania opinii społecznej w porzuconym „USA Today”.

- Do kogo się dodzwoniłaś? - pytam.

- Do Lorelei.

- Do tej wariatki?

- Kto powiedział, że to wariatka? - pyta mnie matka.



- Ty.

Wzdycha.

- Właściwie to nie wiem, czy była wariatką, ale lubiła szperać w moich śmieciach i czytała moje listy.

W następnym samolocie mam miejsce przy oknie. Głos pilota jest zbyt głośny. Wita serdecznie wszystkich pasażerów, którzy lecą z misją medyczną. Ktoś klaszcze. Matka czyta artykuł w gazecie pokładowej.

- To niesłychane - mówi.

Patrzę na miejsce, które pokazuje mi palcem. To artykuł o jakimś dyplomacie i matce nie spodobało się użyte w nim wyrażenie „kształcił się w Europie”.

- Ja też zacznę wszystkim opowiadać, że wykształciłam się w Europie - stwierdza.

- Powinnaś - godzę się z nią. Uczęszczała do podstawówki urządzonej w stodole sąsiada, gdzie dzieci z wszystkich grup wiekowych uczyły się w jednej izbie.

- Ażebyś wiedziała, zacznę tak mówić.

- Wiem.

Matka już ćwiczy. Przemawia do mnie z pretensjonalnym akcentem; w połączeniu z jej ciężkim włoskim akcentem, którego używa normalnie, brzmi to tak, jakby była upośledzona. Obraca się twarzą do mężczyzny, który śpi z jej drugiej strony, i oświadcza:

- Mam europejskie wykształcenie.

I wtedy znowu się to dzieje; wyobrażam sobie matkę w parku zamiast mnie; słyszę ją, jak rozmawia z tym mężczyzną. Krytykuje jego negatywne podejście do życia, podczas gdy są przecież tacy, którym powodzi się o wiele gorzej. Uczy go, jak się wiąże sznurowadła bez tych podwójnych kokardek. Opowiada mu o Neapolu, o tym, że ona i jej brat są jedynymi żyjącymi członkami pięcioosobowej rodziny.

Czuję ulgę, jestem niemalże wdzięczna, że to właśnie ja byłam w parku - nie moja matka, nie Freddie. Czy wyszłyby z tego żywe? Czuję się obrzydliwie, że mam takie myśli.

Opuszczam roletę i zasypiam. Kiedy się budzę, jest piątek - straciliśmy czwartek i jesteśmy w Manili.

Szósta rano i już jest upał. Włosy mi się skręcają od tej wilgoci. Mam wrażenie, że moja skóra jest jak wnętrze skórki od banana. Manila niewiele się różni od Hawajów, tyle że jest tu smog i tabuny samochodów.

Czekają na nas trzy autobusy. Siadamy z matką obok siebie. Oferuję jej miejsce przy oknie i ona się godzi. Kiedy to się stało? Kiedy przestała się upierać, że to ja mam siadać przy oknie, że to ja mam zjadać ostatnią cząstkę pomarańczy, brać pieniądze z jej portfela na pędzle i płótna, nawet jeśli to

oznaczało, że musiała rezygnować z pójścia do fryzjera? Może ta zmiana zachodzi właśnie teraz, może zaszła w chwili, gdy wysiadliśmy z samolotu.

Z Manili ciężko się wydostać. Jezdnie nie są przedzielone pasami i każdy chce być pierwszy. Jedziemy na północ, w stronę miasteczka, które nazywa się Santa Barbara. Uprzedzono mnie, że jazda potrwa pięć godzin.

Kiedy wreszcie wyjeżdżamy z miasta, wszędzie, po naszej lewej i prawej stronie ciągną się pola ryżowe. Pracujący na nich mężczyźni, kobiety i dzieci osłaniają się od słońca kapeluszami, które rzucają wielkie, eliptyczne cienie. Kobiety noszą szerokie białe szarawary ściągnięte gumkami w kostkach. Zauważam dziewczynę z długimi warkoczami, która robi przewrót w powietrzu, potem jeszcze jeden i następny, całą serię. Zatrzymuje się, stoi przez chwilę nieruchomo, po czym pada jak długa na ziemię. Wzdłuż drogi stoją stoiska z owocami, sprzedają na nich arbuzy i mango. Z początku wydaje mi się, że to żadne z owoców, które znam, bo kolory tutaj są bardziej żywe, jak na obrazach Gauguina. Arbuzy nie są podługowate, tylko okrągłe.

Skrećmy w lewo i wjeżdżamy na szosę biegnącą wzdłuż wybrzeża. Przez okno widzę z jednej strony strome góry, po stronie mojej matki Morze Południowochińskie. Ta różnica wywołuje zawrót głowy. W okolicach małych miasteczek, na pokrytych pyłem drogach, mijają nas autobusy nazywane tutaj dżipnejami. Dżipneje zostały skonstruowane na podobieństwo starych amerykańskich dżipów wojskowych, ale są dłuższe. Dwa rzędy siedzeń naprzeciwko siebie, siedzący na nich pasażerowie z daleka wyglądają jak figurki z gry w piłkarzyki.

- Gdzie są przystanki? - pytam doktora Cruza. To on kieruje misją i już go lubię. Wychował się na Filipinach, studiował okulistykę na UCLA i co roku wraca do swojego kraju, czasami nawet dwa razy, by wykonać jak najwięcej darmowych operacji. Razem z żoną organizują zbiórki pieniędzy na leki i środki opatrunkowe.

- Tu nie ma żadnych przystanków - wyjaśnia - bo autobus w ogóle się nie zatrzymuje. Jedź tak wolno, że można wsiadać i wysiadać, gdzie się chce.

Na masce każdego dżipneja stoją cztery figurki koni, tak ustawione, jakby to był zaprzęg do ciągnięcia karocy.

Kiedy wysiadamy w Santa Barbara, podchodzą do mnie dwie dziewczynki z kucykami, w szkolnych mundurkach - czerwone bawełniane blezery do białych bluzek.

- *Magandang hapon* - mówią śpiewnie. Pokazują palcami moją twarz. Jedna pyta: - Mogę mieć? Nie wiem, o co ona prosi - nie noszę biżuterii. Przez sekundę wydaje mi się, że jej chodzi o kolor mojej skóry. Od Manili nie widziałam żadnych białych twarzy.

- Dać mi to - mówi druga, chichocząc. Pokazuje moje okulary przeciwsłoneczne.

- Nie - odpowiadam. - Nie teraz. - Uśmiecham się i kręcę głową.

- Mogę mieć? - powtarza ta pierwsza.

Obiecuję im, że dostaną okulary, kiedy będę wyjeżdżała. A w każdym razie próbuję im to powiedzieć.

- Za tydzień. - Podnoszę w górę palce i odliczam siedem dni.

Zatrzymujemy się w starym szpitalu, który z zewnątrz wygląda jak dawno temu opuszczona, waląca się podstawówka. Na drugim piętrze urządzono pokoje mieszkalne dla nas: lekarzy, pielęgniarek i mnie. Razem z matką zaklepujemy sobie łóżka. Rozkładam moją połówkę, jakbym otwierała opasłą encyklopedię, naciągam przygotowane dla mnie sztywne, pasiaste prześcieradła. Na rogach zauważam ślady, które zostawiły tam klamerki, kiedy wywieszono je do wyschnięcia.

W naszym pokoju urządzają sobie posłania jeszcze trzej mężczyźni. Patrzę na matkę, czy zauważyła, że pokoje są koedukacyjne. Zauważyła i rozmawia teraz z tymi mężczyznami, jeden jest lekarzem, drugi pielęgniarzem. Mówię sobie, że dla mnie tak jest dobrze, że to wszystko jest dla mnie dobre.

Na końcu naszego piętra znajdują się dwie łazienki: jedna dla mężczyzn, druga dla kobiet. Od ręczne napisy na drzwiach głoszą: „Nie splukuj, jeśli nie musisz” i „Wszystkie papiery wyrzucaj do śmieci”. Obok sedesu stoi kosz.

Matka i ja wychodzimy na spacer po mieście. Mija nas dżipnej i jadące nim dzieci machają do nas, ich dłonie kołyszą się takimi ruchami, jakby ścierały parę z okna. Mijamy rowerową taksówkę - czyli po prostu rower z silniczkiem, do którego z boku przymocowany jest powóz. Przez chwilę wygląda to tak, jakby rower i powóz się ścięły. Taksówką kieruje mężczyzna w czapeczce baseballowej z literą „M”. W powozie siedzą trzy kobiety, dwie siedzą przodem do kierunku jazdy, trzecia jest odwrócona tyłem.

Przechodzimy obok salonu firmowego Kodaka. W salonie stoi sześć kobiet, ramię w ramię, pod żółtymi strzałkami, które reklamują „Wyprzedaż stulecia Kodaka”. Nie wyobrażam sobie, by mogły mieć więcej niż jednego klienta dziennie. Matka kupuje rolkę filmu i wsadza ją do aparatu. Wszystkie te kobiety są piękne, mają mniej niż dwadzieścia pięć lat, ciemne, jedwabiste włosy i skórę, która musi być bardzo miękka w dotyku. Na szyjach noszą złote naszyjniki z małymi wisiorami. Jedna z nich jest ubrana w koszulkę z napisem „USA”, na koszulce innej różową kursywą wypisano: „Zadzwoń do mnie”.

Matka ustawia aparat w stronę sześciu kobiet.

- Ser - mówi, a ja uśmiecham się zachęcająco, by zrozumiały, czego od nich chce. Już do końca dnia nie potrafię zetrzeć tego szerokiego uśmiechu z twarzy.

Docieramy do plaży, na której piasek jest biały jak kość. Siadam na nim, zaczynam się tarzać. Matka się śmieje. Zdejmujemy buty. Roluję nogawki spodni aż po uda i wchodzę do ciepłej wody. Matka podwija swoje spodnie barwy khaki, po trzy cale za jednym zamachem, aż robią się z nich bufiaste szorty. Po jej nogach niczym węże pełzają grube niebieskie żyłki. Niemalże o nich zapomniam.

łam, więc przeżywam szok, kiedy tak nagle je widzę. Stały się bardziej wypukłe; nie pasują do jej młodej twarzy.

- Mamo - mówię, podchodzę blisko, pochylam się i gładzę je palcem. Są jak korzenie starych drzew wystające z gleby.

- Dostałam ich od tego ciągłego chodzenia do pracy - tłumaczy. - Chodziłam nawet wtedy, kiedy byłam w dziewiątym miesiącu z tobą.

W taki właśnie sposób się przechwała.

Kiedy wracamy pylistą dróżką do szpitala, zauważamy idącą za nami kobietę. Pokazuje palcem okulary przeciwsłoneczne mojej mamy, które są różowe, bez żadnego uzasadnienia.

- Daj mi je - mówi kobieta. Matka oferuje jej jabłko.

Tej nocy miejscowi bogacze, senator i jego synowie, urządzają kolację dla Amerykanów. Ma to być tak zwana „uczta krabowa”. Zaproszono też ludzi z miejscowego kościoła. Zakonnice noszą ciężkie, niebieskie habity i wielkie srebrne krzyże na długich łańcuchach; ksiądz ma na sobie hawajską koszulę.

- Lubi pani kraby? - pyta ksiądz moją matkę.

- Krab to moje drugie imię - odpowiada. Nauczyła się tego wyrażenia od ojca. Dla niego wszystko to jego drugie imię.

Ma to być przyjęcie „tubylcze”, obiecuje nam senator. Nosi białe buty. Wszyscy, których tu spotykam, noszą japonki. Stół, przy którym siedzimy, jest nakryty liśćmi bananowca. Przesuwam krabę, którym mnie poczęstowano, w tę stronę stołu, gdzie siedzi moja matka.

Siedzący naprzeciwko mnie synowie senatora wertują segregator z piosenkami do karaoke. Ten starszy wskazuje palcem mój deser ryżowy i wyjaśnia, że to się nazywa *puto*.

- Nie mylić z *puta*, które oznacza prostytutkę - popisuje się swoją lingwistyczną erudycją.

- Interesujące - mówię. Drapię paznokciem po liściu bananowca, próbując wyryć w nim wzorek.

Chłopak uśmiecha się. Nie może mieć więcej jak dwadzieścia trzy lata.

Młodszy syn zaprasza kolejno, najpierw moją matkę, potem mnie na walki kogutów.

- Będę robił za was zakłady - obiecuje. Ubiega się o urząd w sąsiednim miasteczku.

Po kolacji organizują karaoke. Kilka pielęgniarek wykonuje *Dancing Queen*, a synowie senatora *Beast of Burden*. Ksiądz urządza popis śpiewaczy z *Jailhouse Rock*. Jeden z lekarzy życzy sobie *Love me Tender*. Jedną ręką trzyma mikrofon, drugą z właściwą znajomością anatomii przykładą do serca.

- To kardiolog - informuje mnie szeptem matka. Pod koniec wieczoru mama obejmuje księdza na dobranoc, wywołując tym jego wyraźne zażenowanie.

- Mnie tak nie wolno - mówi. - Tutaj księża się nie obejmują. Tutaj obejmowanie się nie jest drugim imieniem księdza.

Nie mogę zasnąć. Nie jestem przyzwyczajona do spania w jednym pokoju z tyloma ludźmi, z mężczyznami, których nie znam. Skupiam się na oddechu leżącej obok mnie pielęgniarki, ale ta oddycha nierówno. Lekarz, którego nazwiska nie pamiętam, chrapie. Mama leży na pościeli na lewo ode mnie. Staram się zharmonizować mój oddech z jej oddechem, ale z kolei ona oddycha zbyt wolno. W pokoju pracują dwa wentylatory. Jeden stoi na podłodze, drugi wiruje u sufitu nad moim łóżkiem. Wpatruję się w niego bardzo długo; w końcu zaczyna mi się wydawać, że wpadam twarzą między jego łopatki.

Rankiem budzą mnie głosy dobiegające z dołu. Do pokoju wlewa się pulsujące światło słońca - w barwach tych arbuzów i mango, które widziałyśmy na straganach przy drodze. Inni w pokoju jeszcze śpią. Podchodzę do okna i wyglądam na plac przed szpitalem. Zeszłej nocy było na nim pusto, więc nie jestem przygotowana na ten widok. Na ulicy i na trawniku stoi albo siedzi ze trzy tysiące Filipińczyków. Niektórzy obozują pod czerwono-białymi parasolami z napisem „Coca-cola to jest to!” Cały czas, kiedy wyglądam na plac, podjeżdżają kolejne autobusy. Kierowcy trąbią, starając się przedrzeć przez tłum. Wieść się rozeszła.

Nastoletni chłopiec na trawie zauważa mnie w oknie i pokazuje palcem. Inni zaczynają krzyczeć, starając się skierować moją uwagę na ich rodziców, dzieci, siebie samych. Odchodzę od okna.

Jeszcze nawet nie ma szóstej. Lekarze, pielęgniarki i miejscowi wolontariusze budzą się; siadamy dookoła owalnego stołu, na którego środku stoi obrotowa taca. Śniadanie składa się z suszonej ryby i świeżych owoców mango. Suszona ryba jest szara. Gładzę palcami jej fakturę, przypominającą suszoną wołowinę. Podano nam także jaja, pofarbowane na różowo i niebiesko, jakby to była Wielkanoc. Te niebieskie to jaja kaczki. Przyglądam się, jak niektórzy lekarze i pielęgniarki rozpoławiają te niebieskie, wypijają najpierw płynne białko, a potem wyjadają żółtą kulkę ze środka.

- To embrion - wyjaśnia mi jedna z pielęgniarek.

Obracam się w stronę doktora Cruza, zagajam o tym, co zobaczyłam za oknem. Że zgromadziło się tam więcej ludzi, niż widywałam na koncertach czy meczu baseballu.

Mówi mi, że kiedy tu dorastał, w ogóle nie widywał biedaków. Pytam, czy wychował się w bogatej społeczności.

- Nie - mówi. - Po prostu człowiek ich nie zauważał, byli jak piasek, jak słońce.

Widelcem wrzuca mi na talerz dodatkową porcję suszonej ryby.

Doktor Cruz otwiera drzwi szpitala o szóstej trzydzieści i policjanci w brunatnych mundurach, uzbrojeni w pałki, usiłują ustawić tych ludzi w kolejce. Przyszli pacjenci ściągają z wszystkich stron w porządku przywodzącym na myśl drzewa genealogiczne. Gdzieś z tyłu są ich wielkie masy, ale tu blisko rozgałęziają się, starając się przedrzeć do czworga drzwi szpitala. Lekarze i pielęgniarki rozstawiają parawany, za którymi będą przyjmować pacjentów, określać, co im dolega. Uczestnicy misji są podzieleni na osiem zespołów chirurgicznych: ginekologia; gastrologia; oparzenia; przepukliny; uszy,

nosy i gardła; okulistyka; chirurgia ogólna i ortopedia. Jest sobota, operacje mają się zacząć dopiero w poniedziałek.

Powiedziano mi, że codziennie, przez cały tydzień, mam rozdawać trochę zabawek albo trochę okularów tym, którzy czekają w kolejce do lekarza. Tak więc pierwsi pacjenci wchodzi za parawany, a ja wychodzę do tłumu z płócienną torbą pełną pluszowych zwierzaków na ramieniu, mocno przyciskając ją do piersi. Zauważam kobietę z dzieckiem i oferuję jej wypchanego zółwia. Chwyta jeszcze dwie zabawki: psa i słonia w garniturze.

- Ja mieć więcej dzieci - mówi.

Z tyłu jakaś matka obejmuje mnie ramieniem i zapuszcza rękę do torby. Odwracam się i w tym momencie, z drugiej strony, jakaś dziewczynka sięga po mojego osobistego ulubieńca, misia polarnego. Usiłuję go odebrać, ale wrywa go i ucieka. Chłopiec z długimi paznokciami chwyta psa z okłapłymi uszami. Próbuję dać mu innego, większego. Ale wyższy chłopiec, z jeżozwierzem na szyi, wrywa mi go z rąk. Niebawem moja torba jest pusta.

- Daj mi! - krzyczą dzieci i ich rodzice.

Ich słowa nieomal przeobrażają się w zbiorowy chór. Podnoszę torbę i wywracam ją do góry nogami, by zademonstrować, że zapasy się skończyły. Potrząsam nią energicznie.

Wracam do pokoju i wyjmuję pudło, do którego matka zapakowała blisko sto par okularów. Są owinięte w stare prześcieradło z niebieskiej satyny. Znam to prześcieradło. Kiedy leżało na łóżku moich rodziców, a rodzice wychodzili na noc, razem z Freddie wpełzałyśmy pod nie, pod jego gładki chłód, i oglądałyśmy ulubione seriale w telewizji. Okulary i wypchane zwierzaki miały starczyć na cały tydzień, ale na myśl o tym, że miałabym je tu trzymać, żeby je rozdawać innego dnia, czuję się jak tchórz. Albo jakbym coś ukrywała tylko dlatego, że mi wolno.

Szkła okularów, setki szkieł, wpatrują się we mnie, kiedy wynoszę wymoszczone prześcieradłem pudło na zewnątrz.

Przepycham się przez mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy myślą, że mam inne zabawki, i ustawiam pudło pośrodku tłumu. Odwracam się, by nie być świadkiem zamieszania wokół okularów. Minutę później, kiedy odwracam się z powrotem, nie ma już nawet prześcieradła ani pudła.

Wnętrze szpitala jest zaciemnione, ale i tak panuje w nim upał. Moja koszulka, tuż nad mostkiem, jest kompletnie mokra.

Pomagam układać leki. Piszę poszczególne litery alfabetu na kartkach i opieram te kartki na trzech długich stołach. Pielęgniarka, która ma na imię Viola, zaledwie trzydziestoletnia i najmłodsza w naszej grupie, jeśli nie liczyć mnie, pomaga mi wypakować wszystkie leki z pudeł. Stawiamy advil za kartonikiem z „A”, a vioxx za „V”.

- Jesteś mężatką? - pyta Viola. Ma czarne włosy, na końcach ufarbowane na niebiesko.

- Nie.



- Ja też - mówi Viola. - A w każdym razie już nie. Opowiada, że tuż przed wyjazdem na tę misję poprosiła męża, żeby się wyprowadził.

- Nie będzie go, kiedy wrócę - dodaje.

Waham się z pytaniem, czy zmieni zamki w drzwiach. Nie mam jednak czasu na decyzję, bo le-karka, którą moja matka nazywa „Jastrzębiem”, przywołuje mnie w jej imieniu. Jastrząb ma haczyko-waty nos i nosi broszę z trzema małpami. To są małpy „nie słyszę, nie widzę, nie mówię”.

Prosi mnie, żebym przedarła się przez tłum tarasujący drzwi i przyjrzała się butom i klatkom piersiowym tych, którzy stoją w kolejce. Mam sprawdzić, czy ludzie poszukujący darmowej pomocy rzeczywiście są w potrzebie. Tutaj biustonosze i buty ze skóry to widome dowody zamożności. Za-uważam jedną kobietę w czerwonej koszuli, która najwyraźniej nosi biustonosz, i pokazuję ją Jastrzę-biowi. Czuję się jak gliniarz z wydziału antynarkotykowego.

- Czy ona mimo to nie może pójść do lekarza? - pytam.

- Na każdą osobę, która uzyskuje pomoc lekarską, przypada jedna taka, która jej nie uzyska - wyjaśnia Jastrząb. - Musimy mieć pewność, że oni absolutnie nie są w stanie zapłacić za wizytę.

Pomagam w prowizorycznej aptece. Kiedy doktor Silang wykrzykuje nazwę danego leku, znaj-duję go. Advil jest często zapisywany na bóle głowy, z których większość jest spowodowana choro-bami zębów. Wielu ludzi nie ma w ogóle zębów. Jedno małżeństwo dostaje Prozac. Wielu pacjentów cierpi na przeziębienie. Niemal wszystkie dzieci dostają antybiotyki, na taką czy inną chorobę. Jedna kobieta przynosi swojego synka, który cierpi na schorzenie, które pielęgniarki nazywają „wodogło-wiem”. Ma bardzo wysokie czoło, na co najmniej sześć cali, oczy ma w połowie przymknięte. Dla nie-go nic nie da się zrobić.

- Umrze, zanim skończy dwanaście lat - mówi mi Viola.

Tego wieczoru zachód słońca jest jeszcze bardziej kolorowy niż wschód. Kilka kobiet z wioski rozpala ogień w kubłach na śmieci barwy cynamonu i gotuje ryby na kolację. Ja jem ryż i owoce.

W niedzielny poranek przed szpitalem nikogo nie ma. Poszli na mszę. Matka i ja idziemy do kościoła, przed wejściem do środka płacimy bezzębnej staruszce pięćdziesiąt peso za wachlarz. Ławki są upakowane; siedemset wachlarzy odgania gorąco. Znajdujemy dwa miejsca na tyłach.

Kazanie wygłasza ten sam ksiądz, którego matka uściskała przez pomyłkę. Nie rozumiem ani słowa. W którymś momencie kobieta siedząca przed nami odwraca się, żeby coś do mnie powiedzieć, ale kieruje wzrok najpierw w lewo, potem w prawo. Uśmiecham się i kręcę głową, by zasygnalizować, że nic nie rozumiem. Dopiero gdy obraca się z powrotem, błędnie myśląc, że za nią nikogo nie ma, dociera do mnie, że jest niewidoma.

Kobieta jest pod trzydziestkę, ma piękne długie włosy. Jest ubrana w kwiciastą suknię z krót-kimi rękawami, która zapina się na długi rząd guziczków na plecach. Jej cera sprawia wrażenie nieska-

zitelnie zdrowej i równomiernie wilgotnej, tak jak wyglądają owoce na reklamach w czasopismach. Obok niej siedzą jej trzy córeczki.

W pewnym momencie jedna z dziewczynek, ta, która siedzi najdalej, wstaje i wychodzi. Matka wygląda na przestraszona, obraca głowę we wszystkich kierunkach, niczym światło latarni. Nic nie widzi. Mówi coś do tych córek, które ciągle siedzą przy niej; ledwie powstrzymują się od śmiechu. Kiedy sięga ręką w stronę miejsca, gdzie siedziała dziewczynka, jedna z pozostałych dwóch przysuwa się i matka dotyka jej włosów. Kobieta obmacuje wstążkę, czuje różnicę, rozumie, że ją oszukano, i znowu się denerwuje.

Razem z matką obserwujemy całą tę scenę. Oczy kobiety zwracają się w moim kierunku; są intensywnie puste. Nie ma wachlarza, ale widać, że jest jej gorąco, więc podaję jej mój.

- *Maraming salamat* - mówi. Nie widzi, że ja i matka jesteśmy jedynymi cudzoziemkami w całym kościele. Wachluje się tak zapamiętale, że nie słyszę nic prócz odgłosu jej gwałtownych ruchów - łopoczące skrzydła zmęczonego, rannego ptaka.

Odwracam się i widzę jej córeczkę, stoi pod łukiem wieńczącym wejście do kościoła. Ma pięć lat i jest ubrana w przydługą sukienkę oraz białe półbuty, zniszczone i za duże. Trącam matkę, która też zauważa dziewczynkę. Wychodzi z ławki i podchodzi do małej. Lekki szal matki zsuwa się jej z ramion, kiedy pochyla się, i wiem, że chwali buciki dziewczynki. Zawsze to robi: chwali dziecięce buty. Kiedyś mi powiedziała, że buty to jedyna rzecz, z której dzieci są dumne.

Dziewczynka uśmiecha się i patrzy na swoje buciki. Dotyka ich, a potem włosów mojej matki; to są jedyne włosy koloru blond, jakie można tu zauważyć - ja mam włosy wciąż ufarbowane na ciemno. Matka ujmuje dziewczynkę za rękę i prowadzi ją z powrotem do ławki. Niewidoma matka przez minutę krzyczy na córkę, a potem z całej siły tuli ją do siebie. I w końcu daje jej wachlarz do zabawy.

Po kościele wszyscy śpieszą pod szpital. Biegną obok mojej matki i mnie, wzniesając tumany piachu i kurzu. Zatrzymuje się rowerowa taksówka, oferując, że nas podwiezie. Odmawiamy. Mijamy po drodze chałupy, przed którymi mężczyźni trzymają w rękach koguty za szyje, starając się wzmocnić ich kończyny do walk.

W poniedziałek zaczynają się operacje.

Grupa, do której mnie przypisano, specjalizuje się w zaćmach. Będę pracowała z doktorem Cruzem, moją matką i Violą. Wkładam niebieskie ubranie chirurgiczne i przewiążuję się w talii plecionym paskiem. Pasek mojej matki jest granatowy, Violi biały, a doktora Cruza zielony. Zastanawiam się, czy to coś znaczy. Może z tym kolorem pasków do ubrań chirurgicznych jest tak jak z kolorami pasów karate. Zwierzam się matce ze swojej teorii.

- Te kolory oznaczają różne rozmiary. Średni, duży i bardzo duży - mówi i kręci głową.

Przy śniadaniu (ryż, mango, suszona ryba, farbowane jaja) doktor Cruz wyjaśnił mi, na czym polega operacja zaćmy. Powiedział, że torebka soczewki oka przypomina plastikowy woreczek i że zaćma to ta galaretka w środku.

- Zabieg polega na usunięciu tej galaretki - dodał. - Przy bardzo zaawansowanej zaćmie bardziej przypomina to kamień niż galaretkę.

Potem pokazał mi, jak się je takie niebieskie jajo. Odłamałam czubek i wypiąłam płyn. Popiłam kawą, starając się nie krzywić.

Pacjenci, których wybrano do operacji tego dnia, siedzą wysoko na szpitalnych łóżkach ustawionych na korytarzach, w otoczeniu członków swoich rodzin, którzy wyglądają jak zwiędłe płatki dookoła wazonu. Moja rola polega na zdejmowaniu butów pacjentom, jeśli je mają, i nakładaniu niebieskich ochraniaczy na ich stopy.

Sama też noszę takie ochraniacze na tenisówkach. Na głowie mam cienki, niebieski czepek, a na ustach maskę. Jest zawiązana podwójnie z tyłu głowy, co przypomina mi jedną bluzkę bez pleców Sary.

Pierwszą pacjentką jest sześćdziesięcioletnia kobieta. Jej angielski jest znośny; mówi też nieokreślonym dialektem filipińskim. Pomagam jej wsunąć cienkie, porośnięte obwisłą skórą ręce do fartucha chirurgicznego. Na korytarzu pojawia się moja matka.

- Możemy zaczynać - mówi.

Viola i ja zawozimy pacjentkę na salę operacyjną, lekarze przenoszą ją na stół.

- To pierwsza operacja - mówi doktor Cruz - więc może tylko obserwuj.

Dwaj inni lekarze wykonują operacje zaćmy przy dwóch pozostałych stołach w tym samym pomieszczeniu; jeszcze dwaj usuwają dwie inne zaćmy w sali po drugiej stronie korytarza. Staram się skupić na naszej pacjentce.

Doktor Cruz komentuje na mój użytek swoje kolejne czynności; zaczyna od wstrzyknięcia dwuprocentowego roztworu ksylokainy pod prawą gałkę oczną kobiety.

- To może szczytać - uprzedza pacjentkę moja matka. - To tylko po to, żeby znieczulić oczy.

Nie jest jasne, ile z tego rozumie kobieta. Viola aplikuje miejscowe znieczulenie wokół oka kobiety za pomocą wacika. Środek ma barwę błota.

- Proszę nie zamykać oczu - mówi doktor Cruz - i patrzeć na światło. - Używa nożnych pedałów, jakby grał na pianinie, do podnoszenia, opuszczania i regulowania mikroskopu.

- Pani oko drga - mówi. - Proszę patrzeć na światło bez ruchu. Oczy mają pozostać otwarte, jedno i drugie. Pani musi mi pomóc. Pani oczy płasają. Potrzebuję pani pomocy, nie zrobię tego bez pani.

Moja matka co minutę zakrapia do oczu kobiety roztwór soli fizjologicznej, by zachować w nich wilgoć. Z włosami zebranymi pod czepkiem i bez makijażu wygląda bardzo staro. Staram się nie patrzeć w jej stronę. Kiedy to robię, nie myślę o niej jako o mojej matce.

Kobieta leży płasko pod kolorowymi prześcieradłami. To na nogach jest granatowe, na brzuchu niebieskie, a od piersi po szyję jasnozielone. Wygląda jak prezent, który zaraz ma być opakowany w bibułkę.

Viola wyjmuje sztuczną soczewkę z opakowania. Nalepka na pudełku głosi: „Soczewki wewnętrzne. Typ SA40N 20.5”. Producent nazywa się „Allergan”. Dokleja nalepkę do karty chorobowej kobiety.

- Już prawie kończymy. Dobrze się pani spisała - mówi doktor Cruz.

Kobieta śmieje się z ulgą.

Soczewka jest giętka i przezroczysta jak szkło kontaktowe. Sterylnymi palcami, odzianymi w rękawiczki, moja matka zgina ją na pół i wsuwa do jakiegoś specjalnego narzędzia.

- Soczewka składa się jak burrito, wchodzi do środka przez maleńkie nacięcie i tam się otwiera.

Doktor Cruz mówi to, jednocześnie wciskając soczewkę do oka kobiety. Moja matka spryskuje oko wodą, a doktor Cruz naprowadza soczewkę na właściwe miejsce za pomocą haczyka. Następnie rozszerza oko za pomocą rurki i zaszywa gałkę oczną, by zatamować krwawienie. Matka zakrapia oczy kobiety, a potem, używając wskazującego i środkowego palca, wciera kortyzon dookoła powiek.

Palce mojej matki! Takie duże i męskie. Wychowała się na włoskiej farmie, doiła krowy, urządziła w stodole zabawy na sianie. Kiedy byłam młodsza, sypiałam w tejże stodole z moimi kuzynkami i budziłam się z całym ciałem podrapanym. Kiedy miałam siedemnaście lat, matka musiała wsadzić mi te palce do środka. Próbowałam po raz pierwszy w życiu uprawiać seks z chłopakiem, który miał cztery palce u stóp i reprezentował Danię na konferencji młodzieżowej organizowanej przez ONZ. Użyłam gąbki dopochwowej „Today” i po wszystkim nie potrafiłam jej wyjąć. Zadzwoiłam na numer gorącej linii wydrukowany na opakowaniu, usłyszałam męski głos przeżuwiający chyba chipsy i rozłączyłam się. Poszłam z płaczem do mamy.

- Proszę, nie bądź zła za to, co ci zaraz powiem.

- A co mi powiesz? - spytała.

- Ale najpierw obiecaj, że nie będziesz zła. Obiecała i nie była. Wsunęła mi palce do środka i wyciągnęła gąbkę.

Doktor Cruz naciska najpierw lewy pedał, potem prawy. Zauważam, że pod ochroniaczami nosi adidasy Nike. A niby jakie buty miałyby nosić lekarz?

- Jak nowe - mówi doktor Cruz do kobiety. - Proszę pamiętać nie przecierać oczu.

- A dostanę lizaka? - pyta kobieta.

Wszyscy się śmiejemy. Skąd ona zna to angielskie słowo? Druga operacja na naszej sali też już dobiega końca, trzecia jeszcze trwa.

Wiozę ją na wózku obok innych łóżek, przez korytarz, na którym czekają setki pacjentów w ubraniach chirurgicznych, w otoczeniu rodzin. W tym szpitalu nie ma sal pooperacyjnych. Rozglądam się po twarzach wpatrujących się we mnie z nadzieją i oszołomieniem.

- Następny! - mówię głośniejszym głosem, niż należy.

Do wieczora pięciu okulistów wykonuje dwadzieścia osiem operacji w dwóch salach. Asystuję przy siedmiu. Były trzy takie zaćmy, w tym jedna bliska pęknięcia, których usuwanie trwało po dwie godziny. Kiedy idę spać, jestem tak zmęczona od tego stania w upale, że nawet nie zauważam chrapania doktora ani też nierównomiernego oddechu pozostałych. Kiedy zasypiam, wydaje mi się, że moje ociężałe ciało zaraz przebiję się przez posłanie i runie jak kłoc na posadzkę.

Jastrząb przynosi lornetkę.

- Jasne, że ma lornetkę - mówi moja matka. Próbuje naśladować odgłosy jastrzębia, ale wychodzi jej bardziej gołąb niż jastrząb.

Pożyczam lornetkę i idę na trzecie piętro szpitala, gdzie jest balkon z poręczą pomalowaną na jaskrawą zieleń. Patrzę ponad szczytami wysokich palm w stronę oceanu. Terytorium Filipin obejmuje siedem tysięcy wysp. Doktor Cruz powiedział mi, że słyszał o takiej wyspie, na której żyje siedem rodzin, że ci ludzie nigdy nie opuszczali wyspy, że nie komunikują się z nikim z zewnątrz.

- Zajmują się wyłącznie rybołówstwem, uprawą roli i jedzeniem.

Podnoszę lornetkę, reguluję ją i patrzę w stronę Morza Południowochińskiego.

Żeby wziąć prysznic, napełniam pomarańczowe wiadro wodą z kranu i znajduję plastikową chochelkę, która mogłaby posłużyć do budowy zamków z piasku albo do gotowania. Taszcę wiadro do kabiny prysznicowej wyłożonej małymi ośmiokątnymi płytkami brązowego koloru, z natryskiem, który nie działa. Rozglądam się w poszukiwaniu mydła. Nie ma go tam i teraz stoję cała naga. Za późno, by ruszyć.

Nieruchomieję, oglądam swój brzuch. Zastanawiam się, czy moja córka - ta, której nigdy nie poznam - też przez całe życie będzie miała ten walek z ciała.

Oblewam sobie ramiona i patrzę, jak zimna woda spływa mi strumyczkami po całym ciele. Potem zanurzam obie dłonie w wiadrze i pryskam między nogi. Zapominając o chochli, podnoszę wiadro i wylewam resztę wody na głowę.

W środę, po drugiej operacji, wychodzę na korytarz, by przygotować następnego pacjenta.

Na czele kolejki, na wózku, leży ta sama niewidoma kobieta, za którą siedziałam w kościele.

- Cześć - mówię. - Jak się czujesz? - Tak właśnie zwracam się do każdego pacjenta, by sprawdzić, czy mówi po angielsku.

Nie odpowiada.

Jej dziewczynki zeskakują z wózka, który przetacza się nieznacznie w lewo. Żałuję, że nie mam już żadnych zwierzątek. Najmłodsza, ta, którą moja matka przyprowadziła z powrotem do ławki, зда się mnie rozpoznawać. Uśmiecha się bojaźliwie.

Zdejmuję sandały niewidomej kobiety. Jej paznokcie zaliczają się do tych nielicznych, nie pomalowanych w czerwone półksiężycy. W ogóle nie są pomalowane. Wsuwam błękitne ochraniacze na jej stopy. Wzdryga się. Nie wiedziała, co teraz nastąpi. W jej niewidzących oczach widzę strach.

Wtaczam ją do sali, gdzie doktor Cruz mówi coś do niej przez chwilę. Mimo że ona go nie widzi, siada naprzeciwko niej i z uwagą spogląda jej w oczy. Ten człowiek to święty.

Tłumaczy na mój użytek, że nie widziała swojej środkowej córki od czasu, gdy ta ukończyła rok. Swojej najmłodszej, która ma teraz pięć lat, nie widziała nigdy. Dzisiaj będą jej operować jedno oko.

- Tylko jedno? - pytam.

- Można usuwać tylko jedną zaćmę za jednym zamachem - wyjaśnia doktor Cruz. - Nawet w Stanach.

Pytam, kiedy można poddać się drugiej operacji.

- W Stanach - dodaję.

- Po dwóch dniach - mówi.

- To czemu ona nie mogłaby wrócić za dwa dni? Jest młoda, jest ślepa i ma trójkę dzieci. Może pan sobie wyobrazić, jak musi wyglądać gotowanie dla nich?

Jak on może tak ją traktować?

- Ellis - mówi doktor Cruz i zdejmuję okulary - jesteśmy tu krótko i widzisz sama, ile jest tych ludzi. Na każdą osobę, którą operujemy, przypada druga, której nie operujemy. Jeśli wyleczymy oboje jej oczu, będzie widziała doskonale, ale to oznacza, że ktoś inny będzie ślepy co najmniej na jedno oko.

Wszystko, przypominam sobie, jest zawsze dla kogoś innego, gdzieś indziej.

Tym razem doktor Cruz pyta, czy mam ochotę popatrzeć przez mikroskop. Kiedy przystawiam oczy, słyszę moją matkę, jak mówi: „To może szczypać”, i potem czyjś głos, który to tłumaczy.

Kiedy zaglądam przez mikroskop, doktor Cruz pokazuje mi soczewki dotknięte zaćmą. Ciemne oko kobiety pokrywa gruba żółta łuna. To oko wygląda jak jakaś planeta. Tak jak moim zdaniem może wyglądać Mars.

Przyglądam się, jak doktor Cruz wyciąga żółtą substancję małą igłą.

- Czy to nie spowoduje urazu psychicznego? - pytam.

- Ona zamiast narzędzi widzi tylko cienie - mówi.

Obserwuję, jak sonda wsuwa się prosto do jej źrenicy, i zaczyna mi się robić niedobrze. Myślę o kaczych jajach, które jemy na śniadanie, o płynie i twardym embrionie. Gdzieś w żołądku rodzi się



wrażenie tysiąca macek, które tam sięgają, szperają, i już ledwie mogę oddychać. Próbuję wciągnąć powietrze do płuc, ale tylko zasysam swoją maskę. Mam uczucie, że moja twarz jest laminowana mlekiem w proszku. Oddycham w nicości. A potem doktor Cruz wciska nową soczewkę do oka i zaczyna ją obracać haczykiem. Czuję, że zaraz upadnę na niewidomą kobietę, że rzucę się na nią, zacznę całować. Doktor Cruz obraca soczewkę bez końca i mówi mi coś o zmyśle dotyku. Z korytarza dobiega piosenka Cher, ktoś tam słucha radia. Mury pulsują pytaniem: „Czy wierzysz w życie po miłości?” Soczewka wskakuje na miejsce, niczym numery w zamku szyfrowym.

Siadam na stole, na którym układa się narzędzia. Jakoś nikt nie zauważył, że omal nie zemdlałam. Nawet moja matka. Kiedy operacja dobiega końca, ściągam maskę; wdycham i wydecham powietrze.

Pomagam przenieść niewidomą kobietę na wózek i wywożę ją na korytarz. Jej dzieci dopadają do jej boku. Badają jej oczy własnymi. Dziewczynki zostały wystrojone na tę wizytę w szpitalu, włosy mają uczesane w kucyki. Uczesała je przed operacją. Ślepa, a czesała je. Kiedy sama dorastałam, moja matka, która musiała być o siódmej rano w szpitalu, zaplatała mi włosy, gdy spałam. To właśnie wtedy sypiałam na plecach, jak księżniczka. Teraz sypiam na boku, z jedną nogą na poduszce, jeśli nikt nie leży obok mnie.

Viola i ja bandażujemy oko kobiety. Przyklejam łątkę z gazy trzema paskami białego plastra. Skóra kobiety jest zaskakująco chłodna. Uszy ma przekłute, ale nie nosi kolczyków. Za kilka dni, mówi mi Viola, zacznie widzieć na to oko.

Któregoś wieczoru matka i ja odłączamy się od reszty grupy, wybieramy się na zwiedzanie. Wędrujemy ścieżką, przez jakąś milę, aż wreszcie docieramy do plaży. Od ostatniego czasu, kiedy tu byliśmy, od piątku, wszystko się tu zmieniło nie do poznania. Wzdłuż brzegu stoi dziesięć szałasów bez ścian, ze słomianymi dachami. Wiatr może je przewiewać na wskroś. Kiedy je widziałam w piątek, myślałam, że to werandy, osłony dla kąpiących się. A tymczasem zostały przekształcone w domy dla tych, którzy przyjechali do szpitala. Ludzie przyjeżdżają tu z odległości stu pięćdziesięciu mil i sypiają w nich co noc, dopóki nie nadejdzie ich termin operacji. W każdej takiej chacie jest trzydzieści miejsc do spania.

Z oddali dobiega nas muzyka; idziemy w tę stronę, aż wreszcie napotykamy bar na otwartym powietrzu, z parkietem do tańca i karaoke. Trzy kobiety śpiewają coś, co brzmi jak stara filipińska pieśń miłosna, wykonując wymowne gesty rękami między głową a sercem. Kilka par tańczy. Dzieci gonią się; dziewczęta tańczą ze swoimi ojcami, z matkami, ze sobą. Kilkoro ludzi na parkiecie ma białe opatrunki na oczach, przymocowane ukośnie naklejonymi różowymi albo białymi plastrami.

Przystajemy z boku, przyglądamy się. Matka wciąż nosi swój T-shirt z krową narciarką, teraz żółty od kurzu, potu, ziemi i długiego noszenia. Kiedy moja matka jest szczęśliwa, jej usta otwierają

się czasem jak u marionetki. Pieśń dobiega końca, pytam jedną z filipińskich pacjentek, o czym ona opowiada. Wydaje mi się, że o kobiecie czekającej na prawdziwą miłość.

- To piosenka o... jak wy to nazywacie...? - mówi kobieta, która ma łatkę na jednym oku i zielony tusz na rzęsach u drugiego. - O wiewiórce.

- O wiewiórce? - Rysuję sylwetkę zwierzęcia rękoma, podkreślając ogon. Potem pokazuję drzewo.

- Tak - potwierdza kobieta. - O właśnie. Wiewiórka.

Razem z matką wracamy na ścieżkę przez aromatyczne powietrze.

Jakieś sto stóp dalej natrafiamy na otwarty sklep. Sprzedają w nim owoce, wodę butelkowaną i wietrzne dzwonki wykonane z muszelek. Każdy dzwonek składa się z co najmniej dwustu małych muszelek przyklejonych do pięciu wiszących sznureczków. Wyobrażam sobie, że na wietrze i w mroku ich dźwięk przypomina pewnie odgłos setek insektów cykających nocą.

Najmłodszy syn senatora zaprasza mnie na walkę kogutów. Po drodze ze szpitala na stadion rozprawia o polityce.

- Cory Aquino była pierwszą kobietą, która przejęła władzę w kraju - mówi. - W 1986 roku.

Czeka, jakie to zrobi na mnie wrażenie. Opowiada mi o podstarzałym gwiazdorze filmów klasy B, który został ich przywódcą w 1998 roku.

- Jak wasz Ronnie Reagan - mówi. - Nie?

Kiedy wchodzimy na stadion, jest tam bardzo niewiele kobiet. Wielu mężczyzn nosi T-shirty, z tym jednakowym napisem w tagalskim. Pytam, co znaczą te napisy, ale syn senatora unika odpowiedzi; mam przeczucie, że to coś na temat jego ojca. Syn senatora pyta, czy może postawić kilka zakładów w moim imieniu.

- Jasne - mówię. Wzruszam ramionami, ale jestem podniecona.

Mężczyzna za ladą, przy której robi się zakłady, ma przed sobą kalkulator i z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu ręcznik na ramieniu. Bierze ode mnie pieniądze i przyciska je niewielkim kamieniem. Potem daje mi jakieś żółte kupony, z wybitymi dziurkami.

Nad areną wiszą sztandary z tymi samymi napisami: „Najlepsze życzenia urodzinowe dla pana senatora Roberta «Bobby'ego» Robertsa składa Kristo z Centrum Rekreacyjnego”. Jedyne inne napisy głosi: „Decyzja sędziów jest ostateczna”.

Przed każdą walką do łap kogutów przyszywane są grubą czerwoną nicią ostrza. Na arenie koguty drapią i ranią się do krwi. Kiedy umiera kogut, oba ptaki są znoszone z pola przez sędziów. Kogut wygrywający odnosi zbyt wiele obrażeń, by przeżyć - nieuchronnie wykrwawia się na śmierć, gdy tymczasem jego właściciel podaje ręce tym, którzy mu gratulują. Jakoś nikogo nie obchodzi, że zwycięzca też umiera: już zdecydowano, który kogut był najsilniejszy.

Przegrywam wszystkie zakłady, wszystkie, co do jednego.

W ciągu tygodnia lekarze z oddziału okulistycznego wykonują w sumie sto czterdzieści jeden operacji. Zaczynam jeść ryby. Zakochuję się w mojej matce. Którejś nocy, kiedy wszyscy biorą udział w karaoke, Viola i ja śpiewamy razem *9 to 5*. Wybieram się na przejażdżkę dżipem.

Nawet nie muszę na niego machać, jak na zwyczajną taksówkę. Po prostu wskakuję do środka.

Ostatniego dnia próbuję odszukać dziewczynki w czerwonych blezerach, żeby im dać moje okulary. Obchodzę miasto w nadziei, że mnie zauważą i podbiegną. Szukam i szukam, nawet blisko szkoły, ale się nie zjawiają.

Podchodzi za to do mnie staruszka o nogach tak brudnych, że najpierw mi się wydaje, że nosi skarpetki. Pokazuje samą siebie palcem. Nie ma zębów. Zdejmuję okulary i nakładam je na jej głowę. Są o wiele za duże. Zakłada je na czoło, niczym przepaskę i uśmiecha się. A potem odchodzi.

Ostatniej nocy razem z matką idziemy nad wodę, żeby wymoczyć nogi. Tego dnia lekarze skończyli operować, więc szalasy stoją już puste. Kiedy jesteśmy na piasku, złomek księżycy przypomina dziecięcy uśmiech, a mnie nachodzi nagły impuls, żeby fiknąć kozła do wody. Rozbieram się do bielizny i wyrzucam ręce w dół, a nogi za głowę, za rękami, za nogami, za głowę, aż w pewnym momencie woda sięga mi do pasa. Potem brnę w sam środek zielono-srebrno-marmurowej wody, aż do chwili, kiedy przestaję czuć dno. Zaciskam nos palcami, zwijam się w kulę i zanurzam pod powierzchnię. Kołębuję się w tył i w przód, do góry nogami i w bok. Nie ma czegoś takiego jak grawitacja, udaję, nie ma czegoś takiego jak sen.

Na lotnisku odbiera nas Freddie. Wygląda dobrze: zatuszowała swoje znamię makijażem. Ja przestałam maskować bliznę na czole; nigdy się mocno nie malowałam, a teraz, od czasu incydentu w parku, w ogóle przestałam. Matka czeka na odbiór bagażu, udzielając Violi rad na temat powrotu do domu, w którym już nie ma jej męża, a ja pytam Freddie, dlaczego znowu maskuje swoje znamię.

Wzrusza ramionami i uśmiecha się.

- Myślę, że z mojej strony to była manipulacja, że go nie maskowałam.

- Nie rozumiem?

- Z jakiegoś powodu podobało mi się, że budzę nim obrzydzenie u ludzi. Wiedziałam, że później będzie im głupio. Jest w tym coś z manipulacji, nie uważasz?

- Chyba tak - mówię. Patrzę na matkę pogrążoną w ożywionej rozmowie z Violą. - Nie wiem, co ci wpadło do głowy z tą koszulką z krową.

- Ona ją uwielbia - stwierdza Freddie.

- Zauważyłam.

Podnoszę rękę, obejmuję siostrę ramieniem. Muszę stanąć na palcach. Przerosła mnie, kiedy miała dwanaście lat, a ja wtedy prawie już przestawałam rosnąć.

W San Francisco czeka na mnie płaski pakunek od reprezentanta świata. Robi mi się smutno, że dostałam ekspresową przesyłkę z tygodniowym opóźnieniem, jakbym zobaczyła wydrażone dynie wiele dni po Halloween.

Wytrząsam zawartość koperty: kilkanaście drewnianych elementów i wykres - podwaliny figury, którą mam skonstruować. Robię to od razu.

Ta figura to struś. Jest wysoki na niecałą stopę i niestety się chwieje. Wsadzam dłoń do koperty, by sprawdzić, czy nie przeoczyłam jakiegoś fragmentu strusia, czegoś, dzięki czemu byłby stabilny. Nie znajduję już żadnych elementów, ale reprezentant świata dołączył kartkę: „Próbowałem znaleźć kolibra”.

Freddie oświadcza nam, że zanim sama wróci do Anglii, a ja do Nowego Jorku, zaplanowała dla nas wyjazd na biwak w okolicy Santa Cruz, na jedną noc.

- Wszyscy jedziemy? - pytam. - Już teraz? - Pomagam matce poskładać pranie. Mam ochotę ukryć przed nią koszulkę z krową na nartach, tylko na kilka dni, dopóki nie wrócę na uczelnię. Potem będzie mogła nosić, co chce.

- Tak, ty, ja i mama.

- A wasz ojciec nie? - pyta matka.

Ona znowu się za nim wstawia, a ja nie wiem, dlaczego ciągle jeszcze mnie to dziwi.

- Nie - mówi Freddie. - Same dziewczyny.

W taki właśnie sposób dzielimy rodzinę: kobiety kontra mężczyzna.

Nie zawsze tak było. Kiedy dorastałam, ja byłam tatusiną córeczką; siostra była matki. Freddie co wieczór pomagała mamie przy kolacji, gdy tymczasem ja siedziałam w dużym pokoju z ojcem i oglądałam z nim mecze piłki nożnej albo wiadomości.

Krótko przed swoim odejściem z domu ojciec zaproponował matce, że mogliby zaadoptować małego chłopczyka. Uległ takiej obsesji, bo naczytał się artykułów na temat bośniackich sierot.

- Nie ma mowy - oświadczyła matka. Freddie i ja jesteśmy jako tako dorosłe i wreszcie nie musi się o nas martwić, wyjaśniała. Jakoś radziliśmy sobie z pieniędzmi, ale mając jeszcze jedno usta do wyżywienia... - Nie - powiedziała. - Przykro mi.

Ojciec wyciął jeden taki artykuł i przyczepił go magnesem do lodówki. Kiedy bez słowa odszedł z domu, artykuł wciąż tam był. Zajrzałam do niego w poszukiwaniu wytłumaczenia, jakby to był pozostawiony przez niego list.

W piątek jedziemy na biwak. W naszym płóciennym namiocie stoją dwa łóżka zasłane czystą pościelą. W stopach leżą grube ręczniki złożone w kostkę.

- Co to za biwakowanie - protestuje matka, kiedy zauważa przewody koców elektrycznych. A jednak widzimy, że to jej się podoba. Natychmiast włącza koc.

Jedno łóżko jest podwójne, drugie pojedyncze.

- To może my będziemy spały na tym podwójnym, a mama na pojedynczym? - proponuję.

- Tylko nie to! - protestuje Freddie. - Ja chrapię. Nie pamiętasz?

Po południu idziemy na wyprawę po klifach nad oceanem.

- Patrzcie! Foka! - woła Freddie.

Omiotam wzrokiem ocean, jest błękitny jak pasta do zębów. Nie widzę tu nic innego oprócz tego błękitu. Freddie pokazuje palcem.

- Za tą skałą.

Przez chwilę wydaje nam się, że mówimy o tej samej skale, ale okazuje się, że jednak nie.

- Powinien istnieć lepszy sposób na opisywanie czegoś, co jest daleko - stwierdza Freddie.

Wiecznie wymyśla jakieś rzeczy, które powinno się wprowadzić, zauważa luki, które należy wypełnić, aby ulepszyć rozmaite aspekty życia.

Nagle zauważam fokę.

- Widzę ją! - mówię im.

- Gdzie? - pyta matka.

- Tam! - pokazuję. Staję za plecami mamy, chwytam jej głowę za uszami, starając się ją nakierować, wskazać, gdzie ma patrzeć. Bez skutku.

Tak strasznie chcę, żeby matka ją zobaczyła. Próbuję opisać to miejsce, ale foka jest śliska, zwinna, nieuchwytna.

- O tam, tam wystaje głowa! - krzyczę. Matka mruży oczy.

- Jaka szkoda, że nie mam lornetki Jastrzębia - mówi. Ruszamy dalej. Zatrzymujemy się dopiero na szczycie kolejnego klifu.

- Widzę fokę! - cieszy się matka. - Patrzcie, tam jest całe stado. Jedna, dwie... cztery. Cztery, skaczą i się bawią. - Śmieje się, otwiera szeroko usta, a Freddie podskakuje w swoich czerwonych tenisówkach.

Patrzę się na mamę, na siostrę - za dużo tej miłości jak na jeden raz. Czuję ból nad nosem, między oczami, jakby ktoś rzucił we mnie marmurową kulką.

- El, ty nawet na nie nie patrzysz - mówi matka, kiedy okręca mnie za ramiona, żebym stanęła twarzą do oceanu.

Tamtej nocy w namiocie Freddie i matka zasypiają pierwsze. Wiatr hałasuje, trzaska ściankami namiotu. Wdycham naturalny, ogórkowy zapach matki. Czekam, aż Freddie zacznie chrapać, ale obie z matką śpią cicho, gdy tymczasem ja czytam moją książkę o wystawach światowych; jeszcze jej nie skończyłam.

„Niektóre wystawy, jak ta zorganizowana w Chicago w 1933 roku, miały odwrócić uwagę od Wielkiego Kryzysu poprzez przypominanie Amerykanom o przeszłych osiągnięciach; inne, takie jak

Nowojorska Wystawa Światowa w 1939 roku, stanowiły rzut oka na przyszłość, bo obiecywały lepsze jutro..."

Przed zgaszeniem latarki przytłumiam dłonią strumień jej światła i oświetlam podłogę od strony matki. Przysuwam twarz do jej twarzy, wążam jej oddech. Zastanawiam się, co jej się śni. Nic mi nie przychodzi do głowy.

Freddie śmieje się przez sen - nie tym nowym, mrocznym śmiechem, ale swoim dawnym. Psotnym śmiechem z dzieciństwa, którym wybuchala, kiedy udało jej się ukradkiem przyciąć mi włosy. Albo kiedy zapisała numer zoo w San Francisco i wręczyła go ojcu razem z wiadomością: „Dzwonił pan Lew”.

Matka jedzie razem z nami na lotnisko. Żegnamy się szybko. Ściskam matkę, ściskam Freddie. Freddie obiecuje mailować, matka obiecuje, że będzie dzwonić. Zawsze się tak okłamujemy. Zawsze, kiedy spędzimy z sobą trochę czasu, uciekamy potem, szybko, sadząc długie kroki, mozolnie starając się zwiększyć dystans. I nie oglądamy się, póki nie mamy jakichś wiadomości do przekazania. Wiadomości do przekazania, które oznaczają, że życie każdej z nas płynie oddzielnie, inaczej, dzięki czemu coś może się stać tylko jednej z nas, a nie wszystkim razem.



# Część czwarta

## LICZENIE DO NIESKOŃCZONOŚCI

Podczas lotu z San Francisco na JFK siedzę obok młodego mężczyzny, który wzbudza we mnie lęk. Stałam za nim w kolejce do kontroli osobistej, trzy razy uruchomił alarm. Przyglądałam się, jak go eskortowano do jakiegoś biura na przesłuchanie.

- Jeśli chcesz, to chętnie ci powiem, co się tam stało - mówi do mnie ze śladem akcentu. Jest trochę starszy ode mnie, nosi koszulę firmy „Brooks Brothers”.

Udaję, że nic nie wiem.

- To znaczy gdzie?

Alarm, wyjaśnia, uruchamia kula, która utknęła w jego udzie. Podczas wojny w Erytrei. Uczęszczał do West Point, wrócił do kraju, żeby wziąć udział w wojnie, a teraz, kiedy został odznaczony i zdemobilizowany, wybiera się na studia na Cornell.

- O co chodziło w tej wojnie? - pytam.

- O to co zawsze.

Pytam, czy musiał walczyć, czy objął go pobór.

- Nie - mówi. - Poszedłem z własnej woli. Po prostu wróciłem do domu.

Wstaje, żeby się przejść do toalety, a ja obserwuję, jak kuśtyka między siedzeniami. Myślę o pistolecie przystawionym do mojej głowy, o kuli w jego nodze. Czy to miejsce w jego udzie pulsuje, czy jest odrętwiałe? Czy jak się budzi, to czuje się odważny czy bezsilny?

Kiedy wróci, zapytam go, czy po przylocie chciałby zjeść ze mną kolację na mieście. Wyobrażam sobie, że przyjdzie do mojego mieszkania, a wtedy dam mu paczkę z mrożonym groszkiem na złagodzenie bólu w nodze. Wyobrażam sobie, jak odwiedzam go w Cornell w przyszły weekend, a on mnie po wszystkim oprowadza.

„To jest laboratorium naukowe”, powie.

Kiedy siada z powrotem obok mnie, oferuję mu tylko swoje słuchawki.

Na JFK ląduję o dziesiątej wieczorem i odważam się na półtoragodzinną jazdę metrem zamiast taksówką, za którą zapłaciłabym trzydzieści siedem dolarów. Naprzeciwko mnie, w wagonie metra siedzi dwoje wysokich, młodych ludzi rozmawiających po niemiecku.

- Przepraszam - zagaduje mnie mężczyzna i pyta, czy mogłabym polecić im jakieś miejsca warte odwiedzenia. - Ale nie jakieś tam turystyczne bzdury - mówi - tylko bary, gdzie można się zabawić.

- I dyskoteki - dodaje jego dziewczyna. Oboje są ubrani w czarne dżinsy, czarne skórzane kurtki i wysokie buty.

Mężczyzna podaje mi schludnie złożony plan miasta. Rozkładam go ostrożnie, jakby coś mogło wypaść z tych prostokątów. Mówi coś po niemiecku do kobiety, a wtedy ona odpina zamek swojego plecaka, wyciąga długopis z notatnika i podaje mi go. Na każdym palcu ma pierścionek.

Zaznaczam ulicę, gdzie chłopak z ROTC biegał między samochodami.

- Tu jest niezły klub - mówię. Zaznaczam róg ulicy z restauracją, gdzie podawali bezimienny keczup w butelkach po heinzu. Zakreśliłam kółkiem Astor Place, bo widywałam tam wielu Niemców, którzy kupowali kasety wideo z Jackson Five i jadali w polskich restauracjach. Obracam plan i zauważam to miejsce, gdzie siedziałam obok mężczyzny z pistoletem. Na planie miejsce wygląda na równie zielone jak w rzeczywistości.

- Przykro mi - mówię. - Nic innego nie pamiętam. Długo mnie nie było.

- Jak długo? - pyta Niemiec.

Wydaje się rozczarowany.

- Całe lata.

W holu Danny rozmawia przez telefon. Wduszam przycisk windy i wtedy podnosi rękę wnętrzem dłoni w moją stronę, sygnał, że mam zaczekać. Słyszę, co mówi:

- Tak. Właściwie to szukam tego drugiego... Tak... John Wayne. To o Johnie Wayne... No to przekaz ucałowania Jane i Daphne, jak będziesz z nimi rozmawiał... I Catherine... No to... Pewnie. Postaram się. Zrobię, co będę mógł. A ty szukaj w Internecie... Dobranoc.

Danny odkłada słuchawkę.

- Witam w domu, panno Ellis.

- Wystarczy Ellis - mówię.

- Jak było we Frisco?

- Świetnie - mówię. - A ty? Miałaś udane święta?

- Byłoby lepiej - odpowiada - gdyby moja żona i córka przyjechały do mnie.

Kiwam głową. Pił. Wieczko termosu jest odkręcone, leży na podłodze.

- Zostawiły mnie - wyjaśnia.

- Przykro mi. Danny przytakuje.

- Kiedy to się stało? - pytam.

- Dziesięć lat temu. - Podłoga holu jest wyłożona czarno-białymi płytkami, na podobieństwo szachownicy. Stoję na czarnym polu. - To był ojciec Jane - mówi Danny, wskazując telefon. - Wie, gdzie one są, ale nie chce mi nic powiedzieć. Chętnie bym się dowiedział, gdzie Daphne się uczy, ale on mi nie chce powiedzieć nawet tego.

- Przykro mi - mówię raz jeszcze. Czuję się okropnie. - Mogłabym cię zabrać na lunch w przyszłym tygodniu?

- Byłoby bardzo miło - odpowiada Danny.

Jestem ciekawa, czy ma jakichś przyjaciół. Żałuję, że nie znam nikogo, z kim mogłabym go spiknąć.

- Coś się działo? - pytam.

- Słucham?

- Myślałam, że może się czegoś dowiedziałeś.

- O tym facecie z rudymi włosami? Louis go nie widział, a w każdym razie nic mi nie napomógł.

- Aha - mówię. Ulżyło mi bardziej, niż się spodziewałam.

- Ale ten drugi wrócił i cię szukał.

- Ten drugi?

- Facet z jasnymi włosami, w okularach. Ten, który przyszedł po lampę.

- Aha - mówię znowu. *Tom*. - No to dziękuję ci. - Patrzę na walizkę, jakby to był pies, który nie może się doczekać spaceru. - Pójdę się rozpakować.

- Witaj w domu - żegna się ze mną Danny.

Moja współmieszkanka jeszcze się nie położyła. Majstruje przy czymś na okrągłym stoliku w dużym pokoju.

- Antyczne fajki - mówi Susan. - Powiedz, czy nie świetne?

- O tak. - Nie mam pojęcia, do czego komukolwiek mogłyby służyć.

Starannie je układa, jak świeży bukiet, w wymytm słoiku po dzemie. Główki fajek są wycelowane albo w górę, albo na boki. Wyglądają jak peryskopy łodzi podwodnych.

- Tak sobie pomyślałam, że mogą stanowić dobry pretekst do zaczęcia rozmowy - stwierdza Susan.

Kiwam głową.

- Jak tam ferie?

- Świetnie - mówi.

Czekam, aż zapyta o moje wakacje albo jak ja się mam, ale nie pyta. Wciąż bawi się fajkami.

Ziewam, mówię jej, że jestem zmęczona, i idę do mojego pokoju. Po rozpakowaniu rzeczy szepiam ze sobą elementy strusia. Stawiam go na parapecie i obracam tak, by wyglądał na zewnątrz: na Riverside Park.

- To stamtąd właśnie się wzięłeś - mówię do strusia.

Sprawdzam pocztę w komputerze. Usuwam listy od Toma, nie czytając ich.

Otwieram szuflady i zamykam je. Już zapomniałam, co posiadam.

Idę do księgarni, tej samej, do której zamierzałam wziąć mężczyznę z pistoletem. Niemal się spodziewam, że go zobaczę. Przeciskam się przez przejścia między regałami, w tę i we w tę, aż wreszcie nabieram pewności, że jego tam nie ma.

Idę na tył sklepu, gdzie znajdują się podręczniki. Lista obowiązkowych lektur z angielskiej literatury dziewiętnastowiecznej obejmuje *Middlemarch* oraz *Targowisko próżności*. Uwalniam część przestrzeni na półkach. Z sekcji poradników chwytam kilka egzemplarzy *Kobiet, które kochają za bardzo* i wstawiam je między powieści z dziewiętnastego wieku. Bardzo mnie to śmieszy.

Idę do pólek, na których stoją podręczniki z historii sztuki. Wybieram książkę poświęconą Géricaultowi i idę z nią do kasy.

- Gratuluję wyboru - mówi kasjer.

Sprawdzam, kiedy ma dyżur wykładowca francuskiego romantyzmu, na którego zajęcia chciałabym chodzić. Jest niski, ma siwe włosy i baczki; jego żona wykłada psychologię. Wiem z ogłoszeń w gazetce kampusu, że szukają opiekunki do dziecka. Oferują przyzwoite wynagrodzenie, ale wymagają, by kandydatka przeszła badanie psychiatryczne. Ogłoszenie ukazuje się co tydzień.

Jego gabinet jest długi i wąski, na ścianach nie ma żadnej sztuki. Mówię mu, że wiem, że zgłaszam się późno, ale chciałabym chodzić na jego ćwiczenia. Przesłuchuje mnie przez pięć minut. Pyta, co do mnie przemawia w tym okresie.

- Mówiąc szczerze, podoba mi się tylko jeden obraz - wyjaśniam. - Znalazłam pocztówkę z jego reprodukcją w samolocie.

- Pocztówkę?

- To była *Tratwa Meduzy*.

- Rozumiem - mówi on. Ku mojemu zdumieniu zgadza się, żebym chodziła na jego ćwiczenia, i podaje mi listę lektur, abym mogła nadgonić te zajęcia, które już straciłam. Odwracam się, by wyjść.

- To prawda, że próbowała pani przemówić do rozumu szaleńcowi za pomocą poezji? - Mówi to do mojego profilu.

Obracam się, by spojrzeć mu w twarz.

- Nie miałam lepszego wyboru. Miał pistolet.

- Pistolet? - Baczki wykładowcy wyglądają jak wykrzykniki. - O tym nie słyszałem.

- Ale to tylko jeden element - dodaję.

- Teraz to widzę - odpowiada.

Zamykam za sobą drzwi gabinetu i w korytarzu opieram się plecami o ścianę, żeby nie upaść. Zatrzymuje się przede mną jakaś studentka z pomarańczową torbą gońca przewieszoną przez ramię.

- To tutaj się wchodzi na rozmowę w sprawie posady opiekunki? - pyta.

Dostaję dwa listy od Toma, oba wysłane jednego dnia. Oba są grube, jeden grubszy od drugiego. Wsuwam je pod doniczkę mojej rośliny. Potem wyciągam i chowam dla odmiany do zamrażalnika, obok torby z groszkiem i zamrożonymi bułkami. Na widok groszku znowu bołą mnie nogi. Wyjmuję listy, mnę je, wyrzucam do kosza pod zlewem. Potem je rozprostowuję, prawie otwieram ten cieńszy. Ale ostatecznie tylko składam oba na pół i wsadzam do tylnej kieszeni w moich czarnych dżinsach,

które leżą w koszu na brudną bieliznę. Zdejmuję wszystko, co mam na sobie, nakrywam tym dżinsy. Potem wkładam spodnie od dresu i koszulkę, którą kupiłam w Portugalii.

Dzwoni dziewczyna, która kieruje kampanią reklamową prezerwatyw „Lifestyle”, z życzeniami szczęśliwego Nowego Roku. Pyta, jak tam mi leci z Tomem. Mówię jej, że to już skończone, ale on nie chce się ode mnie odczepić.

- No to jeśli chcesz, zadzwonię do niego - proponuje. - Mam zespół napięcia przedmiesiączkowego i dzięki temu nadmiar energii.

Odmawiam, ale dziękuję jej wylewnie.

- Jeszcze jedno - dodaje.

Siedzę na podłodze, robię warkocze z frędzli dywanika.

- Co?

Mówi mi, że ktoś niszczy plakaty ostrzegawcze.

- Jakie plakaty ostrzegawcze? - pytam.

- Te, które opisują, co ci się stało w parku. Zawijam garść frędzli na pęk.

- Widziałam co najmniej trzy takie, na których coś było popisane albo wydrapane.

- Wydrapane?

- Tak, na jednym były poprawki do opisu tego faceta. A na innych ktoś dopisał: „Przepraszam”.

- Przepraszam?

Rozłączamy się. Wciąż siedzę na podłodze. *Kto przeprosza?* Wyobrażam sobie reprezentanta świata, jak trzyma przed sobą splecione palce, mówi mi, że mu przykro. Wyobrażam sobie, jak ktoś dorysowuje wąsy do policyjnego rysopisu.

Idę do łazienki, nie bardzo wiedząc, co robić. Susan kupiła domowy zestaw do depilacji woskiem. Stawiam pojemnik z woskiem na klapie muszli klozetowej, podłączam do prądu, czekam, aż się rozgrzeje. Postanawiam wydepilować sobie kolana - niewielki obszar, z którym łatwo sobie poradzę.

Kiedy tak siedzę na podłodze i podwijam nogawki dresu, przypadkiem strącam łokciem zbiornik. Gorący wosk wylewa się na deskę klozetową. Usiłuję zetrzeć go papierem toaletowym, który przykleja się do wosku w postaci kulek. Nakrywam nawoskowany obszar ręcznikiem i przejeżdżam po nim żelazkiem - tej techniki nauczyła mnie matka, służyła do usuwania wosku ze świec z obrusów. Siedzę wciąż na podłodze, kiedy do domu wraca Susan.

- O, prasujesz deskę klozetową - zauważa, a potem idzie do swojego pokoju i włącza radio. Lubi słuchać wiadomości po francusku.

Tamtego wieczoru, kiedy robię pranie, zapominam o listach od Toma. Wyciągam swoje rzeczy z suszarki z setkami kawałków papieru przyklejonymi do nich niczym łupież. W kieszeni dżinsów znajduję dwie papierowe kule wielkości jaj.

Idę do pracy w Centrum Doksztaleniowym. Moim pierwszym uczniem tego dnia jest gwiazda koszykówki. Nosi czapkę z napisem „Nieważne”.

- Szczęśliwego Nowego Roku - mówię. - Przepraszam, że mnie nie było w zeszłym tygodniu.

Pyta, czy możemy popracować nad czymś, co nie jest związane ze szkołą. Jasne, odpowiadam. Zdejmuje czapkę, poprawia włosy.

- Chcę napisać list do mojego taty, w którym mu wszystko wywalę.

Zgadzam się.

Podczas świąt Bożego Narodzenia, mówi mi, odkryła, że on miał romans, że ma drugą rodzinę. Siedziała u niego w gabinecie, wypełniając jakieś papiery, kiedy natrafiła na kopertę z napisem „Tato”. Otworzyła ją, myśląc, że to jakaś pamiątka z jej dzieciństwa.

- Nie mam żadnego rodzeństwa - wyjaśnia.

Podaje mi jeszcze kilka szczegółów i zaczynam pisać brudnopis listu:

„Jak śmiesz traktować mnie i moją matkę w taki sposób! Wszyscy wiedzą, wszyscy gadają o twoich romansach. Nie uważasz, że to coś znaczy, kiedy się zakłada rodzinę? Nie uważasz, że w jakimś momencie będziesz musiał wrócić i ponieść konsekwencje swojego postępowania? Naprawdę myślałeś, że ujdzie ci to na sucho? Bez słowa przeprosin, bez niczego?”

Piszę jeszcze jeden akapit, a potem puszczam kartkę przez stół w stronę koszykarki. Patrzy na to, co napisałam, kiwa głową.

Piszę dalej:

„Wiem, twierdziłeś, że próbowałeś dzwonić, tylko linia była wiecznie zajęta. Ale czy ty naprawdę się spodziewasz, że ja - i moja matka! I moja siostra! - uwierzemy, że linia była zajęta przez siedem miesięcy? Dlatego właśnie, kiedy wreszcie zadzwoniłeś, kazałam mamie odłożyć słuchawkę”.

Koszykarka stoi teraz za mną, czyta list przez moje ramię.

- Hm - mówi. - Nie mam siostry, to znaczy teraz mam i w tym sęk.

- Racja. Przepraszam. Wykreślam ten ostatni fragment.

- Wspaniale - stwierdza dziewczyna. - To co, myślisz, że możemy teraz zażądać forsy?

Dzwoni do mnie Nicholas, chce mi przekazać, że podarł resztę moich pieniędzy i że zamierza się zabić. Jestem w kuchni, siedzę na podłodze. Zaczynam wyciągać garnki z szafki pod kuchenką.

- Przykro mi, ale musisz na to spojrzeć z innej perspektywy - mówię. - Nie pamiętasz już, co się stało z bratem Sary?

- Nie. Co?

Możliwe, że Nicholas nigdy nie słyszał. W czasie, kiedy był pogrzeb, nie rozmawialiśmy ze sobą. Mówię mu, że brat Sary mieszkał na Long Island. Któregoś wieczoru, po imprezie, wracał do domu samochodem i jego narzeczona, która jechała za nim, widziała, jak zderza się z innym samochodem.



Nicholas nic nie mówi. W głębi szafki znajduję pułapkę na myszy, wyjmuję ją ostrożnie, za brzeg.

- Brat Sary nie miał wyboru. Nadal milczenie.

- Halo? Jesteś tam?

- Nie zrobię tego, jeśli obiecasz, że do mnie wrócisz - mówi.

Ustawiam wszystkie garnki na kuchennej posadzce i wpełzam do szafki, w której teraz jest pusto. Mieszczę się. Ugięte kolana i stopy wciskam w jedną ściankę, a głowę w tę drugą.

- Okay. Jak sobie chcesz.

Dzwonię na informację, a potem do ojca Nicholasasa, do jego pracy. Sekretarka pyta, kim jestem. Nicholas powiedział mi kiedyś, że to jedna z kochanek ojca.

Zostaję połączona, mówię mu, że dzwonił Nicholas. I że się boję, bo może znowu będzie próbował się zabić.

Jego ojciec jest przerażony.

- Co dokładnie powiedział?

Wciąż siedzę w szafce, łaskoczę pajęczyny palcami u stóp. Powtarzam mu, co powiedział: że spróbuje znowu, jeśli do niego nie wrócę.

Ojciec wypuszcza powietrze.

- Posłuchaj - mówi. - Jesteś miłą dziewczyną. I współczuję ci tego, przez co przeszłaś, kiedy byłaś z Nicholasem. Na pewno nie było łatwo. Ale nie schlebiaj sobie.

- Ja sobie schlebiam? Niby jak? - Mam ochotę usiąść wygodniej, ale nie mogę.

- Zanim cię poznałem, Nick często mówił, jaka ty jesteś wspaniała. Trzeba go było słyszeć. Mówił, że go rozśmieszasz i że nie dbasz o to, co mówią inni. Że jesteś wszystkim w jednym. - Urywa.  
- Ale kiedy cię poznałem, powiedziałem mu: „To miła dziewczyna, ale stać cię na kogoś o wiele lepszego”.

Ojciec Nicholasasa co rano wykonuje trzy okrążenia wokół jeziora, w asyście osobistego trenera. W któreś Święto Dziękczynienia powiedział Nicholasowi i mnie, że nam by się też to przydało. Kiedy to mówił, patrzył na mnie.

- Jesteś tam? - pyta teraz.

Mówię mu, że owszem, jestem, pytam, czy on coś z tym wszystkim robi. Przypominam mu, że dzwonię, bo się przejęłam. Bo uznałam, że pewnie chciałby wiedzieć.

- A wyobraź sobie, że coś z tym robię: Nick jest otoczony opieką najlepszych lekarzy, jakich udało nam się znaleźć. A oni twierdzą, że z tego wyjdzie. I szczerze mówiąc, nie uważam, by mógł się zabić z twojego powodu, nie jest aż taki chory. Moim zdaniem ty nie chcesz od niego odejść i dlatego właśnie tak o tym wszystkim myślisz. Czytasz między wierszami.

- Ja czytam między wierszami?

- Otóż to.

Czasami nosi fular i teraz wyobrażam sobie, że się w nim dławi.

- Przynajmniej w ogóle coś czytam - mówię i rozłączam się. To jedyna riposta, która przychodzi mi do przepelnionej żalem głowy. Siedzę w szafce prawie godzinę.

Moja współmieszkanka informuje mnie, że w przyszły weekend wyjeżdża, że jedzie z wizytą do kuzynki. Nic nie mówię. W mieszkaniu nadal śmierdzi czosnkiem i wyobrażam sobie, że jak jej nie będzie, będę mogła podkręcić ogrzewanie i pozamykać okna.

Idę do fryzjera, przynoszę obrazek z fryzurą, jaką bym chciała mieć.

Fryzjerka patrzy na obrazek - to reprodukcja *Portretu młodzieńca* Botticellego - i wzdycha. Plakietka z jej nazwiskiem jest wetknięta do pojemnika na wizytówki w kształcie buta.

Nazywa się Jane Eyre.

- To pani prawdziwe nazwisko? - pytam.

- Tak - odpowiada. - A bo co? Wspominam powieść.

- Ach - mówi. - Ktoś mi to kiedyś dał, ale nie przeczytałam. A trzeba było?

Wzruszam ramionami.

Wychodzę z salonu z włosami krótkimi z przodu, a z tyłu sięgającymi ramion - jak u młodzieńca z obrazu.

O ósmej trzydzieści dzwoni domofon. Podchodzę w bluzie i spodniach od pizamy.

- Szczęśliwego Nowego Roku - dudni głos. Chłopak z ROTC.

- Już prawie luty - zauważam.

- Musisz mi pomóc. Wpuszczam go do środka.

Otwieram drzwi, wchodzi, siada na kanapie. Nigdy przedtem nie był u mnie.

- Bombowe fajki.

- Ciii - mówię. - Moja współmieszkanka śpi. Udaje, że zamyka usta na zamek i wyrzuca klucz.

- O co chodzi? - pytam. Nie mam na sobie biustonosza, więc krzyżuję ramiona na piersi.

- A ciebie co naszło? - on mi na to i gapi się na moje włosy. - Na donicę teraz?

- Co?

- Czy jak tam się nazywają twoje włosy? Na pazia?

- Nazywaj je sobie, jak ci się podoba - mówię i wzdycham. - Czego chcesz?

- Muszę skorzystać z twojej drukarki - wyjaśnia. - Mam dzisiaj rozmowę kwalifikacyjną z gościem z Goldman Sachs i muszę wydrukować życiorys. Odchodzę z ROTC.

Jeszcze tego życiorysu nie napisał, więc pracujemy nad nim przez godzinę. Pomagam mu z czcionką i interlinią. Przyglądam się jego twarzy, szukając blizn po pinezkach.

- Znajdź pracę, którą tu zmyśliłem - mówi zadowolony z siebie.

Przeglądam życiorys.

- Praca w salonie pogrzebowym? - rzucam.

Wykonuje brzęczący odgłos jak z teleturnieju.

- Nie, wyprowadzanie psa. Pomyślałem, że to napiszę, na wypadek gdyby facet, który będzie robił ze mną wywiad, był na przykład miłośnikiem psów.

Stawia na sztorc kołnierz jesionki, a ja odprowadzam go do drzwi. Pyta o moją współmieszkan-  
kę.

- Nie twój typ - ostrzegam.

- Coś ty, kobitka, która lubi fajki? To mnie kręci. Może w przyszły weekend...

Mówię mu, że jej nie będzie.

- Będę cię chronił - obiecuje.

- Wspaniale - mówię, wypychając go za drzwi. - Przynieś pinezki.

- Rany, właśnie coś sobie przypomniałem. - W dłoni obleczonej już w rękawiczkę ściska swój  
życiorys i podanie.

- Co?

Wskazuje skinieniem głowy moje piersi.

- Sutki ci sterczą.

Zamykam drzwi, przekręcam klucz, zakładam łańcuch i zasuwam rygiel.

Dzwoni dziewczyna od kampanii reklamowej prezerwatyw „Lifestyle”, pyta, czy chcę się wy-  
brać do Cloisters pooglądać średniowieczne zbiory.

- Bardzo chętnie - mówię. Spotykam się z nią obok schodów metra.

- Och, El - mówi i kręci głową.

- Co?

- Jesteś taka ładna, dlaczego to sobie robisz?

- Co?

- Na przykład te włosy? - podpowiada.

Dotykam czubka głowy.

- I twoje ciuchy.

Patrzę na swoją wiatrówkę ze sklepu z używanymi ubraniami i wojskowe portki.

- Pokaż choć trochę ciała - mówi. - Zobaczysz, od razu zrobi ci się lepiej, jak włożysz choć tro-  
chę wysiłku w swój wygląd.

- Wiesz co? Nie jadę do Cloisters - ja jej na to. - Odechciało mi się.

- El, właśnie próbuję wyrwać cię z tego dołka.

Pstrykam palcami prawej dłoni. Potem lewej. Wpadam w rytm.

Śmieje się przez sekundę. A potem milknie.

- Co ty robisz?

Wciąż pstrykam. Lewa. Prawa. Lewa lewa prawa prawa prawa lewa.

- El - mówi. - Uspokój się.

Usiłuje trzepnąć moje dłonie swoimi, ale robię unik. Jestem zbyt szybka, zbyt giętka, jestem maszyną do pstrykania. Podnoszę palce do jej uszu i pstrykam. Próbuje pstryknąć w jej bębunki. Odwraca się. Idę za nią połowę przecznicy, pstrykając, aż w końcu rzuca się do biegu.

Dzwoni telefon. To Nick, który chce rozmawiać o sprawach, o których już rozmawialiśmy: o komórkach jajowych, o Portugalii, o pieniądzach. I mam powiedzieć, kto to jest ten ktoś, kogo kocham bardziej niż jego.

Wyciągam wniosek, że kiedyś tam, w przeszłości, popełniłam błąd, bo z uwagi na jego stan traktowałam go jak dziecko.

- Powinieneś wiedzieć - mówię - że nie najlepiej mi się wiedzie.

- Jeśli nie przyjedziesz jutro - on mi na to - to się zastrzelę. Mówię poważnie.

Widzę szefa ochrony kampusu, który idzie obok kościoła Riverside ze studentką, która ma zaczerwienione oczy. Macham mu na przywitanie, a on zatrzymuje się, by spytać, jak mi leci.

- Świetnie - odpowiadam.

Włosy dziewczyny opadają strąkami na twarz.

Idę dalej, ale zatrzymuję się przy następnej latarni, do której przyklejony jest plakat. Mam nadzieję, że uda mi się przeczytać o tym, co jej się stało. Albo że może zobaczę jeden z tych plakatów ostrzegawczych, o których mi donoszono - ten o mężczyźnie z parku, na którym ktoś dopisał „Przepraszam”. Gromadzę w sobie odwagę na obie możliwości. Podchodzę do słupa, ze wzrokiem wbitym w chodnik. Liczę do czterech i patrzę na latarnię. To tylko ogłoszenie o zaginionym psie.

Dzwoni ojciec Nicholas: Nicholas próbował się zabić. Pokojówka znalazła go z pistoletem w ustach.

- Strasznie mi przykro - mówię.

Pamiętam, jak Nicholas uczył mnie strzelać. Pamiętam, jak podtrzymywał moją rękę - nie splótł palców z moimi, tylko ujął moją dłoń swoją. Pamiętam, jak zobaczyłam go siedzącego na ławce pod moim akademikiem, czekał na mnie. Czytał książkę i jednocześnie obrywał liście z krzaka, mnąc je i ciskając na ziemię. Przyglądałam mu się z daleka przez pełne pięć minut i myślałam sobie: *To jest mój chłopak, to jest osoba, której jestem najbliższa*. I poszłam dalej. Szłam i szłam, tak daleko, że o zmierzchu musiałam złapać stopa, by wrócić do kampusu.

Ojciec Nicholas pyta, czy zechciałabym przyjechać i zobaczyć się z jego synem.

Jadę metrem, a potem autobusem.

Spodziewam się, że Nicholas będzie leżał w szpitalnym łóżku, ale on jest na nogach, robi sobie kanapkę w kuchni. Jego kumpel James ściska mnie i wychodzi.

- Nicholas - zaczynam.

Jest jeszcze chudszy niż zazwyczaj, niemal jak szkielet.

- Jesteś tu.

Nie ma bandaży, nic. Nie wiem, dlaczego mnie to dziwi.

- Tu nie chodzi o mnie - mówię. - To nie ma nic wspólnego ze mną.

Próbuję jakoś nawiązać rozmowę, przypominam filmy, które widzieliśmy razem. Był taki okres, kiedy wypożyczaliśmy same nieme filmy.

- Pamiętasz tego faceta, którego widzieliśmy w *Głupich żonach*? - pytam, zdając sobie sprawę, że przemawiam do niego takim tonem, jakbym rozmawiała z podstarzałym rodzicem.

On dla odmiany chce rozmawiać o tym, jak to pływaliśmy razem nago w oceanie, do wydm, gdzie mogliśmy stanąć i się całować.

- O tak, woda była taka ciepła - mówię i staram się zmienić temat na coś niewinnego, coś z przeszłości: na przykład jak widzieliśmy Arethę Franklin na ulicy.

Patrzę mu w oczy, patrzę na to blade, bezwłose ciało, które zwykłam kiedyś gładzić dłońmi, wszędzie, nie myśląc o tym, co robię - tak jak się głaszcze dziecko. Czy jego skóra jest ciepła i chora, czy zimna i bliska śmierci? Mam ochotę dotknąć jego ręki, by to sprawdzić, ale się powstrzymuję.

Kiedy Nicholas zasypia - lekarz przepisał mu środki uspokajające - ojciec, który tego dnia nie nosi fularu, zaciąga mnie do salonu na rozmowę. Na kominku stoi kilka jego fotografii, na których obejmuje się z Reaganem, z Bushem; na jednym jedzie na wózku golfowym razem z Geraldem Fordem. Na innym podaje rękę Alexandrowi Haigowi, na niewielkim podeście przystrojonym białymi kwiatami.

Ojciec Nicholasa dziękuje mi za przyjazd. Jest taki smutny i biedny; nie potrafię uwierzyć, że to ten sam człowiek, który powiedział, że sobie schlebiam. Daje mi trzydzieści dolarów na taksówkę do domu. Schodzę i portier wzywa dla mnie taksówkę. Otwiera przede mną drzwi. Kiedy już mnie nie widać, wysiadam, płacę kierowcy i wracam do domu autobusem i metrem. Próbuję sobie gratulować, że zarobiłam dwadzieścia pięć dolarów.

Stoję w metrze, uwieszona u metalowego uchwytu, i stwierdzam, że wszystkich ludzi na świecie da się podzielić na dwa typy. Na takich, którzy odebraliby sobie życie, gdyby ich zdaniem sprawy przybrały zły obrót, i takich, którzy nawet jeśli są na skraju wyczerpania, jak tamten mężczyzna z parku, zauważą swój błąd i zawrócą, biegnąc szybko i nucąc sobie z ulgi.

Nicholas tylko siedział zgarbiony, gdy tymczasem ja stoję, gotowa walczyć, boksować, ogłuszać i zwyciężać. Moje pragnienie życia jest takie silne. Prawdziwy Cassius Clay. Wysiadam z metra kilka przystanków wcześniej, bo nie mogę ustać spokojnie. Muszę się ruszać. Idę i idę, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, machając nimi energicznie, moje nogi pracują jak maszyny, stopy w dwóch parach skarpetek zaczynają się pocić.

Nawet nie wiem, kiedy dochodzę do parku Riverside, w pobliżu Sto Ósmej. Przeszłam dwadzieścia sześć przecznic. Wracam tu po raz pierwszy. Zbiegam ze wzgórza i maszeruję aleją do miejsca, gdzie to się stało. Rękoma w rękawiczkach strzepuję śnieg z ławki. W drewnie są wyryte napisy, kto tutaj był, zapewnienia o miłości. Siadam. *Nie, nie tak. Zaczynij od początku.* Wstaję i wywracam kieszenie mojej nowej wiatrówki. Podszewka jest zielona. Cofam się po naszych śladach - od miejsca, gdzie mnie zagadnął, do ławki. Siadam raz jeszcze. Wyteżam słuch, czy nie usłyszę odkurzacza do liści. Wdycham powietrze, starając się poczuć zapach czarnej skóry, starając się poczuć czosnkową woń pistoletu. Podnoszę z ziemi patyk i przykładam go sobie do tego miejsca nad uchem. Recytuję *Na stacji metra.* Śmieję się: nic nie czuję.

Kiedy wchodzę do budynku, zatrzymuje mnie Danny.

- Mam coś dla ciebie - mówi. *Jeszcze jedna karta baseballowa,* myślę.

- Frank to zauważył i zdarł. - Frank to inny portier.

Danny wręcza mi zrolowany arkusz papieru. Muszę go trzymać lewą ręką u dołu i prawą u góry, żeby się nie rozwinął.

To policyjny plakat, z twarzą mężczyzny. Ale ktoś na nim dopisał „Przepraszam” niebieskim atramentem. Odręcznie, u samej góry. I są jeszcze inne poprawki, przy wzroście - 5'10" zostało wykreślone; na jego miejscu nagryzmołono 5'9". Kształt okularów na rysunku został poprawiony i tak zmieniony, by wyglądały na bardziej owalne, niż to zapamiętałam.

Robi mi się słabo. Paski plecaka nagle zdają mi się wrzynać w plecy.

- Dzięki - mówię.

Danny przywołuje dla mnie windę. Stoję zamknięta w środku kilka minut, aż drzwi się otwierają i widzę Danny'ego. Winda wciąż stoi w holu.

- Zapomniałaś wcisnąć numer piętra, Ellis - mówi.

Kiedy wjeżdżam na górę, nie wiem, co zrobić z plakatem. To zresztą nawet nie jest plakat: to kawałek papieru wielkości listu; po prostu wydaje się większy. Zabieram go do kuchni i popatruję na niego, robiąc sobie rosół, a potem kawę. Zabieram go ze sobą do jadalnego i patrzę na niego podczas jedzenia.

Wstawiam talerz, łyżkę i kubek do zlewu, a potem zauważam lep na muchy. Wciąż wisi, jak jakaś dziwna dziecięca zabawka, taka, którą się wieszka nad łóżeczkiem. Biorę do ręki plakat z napisem „przepraszam”, przyklejam go do lepu. Odejmuję dłoń, trzyma się.

Sara przyjeżdża! Przyjeżdża z Irlandii na jakieś wesele w Buffalo i przylatuje do Nowego Jorku. Nie widziałam jej od pogrzebu brata.

W swoim e-mailu pyta, czy może się u mnie zatrzymać na weekend poprzedzający wesele. Pora nie mogła być lepsza, bo nie będzie mojej współmieszkanek. Dostaję wiadomość we wtorek i jestem taka podniecona, że nie mogę zasnąć.



Idę do kuchni podgrzać sobie mleko. Do lodówki jest przyczepiona magnesem karteczka:

Z rozpacz wali mi serce

I w głowie mi się kręci

Dlaczego to zawsze ja

Muszę wyrzucać śmieci?

Jestem w bibliotece i właśnie szukam książki o katastrofie *Meduzy*, kiedy odwracam się i dostrzegam Toma. Na mój widok robi w tył zwrot i zaczyna się oddalać. Chowam książkę do torby, biegnę za nim.

- Hej - wołam, ale on idzie dalej. Obiegam go, stoję przed nim. Robi taki ruch, jakby zamierzał mnie obejść, ale ostatecznie się zatrzymuje. - Przepraszam - mówię. - Nie wiem dlaczego...

Gapi się na mnie, czekając, aż dokończę.

- Nie wiem dlaczego - powtarzam.

Idziemy do kawiarni, zamawiamy gorącą czekoladę. Dziwacznie nosi okulary - nasadzone na czoło, między linią blond włosów a brwiami. Patrzy na moje ciemne włosy à la młodzieniec Botticellego, ale nie komentuje.

- Nie jest mi przyjemnie to mówić, ale ciągle bylibyśmy razem, gdyby nie tamten incydent w parku - stwierdza.

- Mylisz się.

- Nie, myślę, że mam rację. Nie otwierałaś moich listów, prawda?

Potrząsam głową, że nie. Wyławiam odrobinę bitej śmietany z mojej czekolady. Dlaczego zawsze dają jej tak dużo?

- Muszę ci coś powiedzieć - mówi.

- Okay. - Jestem bliska powiedzenia „Wal”, ale nie mówię tego.

- Chcę ci powiedzieć, dlaczego tak obsesyjnie dążyłem do rozmowy z tobą. Dlaczego ciągle dzwoniłem, dlaczego pisałem te listy.

Nigdy go nie widziałam płaczącego, ale myślę, że gdyby miał płakać, to wyglądałby tak jak teraz.

- Tu chodziło o czas - mówi. - Zły czas. W dniu, w którym tobie stało się tamto, dowiedziałem się, że moja mama jest chora.

Patrzę na niego. Wyobrażam sobie jego matkę, kobietę martwiącą się o rakowatą narośl na jego nosie, kobietę, która chciała mnie poznać.

- Dlatego właśnie próbowałem się do ciebie dodzwonić - dodaje.

Pytam, na co choruje jego mama.

- Ma parkinsona - wyjaśnia.

Nie dodaje nic więcej, a ja mam kluchę w żołądku, w gardle.

- Nic jej nie będzie, teraz to wiemy. Ale przez jakiś czas... - Wsadza palce do swojej szklanki z wodą.

- A jak sobie radzą twoje siostry? - pytam.

- Nie najlepiej.

Na chodniku stoję na palcach i obejmuję go. Czuję jego pachnące chlorem włosy. Obejmuję go tak przez kilka minut. Mijają nas autobusy. Ludzie się gapią. Przytulam go i wiem, że to za mało. Obiecuję sobie: *Kogoś następnego będę kochała lepiej. Kiedy już będę gotowa na miłość, kiedy to będzie ktoś inny, żaden z tych ludzi, tylko po prostu ktoś inny, będę kochała lepiej. Oddam wszystko, co zabrałam. Nawet nie będą wiedzieli, co im się trafiło.*

W piątek dzwoni domofon i zbiegam na dół, by powitać Sarę. Ale to nie Sara, tylko przesyłka ekspresowa. To od koszykarki, która dołączyła liścik: „Przesyłam kopię twojego pierwotnego listu i odpowiedź, jaką przysłał nam ojciec”.

Podpisała list do swego ojca nie tylko swoim, ale również moim imieniem.

Kiedy Sara wchodzi do mieszkania, rzucamy się sobie w objęcia. Próbuję ją podnieść, ale nie daję rady. Jest może szczuplejsza ode mnie, ale o kilka cali wyższa.

- Ładne masz włosy - mówi z przekonaniem.

- A ty takie śliczne dołeczki. - Wsadzam palec wskazujący w jej prawy dołek. Uśmiecha się i dołek robi się jeszcze głębszy.

Pokazuję jej pokój mojej współmieszkanki.

- Powiedziała, że możesz tu zamieszkać - kłamię. Sara i ja sypiałyśmy czasem w jednym łóżku, ale ona się rozwała. A mnie powoli zaczyna się podobać sypianie w pojedynkę.

- Umieram z głodu - mówi. - Chodźmy się najeść, a potem upić.

Idziemy do pizzerii i zamawiamy tuzin grzanek czosnkowych. Włoch za kontuarem, o grubym karku ciężarowca, daje nam trzy więcej za darmo.

Idziemy do centrum, w międzyczasie wyznaczam sobie tempo: jeden drink na jej dwa. Od czasu przeprowadzki do Irlandii Sara potrafi pić za dwóch.

Opowiada mi, że była na kilku randkach z facetem, który prowadzi teatrzyk dla dzieci. Jest lalkarzem.

- Podczas przedstawień widzisz jego twarz czy tylko ręce? - pytam.

- Nie, to nie tak. On nie stoi za jakąś ścianą czy coś tam. Chodzi, wpada na różne przedmioty, przeżywa przygody. - Śmieje się, końcówki jasnobrązowych włosów wpadają jej do piwa. - Jest bardzo mały, zupełnie jak dziecko. Ale w telewizji wygląda na normalnego - mówi. - Pokochałabyś go.

Postanawiamy przejść się do innego baru, gdzie są tańsze drinki i lepsza muzyka. Na zewnątrz, na ulicy, ktoś rzuca śnieżką w Sarę. Odrzuca śnieżkę i idzie dalej.

- Boże, jak ja się za tobą stęskniłam - mówię.

W następnym barze mają maszynę do gry w pinball, z sylwetką Remingtona Steele'a, detektywa z serialu telewizyjnego. Jest ubrany w smoking. Siadamy na długich ławach. Stół jest udekorowany menorami i serwetkami z napisem „Ho ho ho”.

- Ciągłe te świąteczne dekoracje - zauważa Sara.

- W tym pubie zawsze jest Gwiazdka - wyjaśniam. - To ich motyw przewodni.

Rozmawiamy o zasiłkach, o tym, że zna Amerykanów, którzy jeżdżą do Irlandii i żyją z nich.

- Żalotne - komentuję.

- El - odzywa się za moimi plecami kobiecy głos. Obracam się.

- Tak też myślałam, że to ty - mówi kobieta.

Dopiero po chwili ją rozpoznaję: Melissa. Studiuje historię sztuki, pisze pracę na temat japońskich parawanów z krajobrazami. Czasami widuję ją w stołówce w Avery Hall: zazwyczaj samotnie skubie jakieś ciastko. Nie nosi butów na obcasach; na obcasach miałyby ponad sześć stóp wzrostu.

Przedstawiam ją Sarze.

- Czekam na kogoś - mówi Melissa. - Czy mogę z wami posiedzieć, dopóki on nie przyjdzie?

Zdejmuję swoją kurtkę z ławy, wieszam ją na haku pod stołem. Kiedy Melissa wstaje, by kupić sobie drinka, Sara wspomina swoją ostatnią wycieczkę po Irlandii Północnej, że ludzie tam uważają, że są w takiej samej sytuacji jak Palestyńczycy. Rozmawiamy o Wielkim Głodzie.

- A skoro już mowa o Wielkim Głodzie - mówi Melissa, kiedy znów siada obok nas - pamiętacie tamtą aferę z Danem Quayle'em?

Do środka wchodzi reprezentant świata. Z początku wydaje mi się, że to zbieg okoliczności, ale Melissa obraca się twarzą ku niemu.

- Hej, tutaj! - woła.

Reprezentant świata podchodzi do naszego stołu i na mój widok nieruchomieje. Potem jednak przysiadła się do nas.

- Hej - wita się z nami.

Widzę go po raz pierwszy od powrotu. Nie ma już czerwonej twarzy: jest brązowa jak orzechy laskowe. Może to pod wpływem zmiany leku.

- Cześć - mówię. - Dzięki za strusia.

- Próbowałem znaleźć...

- Wiem - ucinam.

Coś z nim nie tak. W ogóle nie mruga.

Gada bez przerwy przez dobre dwadzieścia minut, o jakimś młodocianym geniuszu, którego widział w telewizji. Sara ziewa, nie zakrywając ust. Nigdy go takim nie widziałam; nigdy go nie widziałam na haju. Wymawiam się, idę do toalety.

Zamykam się w przegrodzie i słyszę, że do toalety wchodzi ktoś jeszcze. W szparze pod pokrytymi graffiti drzwiami widzę buty Melissy. Czekam, aż pomaluje usta albo umyje ręce i wyjdzie. Na ścianie po mojej lewej stronie jest umocowany pojemnik podobny do skrzynki na listy z napisem: „Tu wrzucać zużyte podpaski”. Ktoś tam dopisał: „Drogie laski”. Otwieram wieko pojemnika, opada z głuchym trzaskiem. Niech Melissa myśli, że dlatego właśnie siedzę tu tak długo. Właściwie po co mi wymówka, żeby z nią nie rozmawiać? Stwierdzam w końcu, że ona jednak donikąd się nie wybiera. Spuszczam wodę i wychodzę. Podchodzę do umywalki, odkręcam wodę. Kurek z zimną najwyraźniej nie działa, więc płynie tylko gorąca. Tak gorąca, że aż parzy.

- Muszę ci coś powiedzieć - mówi Melissa. Patrzy mi w oczy w lustrze. - Cały ten czas, kiedy umawiał się z tobą, umawiał się też ze mną.

- Co? - pytam. - Kto?

Melissa kiwa głową w stronę wnętrza baru. Kiedy to robi, jej ażurowy kolczyk zaplątuje się we włosy. Wyszarpuje go na siłę.

- Martwiliśmy się o ciebie. I było nam głupio, ale nie wiedzieliśmy, co robić.

- Nie przejmuj się tym - mówię. W głowie mam kalendarz; wiem, co się działo każdego dnia od drugiego grudnia. - Kiedy zaczęliście się spotykać?

Mówi, że pod koniec listopada.

Naciskam guzik suszarki do rąk, rozcieram dłonie w strumieniu ciepłego powietrza.

- Czuję się okropnie - mówi Melissa, podnosząc głos, by zagłuszyć szum. W ostrym świetle jej skóra wydaje się cienka i pognieciona jak papirus. Przypomina mi się plotka, że na jakiejś imprezie zeszłej jesieni napuściła wody do wanny i próbowała się utopić. Ktoś ją powstrzymał. Ciekawe, kto taki.

- Nie przejmuj się tym - powtarzam. - Proszę.

- Ale ja się przejmuję. No bo jestem prawie w jego wieku. A ty jesteś taka młoda i w ogóle...

Unosi grzywkę z mojego czoła, jakby chciała to podkreślić: że nie mam ani jednej zmarszczki. Chwytam ją za rękę.

- Nie dotykaj mnie - mówię spokojnie.

Przy stole reprezentant świata rozmawia z Sarą o Nicejskim Wyznaniu Wiary.

- W Kościele katolickim mówią, że Chrystus zmartwychwstał, jak oznajmia Pismo. W episkopalnym mówią, że zgodnie z Pismem. - Nadal nie mruga. - To wielka różnica.

Staję za Sarą, pochylam się nad jej głową.

- Idziemy.

Kiedy wędrujemy w stronę „Białego Konia”, powtarzam Sarze plotki, jakie słyszałam na temat Melissy i wanny. Sara mówi coś o reprezentancie, że on jest jakiś taki świątobliwy.

Mówię jej, że pierwszego wieczoru, który spędził ze mną, poszedł do domu wcześniej, bo musiał wstać rano do kościoła. Opowiadam jej o krzyżu wiszącym nad jego łóżkiem.

Sara przystaje. Nie potrafi jednocześnie iść i myśleć, co czasami doprowadza mnie do szału.

- Nie, nie świątobliwy, tylko świętoszkowaty. - Mocno akcentuje ten wyraz.

- Nie rozumiem?

- Mówi jedno, a jednocześnie wykorzystuje panienki, którym się wydarzyło coś paskudnego.

- Tak - zgadzam się z nią. - Chyba tak. - W ogóle mi to nie przyszło do głowy.

Sara zaczyna mówić z włoskim akcentem.

- Amerykańscy mężczyźni są tacy słabi.

Małpuje teraz moją matkę. Matka zawsze to mówi o Amerykanach.

Kręcę głową, komentując akcent Sary. Idziemy w milczeniu pół przecznicy.

- I co? - odzywa się wreszcie.

- Z czym?

- Co się dzieje z tym facetem, który cię napadł? 202

Mówię jej, że nie mają żadnych śladów. Wspominam popisane plakaty.

- Widziałam - mówi Sara.

- Co?

- W twoim mieszkaniu, na lepie na muchy.

- Ano tak.

- Co ty na to? - pyta. - Myślisz, że to on? Mówię jej, że tak.

Po drodze do domu wstępujemy do piekarni czynnej całą dobę. Pytamy, jak się piecze bagietki.

Biorą nas na wycieczkę.

- Proszę, przenieś się do Nowego Jorku - mówię.

- A co ja bym tu robiła?

Mężczyzna, który podawał nam grzanki czosnkowe, puka do nas z drugiej strony szyby pizzerii.

Podchodzi ze swoim współpracownikiem do drzwi, otwiera je.

- To te czosnkowe dziewczyny - mówi facet o grubym karku.

Sara i ja machamy do nich rękami w rękawiczkach.

Kiedy wchodzimy do holu, Danny woła:

- Daphne!

- To jest Sara - mówię.

- Sara - powtarza Danny. Podchodzimy do mojej skrzynki. W windzie Sara pyta:

- Co to było?

- On sobie ubrał, że jego żona i córka, najbliższe mu osoby, które stracił, wejdą pewnego dnia do tego holu.

Otwieram kopertę od koszykarki. To czek na trzy tysiące dolarów. „Twoja dola”, mówi dołączona karteczka. Pokazuję to Sarze. Wytrzeszcza oczy.

- Będziesz miała za co przyjechać do Irlandii - cieszy się, kiedy już wysiadamy z windy.

Pod moimi drzwiami, na podłodze leży jakiś mężczyzna. Sara nieruchomieje. Ja się cofam. Mężczyzna budzi się, przewraca na drugi bok. Chłopak z ROTC.

- Wygodnie ci? - pytam.

- Tak - mówi. - Ostrzegałem, że będę cię pilnował. Zauważam, że gapi się na długie nogi Sary.

- Chodź do środka - zapraszam go. - Możesz się przespać na kanapie.

Chłopak z ROTC budzi się późno. Przychodzi do kuchni, bosy.

Mam dłonie ubrudzone ciastem.

- Robimy gofry - wyjaśniam.

Zjada jedenaście gofrów. Sara i ja przyglądamy się temu ze zdumieniem.

- Lubisz Joyce'a? - pyta Sarę.

- Tak - odpowiada. Chłopak z ROTC uśmiecha się.

- Joyce jest zajebisty - stwierdza.

Opowiada nam, że chce robić reklamy Guinnessa. Jego zdaniem kampanie reklamowe browarów nie oddają sprawiedliwości spuściźnie literackiej Irlandii.

Sara wykonuje dla nas taniec celtycki. Ma węzlaste kolana, dziwnie wykrzywia łydki.

Że też nie jesteśmy bliźniaczkami, byłoby zabawnie.

Chłopak z ROTC idzie do łazienki, a potem wraca do dużego pokoju, parszcząc swym świńskim śmiechem.

- Hej - mówi. - A niech mnie, co ja znalazłem w twoim pokoju!

Sara i ja idziemy tam za nim.

Na ścianie wisi stary plakat z *Ogrodem rozkoszy ziemskich* Boscha.

- Nie potrafię uwierzyć, że ty to masz - mówi chłopak z ROTC.

Pytam, co go tak dziwi.

- Dziewczyny z college'u to wieszają, jak chcą pokazać, że lubią seks.

Staję na łóżku i zdzieram plakat, jednym ruchem ręki. Na ścianie zostają strzępki niebieskiego kleju.

- O, tak jest ładnie - stwierdza chłopak z ROTC.

Na odchodnym obiecuje, że zadzwoni później, że jego dobry kumpel, G.P., z którym kiedyś grał w hokeja, przyjeżdża pociągiem z Waszyngtonu i że wszyscy razem powinniśmy wyskoczyć na miasto.



- Ten G.P.\* to jakiś lekarz?

- Co? - pyta.

A potem uderza się w czoło otwartą dłonią. Wybucham śmiechem.

\* G.P. co skrót od *general practitioner*, oznaczający lekarza ogólnego (przyp. tłum.).

Sara i ja idziemy kupić dla niej buty, żeby miała się w co ubrać na wesele. Idziemy do sklepu należącego do sieci dyskontowej „Truskawka”. Wszystkie ceny kończą się dziewięćdziesięcioma dziewięćcioma centami.

Jest początek lutego, więc większość butów wystawionych na sprzedaż to plastikowe zimowe botki, ale Sarze udaje się znaleźć białe czółenka na szpilkach.

Przymierza je.

- I co myślisz? - pyta.

- W życiu nie widziałam śmieszniejszych butów. Idzie do kasy, żeby zapłacić.

Wybieramy się do kina na trójwymiarowy pokaz *Szczęk*. Po seansie Sara uparcie nie chce zdjąć swoich trójwymiarowych okularów, z jedną soczewką czerwoną, a drugą niebieską. Idziemy przez Central Park, ona cały czas w okularach. Wędrujemy Piątą Aleją, obok hoteli, do których wejścia zwieńczają markizy, obok turystów z torbami od Barneysa i Henriego Bendela, a ona wciąż ich nie zdejmuje.

W pobliżu Pięćdziesiątej Piątej Sara chce wejść do hotelu „St. Regis”.

- Nad barem mają fresk Maxfielda Parrisha, jego ilustrację do wiersza *Old King Cole* - mówi. Sara wychowała się w New Hampshire, bardzo blisko studia Parrisha. W college'u nad jej biurkiem wisiał kalendarz z reprodukcjami ukochanego malarza - co roku ten sam kalendarz.

- Jest czwarta. Masz ochotę na herbatę? - pyta ze swoim nedorzecznym irlandzkim akcentem.

- Pewnie.

Kiedy wspinamy się po schodach do wejścia, chowa trójwymiarowe okulary do torebki; robi z tego prawdziwe widowisko.

Pytamy w recepcji hotelu, gdzie znajdziemy fresk. Kierują nas do baru „King Cole”. Mijamy harfistkę o długich złotych włosach, która gra jakąś eteryczną muzykę. Za barem widzimy fresk - zajmuje prawie całą szerokość ściany.

- Namalował go za jednym zamachem - mówi Sara. - Parrish pochwalił się kiedyś, że potrafi namalować wszystko, na co Hemingway - tak mi się wydaje, że to był Hemingway - powiedział: „Założę się, że nie namalujesz pierdnięcia”.

Patrzemy na obraz: ludzie najbliżej King Cole'a odwracają od niego nosy.

Siadamy na kanapie, obie twarzami w jednym kierunku, zamawiamy herbatę i słodkie bułeczki. Wpada mi do ucha, co mówi jakaś kobieta za moimi plecami:

- Często się zastanawiam, jakie byłoby nasze życie, gdybyśmy się pobrali, zamiast ty z Ellen, a ja z Johnem.

Na co męski głos odpowiada jej:

- Pewnie i tak mielibyśmy romanse. Ty zdradzałaś mnie z Johnem, a ja ciebie z Ellen.

Kobieta śmieje się. Sara i ja patrzymy na siebie. Żadna z nas nie chce się odwrócić, gapić na nich. Popijamy naszą herbatę i obie zakładamy sobie włosy za uszy.

Kiedy kończymy herbatę, kelner przynosi nam rachunek. Dołącza do niego pocztówkę z fre-skiem Parrisha. Sara upiera się, że to ona zapłaci. Kłócimy się, potem dzielimy rachunek na pół, wsta-jemy i obracamy się, by przyjrzeć się parze, której rozmowę podsłuchiwałyśmy. Mają po osiemdziesiąt lat! Co najmniej. On nosi garnitur, a do tego tenisówki; ona ma siwe włosy o jakby lawendowym od-cieniu.

Kiedy wychodzimy, trącam Sarę łokciem.

- Wiem - mówi Sara. A potem: - Och czekaj. - Znowu to robi; mówi coś i wyraźnie nie jest w stanie jednocześnie iść.

- Co?

- Zapomniałam zabrać pocztówkę. Zaraz wracam.

Mam już na sobie moją wiatrówkę, jest piękny zimowy dzień.

- Czekam na zewnątrz.

Wychodzę przez obrotowe drzwi, a potem stoję pod zieloną markizą. Przyglądam się, jak portier wita pięcioosobową rodzinę, która wysiada z samochodu. Portier nosi muchę i ciemnozieloną, wełnia-ną kamizelkę z błyszczącymi guzikami. Na ramionach kamizelki i bokach zielonych spodni ma naszyte złote szamerunki. *Co za koszmarny strój*, myślę sobie. Na głowie ma czarny kapelusz, dzięki któremu jest o sześć albo siedem cali wyższy. Wygląda jak kapelusz magika.

Przyglądam się, jak uchyla kapelusza, a potem wchodzi do budki portiera, która mieści się mię-dzy dwoma obrotowymi drzwiami. Budka jest złota, wygląda jak wehikuł czasu. Na chodniku kręci się więcej takich mężczyzn w ciemnozielonych kamizelkach i wysokich kapeluszach; przywołują taksów-ki dla wychodzących gości, otwierają drzwi i dźwigają bagaże tych, którzy przyjeżdżają.

Właśnie wtedy go zauważam. Ma na sobie zieloną kamizelkę, zielone spodnie, przywołuje tak-sówkę dla jakiegoś mężczyzny i jego córki.

Nosi te same okulary od Armaniego.

To on.

Pracuje w tym hotelu, pomaga turystom i biznesmenom, życzy im miłego pobytu. To on.

Naciągam kaptur wiatrówki na głowę; nie noszę tego niebieskiego płaszcza co wtedy. Rozpoznaj mnie, jeśli mnie zauważy? Mam teraz inne włosy.

Mam ochotę rzucić się do ucieczki, pobiec w głąb ulicy, biec i biec.

Albo podbiec do niego, klepnąć go w to ramię ze złotym szamerunkiem. *Dlaczego go nie zauważyłam, kiedy wchodziłyśmy do hotelu? Może dopiero zaczynał swoją zmianę. Albo może był w tej złotej budce, w wehikule czasu. Czy pracował w dniu, w którym się poznaliśmy, tamtego dnia w parku? Czy potem pobiegł z powrotem do pracy?* Wszystkie te pytania wydają się ważne. Tylko co by zmieniły odpowiedzi?

Kiedy tak stoję i patrzę, na schodach pojawia się kobieta o lawendowych włosach. Mężczyzna z parku kłania się jej, przywołuje taksówkę, otwiera tylne drzwi i zamyka je za nią.

Potem z budynku wychodzi towarzysz kobiety i mężczyzna z parku zatrzymuje taksówkę dla niego.

- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu - mówi mężczyzna z parku. To ten sam głos.

- Co jest? - słyszę za sobą głos Sary.

- Nie rozumiem?

- Masz łzy w oczach.

- Dopiero co przeżyłam szok - mówię.

- Co się stało? - Rozgląda się dookoła. Omija go wzrokiem. W życiu nie dopatrzyłaby się tu związku, a ja nie chcę pokazywać go palcem.

Muszę pomyśleć. Nie chcę, żeby ktokolwiek - nawet Sara - mówił mi, co robić.

- Czy ta budka nie wygląda jak wehikuł czasu? - pytam. - Może znajdujemy się w przeszłości albo przyszłości. - Przymuszam się do śmiechu.

Sara lekceważy moje spostrzeżenia; nawet nie patrzy w kierunku budki.

- Co się stało? - pyta raz jeszcze.

- Ktoś wsadził rękę do kieszeni w poszukiwaniu papierosów, a mnie się wydało, że sięga po coś innego - kłamię. - To był ten sam ruch. Już milion razy go widziałam, a i tak ciągle wariuję ze strachu.

- Och, El. - Sara wyjmuje trójwymiarowe okulary z torebki i wkłada mi je na twarz, zaczepiając swymi długimi palcami kartonowe oprawki za moimi zziębniętymi uszami.

Schodzimy wyłożonymi dywanem schodami, po drodze mijając tego człowieka. Patrzę na niego przez okulary, ale do niego nie dociera, że ja to ja. Jestem tym tak zdumiona, że przez chwilę się zastanawiam, czy to jednak może wcale nie on. Ale potem spuszczam wzrok i widzę, że ma sznurowadła zawiązane na podwójne kokardki.

- Dokąd teraz? - pytam Sarę. Idę i szepczę - boję się, że usłyszy mój głos.

- Powinnam kupić jakiś prezent dla nowożeńców - również szepcze Sara.

- Jaki prezent?

- Nie wiem. Może gofrownicę. Naprawdę lubię gofry.

Kiedy tak idziemy, słowa szybują mi w głowie niczym latawce, a ja staram się ucześcić choć jednego. Przypominają mi się wiersze, które recytowałam mężczyźnie, kiedy byliśmy w parku. Próbuję sobie przypomnieć ostatnie strofy wiersza Larkina, te, które wtedy zapomniałam, te, których do dziś nie mogę sobie przypomnieć, nawet teraz.

Znajdujemy sklep, w którym sprzedają urządzenia kuchenne, wstępujemy, by obejrzyć gofrownicę. Jest ich mnóstwo. Są okrągłe i są kwadratowe. Jedne to ciężkie maszyny niemieckiej produkcji, inne wyglądają na lekkie, przenośne. Stoją w rzędach na dwóch długich półkach. Idę wzdłuż stoiska, otwierając je i zamykając. Wkładam dłoń do takiej, która wygląda na przemysłową, dociskam górę. Kiedy wyciągam rękę, z zadowoleniem zauważam, że gofrownica pozostawiła na niej odcisk.

Konieczność sprawdzić ten wiersz. Może to pomoże. Może to po prostu jakaś dorosła wersja dziecięcych podchodów, na które wysłano mnie przemocą, i jeśli dalej będę szukać, znajdę odpowiedź. Otwieram i zamykam gofrownicę, wciąż szukam.

- El? - mówi Sara. - Co się dzieje?

- Tylko staram się na coś zdecydować, tak żeby było dobrze.

- Ale ja już znalazłam. - Pokazuje pudło, które trzyma w rękach. To ta przemysłowa.

Torba jest zbyt ciężka, by mogła nieść ją sama, więc po drodze do mojego mieszkania targamy ją do spółki, każda za jedno ucho. Kiedy uchwyty za bardzo się już wrzynają w nasze zaczerwienione dłonie, zmieniamy się stronami.

Po drodze mijamy małą dziewczynkę o prostych blond włosach i niebieskich oczach osadzonych odrobinę za blisko. Zatrzymuję się, odprowadzam ją wzrokiem.

- Za duża - mówi Sara.

W pobliżu mojej kamienicy zauważam młodą kobietę idącą samotnie; jej płaszcz musiał być kupiony na Florydzie albo w Kalifornii - gdzieś, gdzie wystarczają takie cienkie płaszcze. Kobieta z wyglądu ma tyle lat, na ile ja musiałam wyglądać kilka miesięcy temu. Zastanawiam się, czy jednak powinnam to zrobić, czy powinnam powiedzieć glinom o człowieku przywołującym taksówkę. Dla jej dobra.

Kiedy Sara bierze prysznic, przeglądam mój portfel w poszukiwaniu wizytówki policjantki, do której miałam w razie czego dzwonić. W dużym pokoju zauważam patyczki do czyszczenia uszu, które moja współmieszkanica trzyma na telewizorze. Czyszczę sobie ucho. Potem biorę jeszcze jeden i wydłubuję nim brud i drobiny wyściółki rękawiczek z paznokci.

Wykręcam ten numer. Policjantka odbiera, a ja muszę jej przypomnieć, kim jestem.

- Studiuję na Columbi. Incydent w parku, w pobliżu Sto Ósmej, w grudniu - tłumaczę, ciekawa, który z tych szczegółów uruchomi jej pamięć.

- A tak, rzeczywiście - mówi ona i jej głos łagodnieje. Myślę o fotografiach, które widziałam u niej na biurku.

Na jednej była ona z synem, który nie miał przednich zębów. Na drugiej była ona z ojcem, który, wiem od niej, też był policjantem. Na fotografii siedział w wózku inwalidzkim.

- Co mogę dla pani zrobić? - pyta.

Chcę wiedzieć, czy zdarzyły się jeszcze jakieś incydenty podobne do mojego. Mówi, że nie.

- A czy coś podobnego przydarzyło się już kiedyś wcześniej? - pytam - Komuś innemu?

- Nie - odpowiada policjantka. - Ten pani człowiek nie zrobił tego nikomu innemu. Pani była pierwsza i niewykluczone, że jedyna.

- Ale kiedy przeglądałam zdjęcia...

- To były zdjęcia, które robimy sprawcom najrozmaitszych przestępstw. Handel narkotykami, kradzieże samochodów, podpalenia.

- Aha. No to dziękuję - mówię.

- Nie ma sprawy - odpowiada. - Wie pani, gdzie mnie znaleźć, gdyby się coś okazało.

- Tak - mówię i milknę.

- Czy mogę jeszcze w czymś pani pomóc?

Biorę do ręki jedną z fajek leżących na stole, wacham ją, wdycham jej ostrą woń. Próbuję sobie przypomnieć, jak dokładnie pachniał pistolet, ale nie potrafię.

- Nie. Do widzenia.

Idę do kuchni. Plakat wciąż wisi, przyklejony do lepu na muchy. Teraz, kiedy znowu go widziałam, dostrzegam, do jakiego stopnia policyjny portret nie zgadza się z rzeczywistością. Nie oddaje właściwie szerokości nosa. Nie pokazuje cienkiej górnej wargi.

- Wiem, gdzie cię szukać - mówię do plakatu i pstrykam w niego palcem. Nie mam pojęcia, co zrobić z tym, co wiem.

Tamtego wieczoru spotykamy się na stacji metra z chłopakiem z ROTC i jego kumplem G.P.

- Kiedy się dowiedziałem, że nasz *compadre* tutaj to poeta, byłem totalnie zszokowany - mówi G.P. - Byłem z jakimiś facetami z drużyny hokeja i zauważyliśmy plakat reklamujący czytanie poezji i na nim jego nazwisko. Poszliśmy, bo byliśmy pewni, że to jakieś jaja. Ale on czytał wiersze przez godzinę i zupełnie nas wzięło, wszyscy poczuliśmy to tutaj. - Uderza się w serce przez czarną kurtkę narciarską. Chłopak z ROTC nie zwraca uwagi: Sara paraduje przed nim w swoich nowych butach, wykręcając łydki to w tę, to w tamtą stronę.

G.P. chce zagrać w bilard.

- W Waszyngtonie jest za mało stołów do bilarda - skarży się.

Idziemy do baru przy Wschodniej Piętnastej, gdzie są stoły do bilarda i tablica, na której trzeba się zapisać.

Chłopak z ROTC wypisuje fioletową kredą nazwiska z komiksów i gier komputerowych: Jack Mehoff, Haywood Jablowmie, Mike Hunt. Pozostali przy barze skarżą się.

Chłopak z ROTC i Sara są w jednej drużynie, G.P. i ja w drugiej. Przegrywamy.

- Jesteś beznadziejna - mówi mi G.P.

Oglądam się w samą porę, by zauważyć, jak chłopak z ROTC całuje Sarę w szyję, gratulując jej. Czuję się szczęśliwa, bo widzę, że jej dołeczki robią się teraz ogromne przy każdym uśmiechu. Idę do baru i przynoszę wszystkim po piwie.

- Guinness - mówię.

- Jaki tam guinness, za szybko ci nalali - zauważa Sara.

Chłopak z ROTC patrzy na nią takim wzrokiem, jakby miał tylko to jedno marzenie: żeby powiedziała „tak”.

G.P. i ja siedzimy przy barze w drugiej sali. Oboje wiemy, co się dzieje z chłopakiem z ROTC i Sarą; żadne z nas nie chce przeszkadzać.

G.P. zamawia nam obojgu po niebieskim drinku.

- Z czego to? - pytam.

- Z niebieskiego świnstwa - on na to. Wskazuje gestem chłopaka z ROTC i dodaje: - Kiedyś przed meczem pomalowaliśmy się cali na niebiesko.

Pytam dlaczego.

- Nie pamiętam - mówi. Wygląda na zakłopotanego. Zdejmuje swój brązowy sweter, a ja w milczeniu pragnę, żeby go na powrót ubrał. Jego mięśnie są zbyt wielkie, jakby karykaturalne.

Opowiada, że kończy studia prawnicze w Georgetown.

- Wiesz, dlaczego w niektórych firmach prawniczych dają swoim pracownikom po dwadzieścia dolarów w każdą środę? - pyta.

Nie wiem.

- Bo kiedyś tak było, że w środy służące miały wychodne. Ta dwudziestka była po to, żeby prawnicy mogli zabierać swoje żony na kolacje.

- Na to właśnie będziesz wydawał pieniądze, kiedy się ożenisz? - pytam. Chłopak z ROTC powiedział mi, że G.P. jest zaręczony, że żeni się w czerwcu z dziedziczką fortuny zarobionej na produkcji rajstop. Czekał ich miesiąc miodowy w Australii.

- Cheryl, moja narzeczona...

Kiwam głową.

- Cheryl - powtarzam.

- ...też kończy prawo i też będzie pracowała dla jakiejś firmy - mówi. - Więc pewnie będziemy sobie wzajemnie stawiać.

Uśmiecham się. On upija łyk swojego drinka.



- Skąd jesteś? - pytam.

- Z Delaware. Albo jak lubię mówić, Dela-co?

Czeka, aż się roześmieję; nie śmieję się.

- Byłem tam na Boże Narodzenie - mówi.

- Jak było?

- Częściowo dobrze, częściowo źle. Zastanawiam się, o którą część spytać. Zanim się decyduje, on mówi:

- Zostałem napadnięty.

- Naprawdę? - Obracam się na stołku, niechcący trącam kolanami jego kolana. Poprawiam się.

- Tak, kiedy byłem w domu, musiałem jeździć wozem ojca, jego beemwicą, no i pojechałem z kumplami do baru w niezbyt wspaniałej dzielnicy. Wyszedłem o czwartej i ten facet pojechał za mną.

- Bomba - mówię.

Pytam o szczegóły, jak ten człowiek go zaszedł.

- Próbowałem wejść do domu, do domu moich rodziców, a frontowe drzwi zawsze się zacinają. Więc kłamałem sobie i majstrowałem kluczem, kiedy usłyszałem, że ktoś jest za mną.

Opowiada, że obrócił się i zobaczył faceta, najwyżej dziewiętnastoletniego, który był czarny i przeproszał, a trzymał pistolet.

- Gdzie była broń? - pytam. - Celował nią w ciebie?

- Nie, niezupełnie. Leżała płasko w jego dłoni, jakby to było coś, co upuściłem, i on chciał mi to oddać.

- Czego chciał? - pytam.

- Pieniądzy - mówi G.P. protekcjonalnym tonem.

- To wcale nie jest głupie pytanie - mówię.

- A czego innego mógłby chcieć?

- Rodowych mebli, brylantów twojej matki - wymyślam. - Mnóstwa rzeczy.

- Tak, ale ten facet chciał tylko pieniędzy. Powiedział że potrzebuje na prezenty gwiazdkowe dla rodziny.

Żuję słomkę.

- No więc otwieram portfel, ale mam tylko dziesiątaka. Na co koleś kręci głową, że to nie wystarczy, jakby on coś sprzedawał i ja proponowałbym za niską cenę. Mówię mu, że trzeba sprawdzić bagażnik samochodu mojego taty; zawsze wozi tam kupy pierdoł. Chłopak uznał, że to dobry pomysł.

G.P. zamawia jeszcze dwa niebieskie drinki i mówi, że w bagażniku nic nie było. „No to co robimy?“, spytał chłopak z pistoletem. G.P. zaproponował przejażdżkę do bankomatu. Chłopak na to, że chce trzysta dolców, największą kwotę, jaką można pobrać. Wsiadli do bmw ojca.

- Ty prowadziłeś? - pytam.

- Tak. Przemyślałem wszystko. Pod wpływem adrenaliny myślało mi się zdumiewająco jasno.

Kiwam głową.

- Wpadłem na to, że jeśli zostawimy tam jego samochód, obok mojego domu, to on mi nic nie zrobi, no bo ten samochód będzie dowodem.

- Co robił, kiedy jechaliście? - pytam.

- Podziwiał skórzaną tapicerkę.

- Gdzie był pistolet?

- Wciąż w jego ręce. Nawet przez chwilę nie był wycelowany we mnie.

Pojawiają się nasze drinki. G.P. ma niebieskie zęby. Przejeżdżam językiem po swoich zębach, próbując oczyścić ten osad. Jest północ, w barze jest tłoczno i głośno. Pochylam się w jego stronę, słucham.

Opowiada mi, że poszli do bankomatu, że wyciągnął pieniądze.

- Trzysta dolarów?

- Tak.

- I co było potem?

- Wróciliśmy pod mój dom, zaparkowałem i obaj wysiedliśmy. Ale chłopak nie wrócił od razu do swojego samochodu. Zamiast tego podszedł do okna i kiedy zaglądał do środka, ja wyrwałem mu pistolet.

- Żartujesz sobie!

- Nie - mówi. - Jest srebrny, całkiem niczego sobie.

- Czemu to zrobiłeś? Stwierdziłeś, że on jest ci coś winien czy jak?

- Ale tam. Zupełnie na odwrót.

- Ty mu byłeś winien?

- No nie wiem. To było trzysta dolców. I miały być na prezenty gwiazdkowe, w to akurat wierzę.

- Interesujący sposób patrzenia na sprawę - mówię. Całkiem poważnie.

Pytam jeszcze raz, dlaczego zabrał pistolet; pytam, czy się bał.

- Jasne, że nie - odpowiada, a mnie jest głupio, że w ogóle spytałam. - W tym momencie, rozumiesz, stwierdziłem, że jesteśmy kwita.

Zauważam, że taksuje wzrokiem dziewczynę w czerwonych, skórzanych spodniach po mojej lewej stronie. Pytam, czy przekazał pistolet policji jako dowód.

- Nie, zatrzymałem go.

- Zatrzymałeś? Nic na to nie mówi.

Upijam łyk niebieskiego drinka.

- A to ci historia - mówi G.P. - Co? - Wygląda na zadowolonego, czeka na coś.

- Moja jest lepsza.

- Widziałaś go potem jeszcze? - pyta.

Udaję, że nie słyszę. Rozglądam się w poszukiwaniu Sary. Ona i chłopak z ROTC są w drugiej sali, tańczą. To wieczór przebojów z lat siedemdziesiątych, albo może kiedy robi się dostatecznie późno każdy bar staje się miejscem, gdzie puszczają takie przeboje. Sara chwyta mój wzrok, śpiewa razem z muzyką *Dancing Queen* i wskazuje samą siebie kciukami. Wszyscy noszą adidasy albo zimowe buty, tylko ona jest w białych szpilkach.

- Widziałaś go jeszcze kiedyś? - powtarza.

- Tak - mówię. - Właściwie to widziałam go właśnie dzisiaj.

- Dzisiaj?

- Tak, przywoływał taksówki pod hotelem, do którego poszliśmy z Sarą, bo ona wiedziała, że tam nad barem jest fresk Maxfielda Parrisha. Poszliśmy obejrzeć ten fresk. I on tam był. Wyglądał tak niewinnie. Jest portierem.

*Jest portierem, tak jak Danny.*

Patrzę na G.P., a potem na puste szklanki po niebieskich drinkach. *Z czego są te niebieskie drinki?*

Barman stawia kieliszek z tequilą przed G.P. i taki sam przede mną. Nie chcę tequili. Nagle zauważę, że powiedziałam.

- Ty, słuchaj - mówię. - Obiecuj, że nikomu tego nie powtórzysz.

- Przyrzekam.

- Zwłaszcza tego na końcu.

Trąca mój kieliszek swoim. Tequila pali mnie w gardle. G.P. odstawia hałaśliwie kieliszek na bar. Robię to samo.

O pierwszej w nocy wychodzimy z baru, żeby przywołać taksówkę. Stopy Sary krwawią od tańca w nowych tanich butach. Chłopak z ROTC próbuje uprawiać swoją zabawę w slalom samochodowy, ale jest za mało samochodów. Ulicą wolno sunie śmieciarka. Chłopak z ROTC i G.P. patrzą na siebie, potem biegną za śmieciarką i doskakują do niej. Sara i ja czekamy, aż zeskoczą, ale machają do nas i odjeżdżają w głąb ulicy, a potem znikają za rogiem.

Kiedy podjeżdża taksówka, wspieram Sarę, która utykając, wbija się w tylne siedzenie. Zamykam za nią drzwi, sama wsiadam z drugiej strony. Sara zdejmuje buty. Stopy ma czerwone od zimna i krwi.

- Pieką mnie - skarży się.

- Mam w domu mrożony groszek - mówię jej.

Zasypiam na kanapie, ze stopami Sary na kolanach, z torbą z groszkiem na jej długich, nieowłosionych palcach. Kiedy dzwoni domofon, moje uda są mokre i zimne od topniejącego lodu.

Sara otwiera oczy. Podchodzę do domofonu.

- Wasi koledzy są tutaj - mówi Danny.

- Kto?

- Ci dwaj duzi faceci.

- Powiedz im, że jest późno.

- Jest z nimi ktoś jeszcze - dodaje Danny.

Wyobrażam sobie jakąś kobietę, którą przywlekli ze sobą z jakiegoś klubu. Może poderwali prostytutkę. Są obrzydliwi.

- Każ im, żeby sobie poszli - odpowiadam.

- Mają tego twojego faceta z parku - wyjaśnia Danny. - Mam zadzwonić na policję?

Siadam na podłodze, twarzą do domofonu. Uderzam czołem w ścianę, dłonie same składają się do modlitwy. Zamykam oczy. Widzę szereg pistoletów w oddali, ale kiedy są bliżej, widzę tylko cienie. Otwieram oczy i nagle widzę niezwykle jasno i wyraźnie. Klęczę, więc domofon znajduje się na wysokości moich oczu; wpatruję się w niego, jakbym była w stanie zobaczyć, kto jest w holu.

- Skąd wiedzą, że to on? - pytam.

- Są całkiem pewni. Facet co do joty pasuje do opisu. Słyszę w tle burkliwy głos G.P.:

- Przestań się szarpać, gnoju.

- Zaraz zejść - mówię Danny'emu. - Nie róbcie nic, zaraz tam będę.

- Okay - odpowiada, a ja puszczam przycisk domofonu.

- Sara - wołam w stronę kanapy - chodź, proszę.

W windzie patrzę na malejące numery, w miarę jak zjeżdżamy na dół. Sara stoi plecami do drzwi, z nogami w rozkroku, jakby chroniła mnie przed tym, co zaraz zobaczę.

Otwierają się drzwi; widzę chłopaka z ROTC i G.P., którzy stoją obok mężczyzny w skórzanej kurtce. Pod kurtką ma ciemnozieloną kamizelkę.

To on.

Nie ma czarnego hotelowego kapelusza. Widzę teraz, że jego włosy są albo dłuższe, albo krótsze. Krótsze, stwierdzam. Nie ma okularów. Zauważam potłuczone resztki na podłodze. Wiem, że jeśli przyjrzę się z bliska oprawkom, zobaczę maleńkie, precyzyjne literki z nazwą firmy. Z miejsca na skroni, tuż nad uchem, leci krew; jest zakneblowany czerwoną apaszką.

- El - mówi chłopak z ROTC - powiedz, że to ten twój facet, bo jeśli tak, to już jest martwy.

Wykręca tamtemu ręce. Wszyscy patrzą na mnie, mężczyzna też.

- El - mówi G.P. - Powiedz coś. Nie mówię nic.

- Gdzie wyście go znaleźli? - pyta Danny.

- Nie było trudno - mówi chłopak z ROTC. - Poszliśmy do hotelu i on tam był. Zaczekaliśmy, aż zejdzie ze zmiany.

- Do jakiego hotelu? - odzywa się Sara.

Danny jest niesamowicie podniecony, jeszcze nigdy go takim nie widziałam.

- Mam zadzwonić po gliny, panno Ellis?

- Sami sobie z tym poradzimy - oświadcza chłopak z ROTC.

*Jak oni go tu przywlekli?* I wtedy to zauważam. G.P. trzyma pistolet przy plecach mężczyzny.

- El - pyta Sara. - To ten facet?

Słyszę jakieś szcęknięcie. Z początku myślę, że to strzał z pistoletu.

- Jezu - mówi Sara. Stoi obok mnie, a teraz chwyta mnie za łokieć i wystawia podbródek w stronę szklanych drzwi holu. Drzwi są zamykane na zamek po jedenastej wieczorem. A tymczasem na zewnątrz stoi reprezentant świata, w swoim zielonym płaszczu, puka. Pokazuje na mnie. „Przepraszam za Melisę”, czytam z ruchów jego warg. Macham rękami, mówiąc mu, żeby sobie poszedł. Przyciska swoją orzechową twarz do szyby i wtedy zauważa chłopaka z ROTC i G.P., którzy trzymają mężczyznę. Puka do drzwi dłonią w rękawiczce. Potem zdejmuje rękawiczkę i puka mocniej, kłykciami.

- Mam się pozbyć tego gościa? - pyta Danny, wskazując ruchem głowy drzwi.

Słyszę głucho stęknięcie. Chłopak z ROTC walnął mężczyznę z parku w brzuch.

- Mam się go pozbyć? - powtarza Danny, celując kciukiem w stronę reprezentanta.

- Jakiś pierdolony zboczek - stwierdza chłopak z ROTC, patrząc na drzwi.

- Wpuść go - mówię do Danny'ego. - Otwórz drzwi, proszę. - Chcę, żeby to pukanie ucichło. Chcę, żeby wszyscy przestali gadać tak głośno.

Danny, z kluczami w ręku, podchodzi prędko do drzwi i otwiera je. Reprezentant świata wparowuje do środka w swych adidasach „New Balance”.

- Co tu się, kurwa, dzieje?

Czuję zapach jego mydła, z odległości dwudziestu kroków. Danny ponownie zamyka zamek w drzwiach.

- Próbuje wyciągnąć od El, czy to ten koleś czy nie - wyjaśnia chłopak z ROTC. G.P. wciąż trzyma pistolet przy plecach mężczyzny.

Winda wydaje najpierw głuchy, potem piskliwy dźwięk, sygnał, że zaczyna wjeżdżać na górę; ktoś w budynku nadusił przycisk. Ktoś zaraz będzie zjeżdżał, drzwi otworzą się i zobaczy tę scenę.

Sara wsuwa mi rękę pod pachę, ale odsuwam się od niej. Nie chcę, żeby ktoś mnie dotykał.

- Dzwonię po gliny - decyduje Danny. Podnosi słuchawkę, ale nie wykręca numeru.

Wszyscy patrzą na faceta z parku, wszyscy z wyjątkiem Sary. Która patrzy na mnie i ja wiem, że ona wie.

Widzę pistolet i czuję go przy mojej skroni. Patrzę zakneblowanemu mężczyźnie w oczy, a on patrzy na mnie. Bez okularów jego twarz ma więcej głębi - jego oczy są szerzej rozstawione, niż mi się wydawało tamtego dnia w parku. Jego usta pod apaszką się poruszają. Wiem, co próbuje mi powie-

dzieć. Zastanawiam się, czy nie poprosić chłopaka z ROTC i G.P., aby go rozkneblowali, ale potem stwierdzam, że nie. Nie chcę słuchać, jak będzie to mówił na głos, to, co pisał na plakatach. Jeśli to usłyszą, będą wiedzieli, że to on.

- El, powiedz coś - mówi reprezentant świata. - Czy to ten facet czy nie?

Winda zatrzymuje się na ósmym piętrze, potem zaczyna zjeżdżać. Danny obserwuje światelka; ja odwracam się w stronę mężczyzny. Znajduje się w takiej samej sytuacji jak ja wtedy. Broń przy ciele, nie mruga.

- Nie - mówię - to nie on.

- Jesteś pewna? - pyta chłopak z ROTC.

- Tak.

Danny odwiesza słuchawkę.

Nikt nie wie, co teraz zrobić. Winda zatrzymuje się na szóstym piętrze. Ruszają się tylko zakneblowane usta mężczyzny.

- To nie on - mówię. - Proszę, puśćcie go.

Chłopak z ROTC i G.P. patrzą na siebie; ten pierwszy ruchem głowy wskazuje drzwi. Podprowadzają mężczyznę do schodów, a ja wtedy widzę dokładnie pistolet przystawiony do jego pleców. Jest srebrny, wypolerowany. Danny biegnie, żeby otworzyć zamek w drzwiach. Reprezentant wychodzi pierwszy. Chłopak z ROTC i G.P. wypychają mężczyznę z parku na chodnik. Sara i ja wychodzimy za nimi i patrzymy, jak go puszczają wolno. Chłopak z ROTC popycha go w kierunku stacji metra. Mężczyzna nie ogląda się za siebie, po prostu biegnie. To ten sam ociężały bieg, ale tym razem szybszy. Wyteżam uszy, czy coś mówi, czy coś nuci, kiedy zmierza w stronę Broadwayu. Nic nie słyszę.

- Nie chcę już więcej oglądać twojej paskudnej gęby - wrzeszczy reprezentant świata, kiedy goni za tamtym w głąb ulicy.

Stoimy pod budynkiem, w półkręgu, przyglądamy się, jak reprezentant świata biegnie za mężczyznę. Wiatr wymierza mi ostry policzek zimnem. Wszyscy na mnie patrzą: Danny, Sara, chłopak z ROTC, G.P.

- Niedobrze - mówi G.P.

Wciąż trzyma pistolet, ale teraz celuje z niego w chodnik.

Chłopak z ROTC mówi mi, że nie powinnam się przejmować, że jutro pójdą raz jeszcze do hotelu i będą dalej szukać, aż wreszcie dopadną tego faceta.

- Już się nie mogę doczekać - oświadcza. - Ale jestem napompowany!

Po wyjściu tamtych Danny przywołuje windę dla mnie i Sary.

- Dzięki, Danny - mówię.

- Śpijcie dobrze - żegna się z nami Danny.



W windzie Sara i ja milczymy. Kiedy otwieram drzwi mieszkania, ona wchodzi pierwsza i szukając przełącznika światła, nadziewa się na jeden z lepów na muchy.

- Chodź je zdejmujemy - mówię.

Lepy na muchy kleją nam się do palców, pomagamy sobie nawzajem w ich zrywaniu. Do śmieci wędruje też lep z przyklejonym plakatem.

- Co teraz? - pyta Sara. Widzi, że rozglądam się po mieszkaniu, że szukam jakiegoś zajęcia.

Wiem, że zrobi wszystko, co tylko zechcę. Mogę zaproponować jazdę metrem na JFK, śniadanie w poczekalni: zgodzi się.

- Mam ochotę na sprzątanie - mówię.

- Okay - godzi się.

Myję garnki i patelnie, a ona wyciera je ręcznikiem mojej współmieszkanki, tym z napisem „Ona”. Kupiła dwa takie, jeden dla siebie, drugi dla mnie. Nienawidzę obu.

Zamiatamy mieszkanie; na odkurzanie jest za późno.

- Czy twoim zdaniem tu śmierdzi? - pytam.

- Niby czym?

- Nie wiem - kłamię.

Sara wacha powietrze tak mocno, że aż kicha.

- Nie, nic nie śmierdzi - mówi. - Pachnie, jak trzeba. Kiedy w kuchni i dużym pokoju jest już posprzątane,

Sara idzie do łazienki umyć lustra.

Siadam zgarbiona na brzegu wanny. Jestem wyczerpana. Żadna z nas nie chce spać sama tej nocy. Sara owija sobie nogi ręcznikiem, żeby nie pobrudzić pościeli krwią, i obie kładziemy się do łóżka, na waleta.

Czuję się to rześka, to zmęczona, to znowu rześka. Sara też nie może zasnąć. Wstaje, przetrząsa swoją torbę.

- Czego ty szukasz? - pytam.

- Tej maski do spania, którą dali mi w samolocie. Już prawie rano.

Uderza stopą w moje ramię, kiedy kładzie się z powrotem do łóżka.

Wspieram się na łokciu, wyjętam wzrok, by dostrzec jej sylwetkę w mroku. Właśnie wkłada maskę.

- Wyglądasz, jak jedna pacjentka z Filipin - mówię jej.

Opowiadałam jej trochę o Filipinach, ale nie o niewidomej kobiecie z kościoła. Opowiadam więc teraz, że ta kobieta nie była w stanie obejrzeć własnych córek, a mimo to czesała im włosy.

- I już jest zdrowa? - pyta Sara. - Odzyskała wzrok?

Mówię jej, że tak, na jedno oko. Dwa dni po operacji wpadłam na tę kobietę; była z córkami nad oceanem. Córki też nosiły łatki na prawym oku.

Sara śmieje się, a potem obie znowu układamy głowy do snu. Flanelowa pościel z mojego łóżka nie była prana od tygodni. Wciskam twarz w poduszkę i wdycham chlebowy zapach snu. Leżymy w milczeniu kilka minut.

- El? - szepcze Sara.

- Tak?

- Nie wiem, jak mam to rozumieć.

- Co?

- No że pozwoliłaś mu odejść.

Kobieta z mieszkania piętro wyżej spuszcza wodę w toalecie.

Leżąca obok mnie noga Sary podryguje nerwowo. Kładę dłoń na jej łydce, żeby ją uspokoić.

- Mówiłam ci kiedykolwiek, że miałam kiedyś zwyczaj liczyć do nieskończoności? - pytam.

Ojciec odszedł z domu tamtego lata i jesienią było już jasne, że jego nieobecność nie jest czymś tymczasowym. Matka przestała mówić sąsiadom i znajomym, że wyjechał w interesach. Jediną osobą, która nie wiedziała, była Freddie i to była moja wina. *Dzwonił, kiedy wyszłaś. Cholera, właśnie się spóźniłaś.*

Freddie miała ładny głos i często wymyślała własne piosenki. Którejś nocy matka i ja usłyszałyśmy, jak śpiewa w piwnicy: „Ciebie nie ma, ciebie nie ma, to jest nasza wina. Bo ty chciałeś syna, nie cię tu nie trzyma. Ciebie nie ma, ciebie nie ma...”

- Słyszysz? - spytała szeptem matka.

- Freddie! - zawołałam ze szczytu schodów. - Chodź tu. Przejedziemy się rowerami na plażę.

Właśnie tamtego tygodnia mój nauczyciel fizyki wyłożył na lekcji pojęcie nieskończoności. Płakałam z jej powodu co noc, od wielu miesięcy. Nieskończoność byk taka prastara i jednocześnie nie odkryta. Zamknęłam oczy i zobaczyłam nieskończoność pod postacią kobiety z przyszłości, w srebrnym hełmie na głowie i ryczącą jak dinozaur.

Gdyby mój ojciec miał już nigdy nie wrócić, to chciałam wiedzieć, jak długo trwa „nigdy”, jak długo trwa nieskończoność. Czekanie na niego ciążyło nade mną, przygważdżało mnie do podłogi w moim pokoju. Turlałam się po dywanie, od jednej ściany do drugiej i z powrotem. Potrafiłam tak się turlać całą godzinę.

O szóstej, każdego wieczoru, matka i Freddie zabierały się do kolacji. To właśnie o tej porze ojciec zwykł wsiadać do autobusu, którym wracał do domu. Kiedy wchodził, matka i Freddie były zawsze w kuchni, a ja siedziałam w dużym pokoju, odrabiałam lekcje - taką miałam wymówkę, żeby nie brać udziału w gotowaniu - i wyglądałam przez okno. Znałam czasy przyjazdów tego autobusu: 18:00, 18:09, 18:18. Ojciec nigdy nie przyjeżdżał później niż tym o 18:18. Kiedy widziałam, że już nadchodzi

od strony przystanku, szłam otworzyć drzwi. Znałam chód mojego ojca, potrafiłam go wypatrzeć z odległości pięćdziesięciu jardów. W dzieciństwie przeszedł polio i wciąż lekko utykał, choć starał się to ukryć. Na któreś Boże Narodzenie matka kupiła mu laskę; połamał ją na trzy części.

Po jego odejściu przestałam wyglądać przez okno i nie przyłączałam się do matki i Freddie w kuchni - taka zmiana coś by znaczyła, ale nie bardzo wiedziałam co. Zamiast tego każdego wieczoru, kiedy one zawiązywały fartuszki, ja wspinałam się na dach.

Nasz dach był płaski, bez żadnych poręczy, smołowaną papę pokrywały drobne, szare kamyczki. Siadałam na brzegu, wspierając pięty o front domu. Czasami niechcący strącałam kilka kamyczków; spadały na chodnik, twardo, jak grad.

Widziałam stamtąd inne dachy przy naszej ulicy. Jedna rodzina trzymała tam stół piknikowy, inna ogrodowe krzeselko. Ale większość dachów była zupełnie pusta, tak jak nasz. Słyszałam samochody na Dziewiątej Alei, jak przyspieszały i hamowały. Czułam spaliny. Ich mgła opadała na nasz dom niczym hamak.

Kiedy już się usadowiłam na swoim zwykłym miejscu, próbowałam przeliczać nieskończoność. „Wiedza to siła”, mówił napis nad wejściem do mojej szkoły. „Poznaj swojego wroga”, zawsze powtarzał mi ojciec. Przeliczałam nieskończoność w ten sposób, że liczyłam dni, przez które będę musiała czekać. *Jeżeli  $X = \text{nieskończoność}$ , to znajdź wartość dla  $x$ .* Liczyłam, ile jeszcze dni zostało mi do skończenia liceum. Ile czasu będę musiała spędzić z dziewczynami, które kiedyś mnie zmusiły do podchodów, z chłopcami, którzy nabijali się z mojego brzucha i piersi. *Będzie ten dzień, potem ten dzień, a po tym dniu jeszcze jeden, a po nim jeszcze jeden, mówiałam sobie. A potem jeszcze jeden i jeszcze jeden.* W którymś momencie, zazwyczaj przy dwustu, zaczynałam się trząść. To czekanie. Chciałam, żeby ojciec albo nigdy nie odszedł, albo nigdy nie wrócił.

Po szóstej zaczęli wracać do domu mężczyźni mieszkający przy naszej ulicy. Przystanek autobusowy znajdował się przy następnej przecznicy; przyglądałam się tym mężczyznom, jak nadchodzili, jak wracali do swoich rodzin. Zazwyczaj było ich co najmniej pięciu, każdy szedł tym samym, zmęczonym krokiem. Żaden nie kulał. Nienawidziłam ich wszystkich.

Jeden z nich, pan Nagarro, szedł, mocno się ociągając.

Miał dziesięcioro dzieci i podejrzewałam, że chce przedłużyć ten czas, kiedy jest sam. Któregoś wieczoru zatrzymał się w połowie drogi między przystankiem a swoim domem i stał tak prawie godzinę, czytając książkę. To był niesamowity widok, jak tak stał i czytał. Widziałam jego żonę, która wyglądała przez okno, z jednym dzieckiem na rękę i z drugim trzymającym ją za rękę, jak czekała na jego powrót. Ale pan Nagarro tak się ustawił, żeby znaleźć się poza polem jej widzenia.

Pan Jackson palił po kryjomu. Zapalał papierosa, ledwie wysiadł z autobusu, i gasił go pod rzeźbą miniaturowego amorka na jego niewielkim, zbrązowiałym trawniku. Głowa tego amorka kiedyś tam się odłamała i została przyklejona z powrotem. Z bliska było widać cienką rysę.

Pan Tutttler był muskularnym mężczyzną, który do garnituru nosił tenisówki. Rok wcześniej, kiedy razem z matką jechałyśmy do miasta kupić jej sukienkę, minęłyśmy pana Tutttlera, jak wychodził z Teatru Braci Mitchell. Nie wiedziałam dokładnie, co się tam odbywało w środku, ale zdawałam sobie sprawę, że to klub dla panów.

- Czy to był... - zaczęłam mówić do matki.

- Tak - odparła. - Tak, masz rację. - I już obie milczałyśmy, dopóki nie weszłyśmy do domu towarowego Macy'ego.

Trzymałam obie dłonie rozpląszczone na dachu, nie chcąc się wychylać zanadto w przód; kiedy ci mężczyźni przechodzili pod naszym domem, przestawałam ich widzieć. Czasami wyobrażałam sobie, że wspinają się po schodkach do naszych drzwi, że wchodzą do środka, siadają przy naszym stole zastawionym do kolacji. Że będą tam czekali, kiedy już zejść na dół, ze zdjętymi butami i umyтыми dłońmi. Że siądę naprzeciwko nich i dam im się wytłumaczyć. Że dam im szansę powiedzieć przepraszam, a potem zdecyduję, czy im wybaczam czy nie. Że nie będę się spieszyła ze swoim werdyktem - a niech czekają, tak jak ja czekałam.

Zanim jednak udawało mi się podjąć decyzję, oni wylaniali się ponownie z drugiej strony naszego domu. Zawsze. Ich celem nie był nasz próg. Widziałam czubki ich głów: tupecik pana Tutttlera, idealnie równy przedziałek pana Nagarro, antenkę na brecie pana Jacksona. Nadal odprowadzałam ich wzrokiem, kiedy tak wędrowali w stronę swych domów. *Po tym dniu jest jeszcze jeden i jeszcze jeden.*

Płakałam z powodu nieskończoności co noc, aż do pewnego kwietniowego dnia, kiedy nauczyciel fizyki odczytał nam relację pewnego astronauty z lotu dookoła kuli ziemskiej. Najdziwniejsze w tej wyprawie, powiedział ten astronauta, było to, że przez moment nie czuł się zmęczony, bo przez brak grawitacji głowa mu się nie kiwała i nie musiał też kłaść się i odpoczywać. Po prostu leciał dalej, nie wiedząc, czy to już noc. Nie był w stanie liczyć dni.

Kiedy tamtego wieczoru weszłam na dach, po tym wysłuchaniu opowieści astronauty, też już nie liczyłam dni. Zamiast tego siedziałam i czekałam, aż pan Nagarro wysiądzie z autobusu. Patrzyłam, jak się zatrzymuje w połowie drogi do swojego domu i w świetle latarni przez pięć minut czyta komiks. Patrzyłam, jak jego żona wygląda przez okno, zdenerwowana, że on nie wraca i nie pomaga jej przy dzieciach. Patrzyłam, jak powoli wędruje w stronę swojego domu, i kiedy przestąpił przez próg, wybaczyłam mu.

Przyglądałam się, jak wszyscy ci mężczyźni, pan Jackson, pan Tutttler i inni - pan Billings, pan Richfield, doktor Hodson i pan Green - wysiadają kolejno z autobusu. Śledziłam ich wzrokiem, jak przechodzili pod latarniami. Śledziłam ich wzrokiem, jak wspinali się po schodkach do swoich domów. I kiedy przestępowali przez próg, wybaczałam każdemu.

Potrafię rozpoznać człowieka, który nie jest zdolny do uczynienia zła. Potrafię też rozpoznać człowieka, który potrafi przepraszać. Widziałam człowieka, który potrafił przepraszać, jak czytał ko-

miks w połowie drogi do swojego domu. Widziałam człowieka, który wrócił do domu po czteroletniej nieobecności - on też był gotów przeproszać. Widziałam zmianę w twarzy człowieka, który chciał przeproszać - wstyd, smutek - i wiem, jak rozpoznać to u innych. Wróciłam z matką i siostrą z zakupów i zobaczyłam mężczyznę gotowego do przeprosin na naszej kanapie: oglądał *Koło fortuny*.

- Patrzcie, co przywlokła ryba - powiedziała matka.

- Co mi przywiozłeś? - spytała Freddie.

Sara porusza się obok moich stóp.

- Więc już mu wybaczyłeś.

Na suficie widzę pęknięcie, które biegnie od północnej ściany mojego pokoju aż do samego środka. Patrzę na Sarę.

- Tak - mówię. - Jest w tym jakiś sens?

Sara nie odpowiada, ale czuję, że kiwa głową, tuż obok moich stóp.

Wyjeżdżam pod koniec marca. W samolocie lecącym do Dublina siedzę obok staruszki ubranej w niebieską bluzkę i czarną aksamitną spódnicę. Ma przekłute uszy: dziurki są rozwleczone i na dole każdej tkwią maleńkie perły. Nad najwyższym guzikiem jej bluzki z kołnierzykiem wpięta jest mała złota sowa. Kiedy samolot startuje, sięga do kieszeni fotela przed nią, gdzie wsadziła swoje podręczne rzeczy, i wyciąga książeczkę z głupimi zabawami słownymi, które polegają na tym, że najpierw podajesz słowa z różnych kategorii, o które cię pytają, i potem odczytujesz powstałą z nich historyjkę. Po jej drugiej stronie nikt nie siedzi.

- Chce pani zagrać? - pyta mnie.

- Jasne - odpowiadam.

Wyciąga z torebki długopis, tak zaprojektowany, by przypominał tubkę z pastą do zębów. Zdejmuje nasadkę, chowa ją do torebki i podaje mi długopis. Zadaję jej pytania o nazwę własną, czasownik, coś do jedzenia, kolor i przysłówek. A potem odczytuję jej historyjkę.

Staruszka śmieje się. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek dotąd widziałam śmiejącą się staruszkę. Uśmiecham się.

- Zagrajmy jeszcze raz - proponuje i znowu gramy. Przerabiamy całą książeczkę do końca i staruszka smutnieje. Widać rozczarowanie na jej twarzy, teraz mocno pooranej zmarszczkami, podobnej do głowy wyrzeźbionej z orzecha kokosowego. Ułożyła z tysięcy takich historyjek, jestem tego pewna.

Mówię jej, że wpadłam na taki pomysł: znowu zagramy i teraz to ona będzie mnie pytała o słówka.

Wyraźnie się ożywia. Prostuje się, sprawdza, czy światełko na tablicy „Zapiąć pasy” już zgasło, i odpina sprzączkę.

- Ale pani wpisywała wszystko długopisem - zauważa.

Wskazuje tubkę pasty do zębów, żeby mi przypomnieć.

Mówię jej, że przecież może nadpisywać nowe odpowiedzi, moje odpowiedzi, na jej starych.

- Okay - zgadza się. - Wspaniały pomysł. To się nazywa dobrze wydać pieniądze.

Pyta mnie o nazwę, miejsce, przedmiot, imię męskie, liczbę i przymiotnik. Odczytuje mi historijkę, a potem śmieje się i śmieje, aż do samego Dublina.

TLR